



SYN
LOIS LOWRY

Lois Lowry

Syn

Przełożyła Paulina Braiter



Kraków 2015

Tytuł oryginału

Son

Copyright @ 2012 by Lois Lowry. All rights reserved.

Copyright @ for the Polish translation by Paulina Braiter, 2015

Copyright @ for the Polish edition by Wydawnictwo Galeria Książki, 2015

Jacket design by Charles Brock, Faceout Studio Opracowanie redakcyjne i DTP

Pracownia Edytorska Od A do Z (oda-doz.com.pl) Redakcja

Katarzyna Kolowca-Chmura Korekta

Katarzyna Kierejsza Opracowanie okładki i DTP

Stefan Łaskawiec Wydanie I, Kraków 2015

ISBN 978-83-64297-62-5

Wydawnictwo Galeria Książki www.galeriaksiazki.pl

biuro@galeriaksiazki.pl

Opracowanie wersji elektronicznej: [Mobisfera](#)

Księga I



Przed



Dziewczyna wzdrygnęła się, gdy na górną część twarzy nałożyli jej pozbawioną oczu skórzaną maskę i oślepiłi. Uznała, że to groteskowe i niepotrzebne, ale nie protestowała. Tak nakazywała procedura. Wiedziała o tym. Jedna z naczyń opisała jej to podczas posiłku miesiąc temu.

– Maską? – spytała wówczas zdumiona, niemal chichocząc, gdy to sobie wyobraziła.
– A po co mi maska?

– No, tak naprawdę to nie maska – sprostowała siedząca po lewej młoda kobieta i nabrała kolejną porcję chrupiącej sałatki. – Tak naprawdę to przepaska na oczy – wyszeptwała. Nie powinny rozmawiać ze sobą na ten temat.

– Przepaska? – spytała zdumiona, po czym zaśmiała się przepraszająco. – Jak widzisz, nie potrafię normalnie rozmawiać, ciągle tylko powtarzam twoje słowa. Ale po co ta przepaska?

– Nie chcą, żebyś widziała produkt, kiedy z ciebie wychodzi. Kiedy go rodzisz. – Kobieta wskazała swój wydęty brzuch.

– Ty już produkowałaś, prawda? – spytała.

Tamta przytaknęła.

– Dwa razy.

– Jak to jest?

Już wypowiadając te słowa, wiedziała, że to niemądre pytanie. Miały przecież wykłady, oglądały diagramy, udzielono im instrukcji. Ale z drugiej strony nic z tych rzeczy nie może się równać z relacją kogoś, kto przeszedł cały proces. A skoro i tak już złamały zakaz rozmów, czemuż by nie spytać.

– Za drugim razem łatwiej. Nie bolało aż tak bardzo. – Kiedy nie odpowiedziała, kobieta spojrzała na nią pytająco. – Nikt ci nie mówił, że to boli?

– Mówili o „dyskomforcie”.

Druga dziewczyna parsknęła sarkastycznie.

– No dobra, dyskomfort, skoro tak chcą to nazywać. Za drugim razem dyskomfort jest mniejszy. I nie trwa aż tak długo.

– Naczynia? Naczynia! – Z głośnika rozległ się surowy głos matrony. – Proszę, kontrolujcie swoje rozmowy. Znacnie zasady!

Dziewczyna i jej towarzyszka posłusznie umilkły, pojmując, że słyszano je przez mikrofony wbudowane w ściany jadalni. Kilka innych dziewcząt zachichotało. Pewnie też czuły się winne. Miały tak niewiele tematów do rozmów. Łączył je tylko proces – ich praca i misja. Ale po surowym ostrzeżeniu szybko zajęły się czymś innym.

Zjadła kolejną łyżkę zupy. Posiłki w dormitorium rodzicielek były zawsze obfite i

pyszne, bardzo pilnowano właściwego odżywiania naczyń. Oczywiście dorastała w społeczności, więc nigdy nie brakowało jej jedzenia, co dzień dostarczanego do domostwa jej rodziny.

Kiedy jednak w wieku lat dwunastu przydzielono ją do rodzicielek, całe jej życie się zmieniło. Odbywało się to stopniowo. Zajęcia szkolne – matematyka, fizyka, prawo – dla jej grupy stały się mniej wymagające. Rzadziej poddawano ją testom, wymagano mniej lektur. Nauczyciele nie zwracali na nią uwagi.

Program lekcji poszerzono o zajęcia z odżywiania i zdrowia, więcej czasu poświęcano też ćwiczeniom na świeżym powietrzu. Dietę uzupełniano specjalnymi witaminami. Przebadano jej ciało, poddano testom i przygotowano na czas, który spędzi tutaj. Po upływie ponad roku uznano, że jest gotowa. Wówczas polecono jej opuścić rodzinne domostwo i przenieść się do dormitorium rodzicielek.

Przenosiny z jednego miejsca w drugie w społeczności okazały się bardzo łatwe. Nie miała żadnego własnego dobytku – ubrania dystrybuowano i czyszczono w centralnym magazynie strojów, podręczniki zamawiała szkoła (w następnym roku posłużą komuś innemu). Rower, na którym jeździła do szkoły przez ostatnich parę lat, zabrano do remontu; potem trafi do innego, młodszego dziecka.

Ostatni wieczór w rodzinnym domostwie uczczono szczególnym posiłkiem. Jej brat, starszy o sześć lat, przeniósł się już na szkolenie w Departamencie Prawa i Sprawiedliwości, widywali go tylko na publicznych zgromadzeniach; stał się kimś obcym, toteż w ostatniej kolacji uczestniczyli tylko we trójkę: ona i komórka rodzicielska, która ją wychowała. Trochę wspominali; przywoływali zabawne wydarzenia z jej wczesnego dzieciństwa (jak wtedy, kiedy wrzuciła buty w krzaki i wróciła ze świetlicy na bosaka). Śmiali się, a ona podziękowała im za lata wychowania.

– Czy wstydziście się, kiedy przydzielono mnie do rodzicielek? – spytała.

Ona sama w skrytości ducha liczyła na coś bardziej prestiżowego. Po przydziale brata, gdy miała zaledwie sześć lat, wszyscy byli bardzo dumni. Do prawa i sprawiedliwości trafiali wyjątkowo inteligentni uczniowie. Ale ona do nich nie należała.

– Nie – odparł ojciec. – Ufamy ocenie członków komisji. Wiedzą, gdzie sprawdzisz się najlepiej.

– A rodzicielstwo to bardzo ważna funkcja – dodała matka. – Bez rodzicielek by nas tu nie było!

Potem życzyli jej powodzenia w przyszłości. Ich życie także miało się zmienić: przestawali być rodzicami, teraz przeniosą się w miejsce, gdzie mieszkają bezdziejni dorośli.

Następnego dnia poszła sama do dormitorium połączonego z oddziałem rodzicielek i wprowadziła się do przydzielonego jej pokoiku. Z okna widziała szkołę, do której chodziła, i strefę rekreacyjną. W dali połyskiwała rzeka, wyznaczająca granicę społeczności.

W końcu, kilkanaście tygodni później, gdy już się zadomowiła i znalazła sobie kilka przyjaciółek, wezwano ją na inseminację.

Denerwowała się, bo nie wiedziała, czego oczekiwać, ale po zakończeniu procedury poczuła ulgę: odbyła się szybko i bezboleśnie.

– To wszystko? – spytała zaskoczona, na znak technika wstając zza stołu.

– Wszystko. Wróc za tydzień. Wówczas przebadamy cię i dostaniesz certyfikat.

Zaśmiała się nerwowo. Wolałaby, żeby w teczce z instrukcjami, którą dostała po przydziale, dokładniej wszystko wyjaśniono.

– Co oznacza certyfikat? – spytała.

Technik zbierający sprzęt inseminacyjny wyraźnie się śpieszył. Pewnie w kolejce czekały też inne.

– Kiedy będą pewni, że zarodek się zagnieździł – wyjaśnił niecierpliwie – dostaniesz certyfikat naczynia. Coś jeszcze? – spytał, obracając się do wyjścia. – Nie? W takim razie możesz odejść.



Zdawało się, że działo się to tak niedawno, a teraz, dziewięć miesięcy później, leżała z przepaską na oczach. Dyskomfort pojawił się kilka godzin wcześniej, z przerwami; teraz przerwy zniknęły. Posłuszna poleceniu oddychała głęboko. Nie było łatwo: niczego nie widziała, skóra pod maską nagrzała się nieprzyjemnie.

Spróbowała się odprężyć. Wdech, wydech, nie zważaj na dyskom... *Nie*, pomyślała. *To ból. Prawdziwy ból.* Zbierając wszystkie siły, jęknęła cicho, wygięła plecy i pozwoliła pochłonąć się ciemności.

Na imię miała Klara. Właśnie skończyła czternaście lat.



Zebrał się wokół niej. Kiedy pomiędzy falami powracającego bólu zdołała skupić myśli, słyszała ich. Rozmawiali z napięciem. Coś było nie tak.

Raz po raz dotykali jej narzędziami, metalowymi, zimnymi. Na rękę wsunięto mankiet, nadmuchano, ktoś przyłożył do zgięcia łokcia metalowy dysk. Potem inne narzędzie dotknęło napiętego, dygoczącego brzucha; zachłysnęła się, gdy załała ją kolejna fala konwulsyjnego bólu. Ręce przywiązano jej po bokach do łóżka, nie mogła się ruszyć.

Czy tak właśnie powinno być? Próbowwała spytać, ale głos miała zbyt słaby – bełkotliwy, przerażony – i nikt jej nie słyszał.

– Pomóżcie mi – pisnęła.

Zdawało się jednak, że to nie na niej skupiają uwagę. Martwili się produktem. Ich ręce i narzędzia dotykały wydętego brzucha. Od początku pierwszego skurczu, a potem rytmicznego, narastającego bólu i zapięcia maski minęło wiele godzin.

– Uśpijcie ją. Będziemy musieli sami to załatwić. – Władczy głos, wyraźnie kierujący innymi. – Szybko. – Dźwięczała w nim nagłaca nuta.

– Oddychaj głęboko – polecili, wsuwając coś gumiestego pod maskę, przyciskając do ust i nosa.

Posłuchała. Nie miała wyboru. Inaczej by się udusiła. Wciągnęła w płuca coś o nieprzyjemnie słodkim zapachu i ból natychmiast ustał. Jej myśli ustały, jej ja odpłynęło. Ostatnią rzeczą, jaką poczuła, była bezbolesna świadomość czegoś wbijającego się w jej brzuch. Rozcinającego ją.



Gdy się ocknęła, poczuła nowy, inny ból, nie przeszywający, rozdzierający jak wcześniej, lecz głęboki, nieustający. Czowała się wolna i zauważyła, że przytrzymujące ręce pasy zniknęły. Nadal leżała na łóżku, okryta ciepłym kocem. Z brzękiem podniesiono metalowe poręcze chroniące ją z obu stron. W pomieszczeniu nie było nikogo, ani śladu opiekunów, techników, sprzętu, tylko sama Klara. Odwróciła się ostrożnie, omiatając wzrokiem pusty pokój, a potem spróbowała unieść głowę. Ostry ból sprawił, że natychmiast się poddała. Nie mogła spojrzeć na własne ciało, ale ostrożnie przesunęła ręce i położyła na wcześniej napiętym, wydętym brzuchu. Teraz był płaski, zabandażowany i bardzo bolesny. Najwyraźniej wycięto z niej produkt.

I brakowało jej go. Ogarnęło ją rozpaczliwe poczucie straty.



– Odebrano ci certyfikat.

Minęły trzy tygodnie. Przez pierwszy dochodziła do siebie w oddziale położniczym. Dbano o nią, otoczono troską i opieką – może nawet nieco rozpieszczano, ale we wszystkim wyczuwała niezręczność. Towarzyszyły jej inne młode kobiety, także dochodzące do siebie, mogły zatem toczyć przyjemne rozmowy, żartować, że znów są szczupłe. Ich ciała każdego ranka masowano starannie, a personel doglądał delikatnych ćwiczeń. Jednak Klara wolniej niż pozostałe odzyskiwała siły, została jej bowiem rana, a im nie.

Po pierwszym tygodniu przeniesiono je w miejsce przejściowe, gdzie zabawiały się rozmowami i grami, by po kolejnych dwóch powrócić do dużej, znajomej grupy naczyń. Kiedy znalazły się w dormitorium, powitały stare przyjaciółki – wiele z nich mocno tęgich, bo ich brzuchy tymczasem zdążyły urosnąć – i zajęły dawne miejsca w grupie. Wszystkie wyglądały podobnie w bezkształtnych kaftanowatych sukienkach, identycznie ostrzyżone, odróżniały się tylko charakterem. Nadia była dowcipna, ze wszystkiego żartowała, Miriam – niezwykle poważna i nieśmiała, Zuzanna – sprawna i zorganizowana.

Klarę zdziwiło, że po wykonaniu zadania naczynia praktycznie o nim nie rozmawiały.

– Jak poszło? – pytał ktoś, w odpowiedzi otrzymując nonszalanckie wzruszenie ramion i krótkie: „W porządku, całkiem łatwo” albo cierpkie: „Nie tak źle” z miną wskazującą, że nie było przyjemnie.

– Dobrze cię znów widzieć.

– Dzięki. Co się działo podczas mojej nieobecności?

– To samo, zjawiły się dwa nowe naczynia. A Nancy odeszła.

– Dokąd trafiła?

– Na farmę.

– To dobrze. Tak chciała.

Zwykle, nieistotne rozmowy. Nancy niedawno dostarczyła trzeci produkt. Po trzecim naczynia otrzymywały nowe przydziały. Farma. Fabryka odzieży. Dostawa żywności.

Klara pamiętała, że Nancy miała nadzieję trafić na farmę: lubiła przebywać na świeżym powietrzu, a jej bliską przyjaciółkę przydzielono tam kilka miesięcy wcześniej; liczyła, że spędzi następną część roboczego życia w towarzystwie kogoś, kogo lubiła. Klara cieszyła się, że jej się udało.

O swojej przyszłości natomiast myślała z obawą. Choć wspomnienie miała bardzo mgliste, wiedziała, że z jej produkcją coś poszło nie tak. Nikt inny nie wyszedł stamtąd z raną. Próbowwała nieśmiało wypytać pozostałe, te, które produkowały więcej niż raz. Ale jej pytania najwyraźniej tylko je zdumiewały i oszałamiały.

– Czy brzuch wciąż cię boli? – wyszeptała Klara do Miriam, która wraz z nią przebywała w oddziale.

– Boli? Nie – odrzekła Miriam.

Siedziały obok siebie podczas śniadania.

– Mnie tak, w miejscu blizny. Kiedy ją naciskam – wyjaśniła Klara, delikatnie muskając palcami to miejsce.

– Blizny? – Miriam skrzywiła się. – Ja nie mam blizny.

Odwróciła się i dołączyła do innej rozmowy.

Klara znów spróbowała, ostrożnie wypytując kilka innych naczyń. Ale żadna z nich nie miała blizny. Żadna nie miała rany. Po jakimś czasie jej ból także osłabł i usilnie próbowała zignorować niespokojną świadomość, że coś poszło bardzo źle.

A potem ją wezwano.

– Klaro – przemówił w południe głos z głośnika; naczynia jadły akurat posiłek. – Proszę, abys po obiedzie natychmiast zgłosiła się do biura.

Podenerwowana Klara rozejrzała się szybko. Po drugiej stronie stołu siedziała Elissa, wyjątkowa przyjaciółka. Przydzielono je w tym samym roku, kiedy obie były dwunastolatkami, toteż znała Elisę przez całą szkołę. Ale Elissa była tu nowa: nie została poddana inseminacji tak szybko jak Klara. Osiągnęła dopiero wczesny etap swej pierwszej produkcji.

– O co chodzi? – spytała Elissa, gdy usłyszały polecenie.

– Nie wiem.

– Zrobiłaś coś złego?

Klara zmarszczyła brwi.

– Nie wydaje mi się. Może zapomniałam poskładać pranie.

– Nie wezwaliby cię chyba z tego powodu, prawda?

– Wątpię. To taki drobiazg.

– No cóż. – Elissa zaczęła zbierać puste talerze. – Wkrótce się dowiesz. To pewnie nic wielkiego. Do zobaczenia później.

Zostawiła Klarę siedzącą przy stole.

Ale to nie było nic wielkiego. Klara stała naprzeciw nich wstrząśnięta, słuchając, jak komisja informuje ją o swej decyzji. Odebrano jej certyfikat.

– Zbierz swoje rzeczy – polecili. – Dziś po południu zostaniesz przeniesiona.

– Dlaczego? – spytała. – Czy to dlatego, że... no, wiem, że coś poszło nie tak, ale...

Byli mili, pełni współczucia.

– To nie twoja wina.

– Ale co? – spytała. Wiedziała, że nie powinna naciskać, lecz nie mogła się powstrzymać. – Gdybyście tylko wyjaśnili...

Przewodniczący komisji wzruszył ramionami.

– Takie rzeczy się zdarzają. Problem fizyczny. Powinien zostać wykryty wcześniej, nie należało poddać cię inseminacji. Kto był twoim pierwszym badającym?

– Nie pamiętam jej imienia.

– Dowiemy się. Miejmy nadzieję, że to jej pierwszy błąd, żebyśmy mogli jej dać jeszcze jedną szansę.

A potem ją odprawili, jednak w drzwiach zawróciła, bo nie mogła odejść bez pytania.

– Mój produkt?

Przewodniczący spojrział na nią wyniośle, lecz po chwili ustąpił. Odwrócił się do siedzącej obok przy stole członkini komisji i skinieniem głowy wskazał leżące przed nią papiery, polecając, by sprawdziła informację.

– Jaki miał numer? – spytała kobieta, a przewodniczący nie odpowiedział. – No dobrze – orzekła – sprawdzę po imieniu. Ty jesteś Klara?

Jakby nie wiedzieli. Wezwali ją tu przecież. Jednak skinęła głową.

Kobieta przesunęła palcem po kartce.

– Tak. No, jesteś, Klara, produkt numer trzydzieści sześć. O tak, widzę wzmiankę o trudnościach.

Uniosła wzrok. Klara na to wspomnienie dotknęła brzucha.

Kobieta odłożyła kartkę na stosik papierów i postukała krawędzią o stół, żeby je wyrównać.

– Chłopiec jest zdrowy – rzekła.

Przewodniczący komisji przygwoździł ją spojrzeniem.

– Produkt – poprawiła się szybko. – Produkt jest zdrowy, problemy medyczne na niego nie wpłynęły. Ty też będziesz zdrowa, Klaro – dodała życzliwie.

– Dokąd mam odejść? – spytała Klara.

Nagle ogarnęło ją przerażenie. Nie powiedzieli jeszcze, czy dostała nowy przydział, jedynie że odebrano jej certyfikat, zatem nie będzie dłużej rodzicielką. To miało sens. Jej ciało nie wykonało sprawnie swego zadania. Ale co, jeśli...? Co, jeśli ludzi bez certyfikatów po prostu zwalniano? Tak jak tych, którym się nie powiodło?

Odpowiedź jednak uspokoiła ją.

– Do wylęgarni ryb – wyjaśnił przewodniczący komisji. – Tam cię przenosimy. Potrzebują pomocy, brak im robotników. Rano rozpoczniesz szkolenie, będziesz musiała sporo nadrobić. Na szczęście masz sprawny umysł.

Odprawił ją machnięciem ręki i Klara wróciła do dormitorium, by pozbierać swój skromny dobytek. Była godzina odpoczynku, inne naczynia drzemały w ciasnych pokoikach za zamkniętymi drzwiami.

Chłopiec, pomyślała, pakując nieliczne rzeczy osobiste. *To był chłopiec. Urodziłam chłopczyka, miałam syna.* I znów ogarnęło ją przemożne poczucie straty.



Zostanie ci wydany rower.

Mężczyzna – jego plakietka głosiła: „Dimitri, nadzorca wylęgarni” – wskazał gestem obszar, na którym w stojakach parkowały rowery. Czekał na nią w drzwiach, zupełnie niezaskoczony przybyciem Klary – najwyraźniej powiadomiono go, że się zjawi.

Klara skinęła głową. Od ponad roku zamknięta w oddziale rodzioelek i na otaczających go terenach nie potrzebowała żadnego środka transportu. A tu dotarła pieszo, niosąc niewielką walizeczkę i kierując się na północny wschód. Droga nie była daleka, Klara dobrze ją znała, lecz po tak wielu miesiącach wszystko wydawało się nowe i obce. Minęła szkołę i ujrzała dzieci na obowiązkowych zajęciach fizycznych w strefie rekreacyjnej; żadne jej nie rozpoznało, choć przyglądały się ciekawie młodej kobiecie wędrującej w południe ścieżką. Większość ludzi przebywała w pracy, a ci, którzy musieli coś załatwić w innych budynkach, jeździli na rowerach. Nikt nie chodził pieszo. Drobną dziewczynką ze wstążką we włosach uśmiechnęła się do Klary, nie przerywając ćwiczeń, i pomachała ukradkiem; Klara odpowiedziała uśmiechem, przypominając sobie własne wstążkowe dni. Ale instruktor skarcił ostro dziecko, które skrzywiło się i wróciło do obowiązkowej gimnastyki.

Po drugiej stronie placu Centralnego, na obszarze mieszkalnym, dostrzegła niewielki domek, w którym dorastała. Teraz zajmowali go inni ludzie, nowo przydzielona sobie para, może czekająca na...

Odwróciła wzrok od ośrodka opieki; wiedziała, że tam właśnie trafiają produkty po narodzinach. Zazwyczaj grupami. Najczęściej wczesnym rankiem. Kiedyś, nie mogąc spać, wyglądała z okna swego boksu i ujrzała, jak asystent porodowy ładuje cztery produkty ułożone w koszykach do dwukołowego wózka przypiętego z tyłu roweru. Sprawdziwszy, czy przymocował je bezpiecznie, odjechał w stronę ośrodka opieki, by je tam dostarczyć.

Zastanawiała się, czy jej własny produkt, chłopiec, numer trzydzieści sześć, trafił już do ośrodka. Klara wiedziała, że asystenci zwlekali z przenosinami – czasami kilka dni, niekiedy nawet tygodni, by mieć pewność, że wszystko poszło jak należy, a produkty są zdrowe.

Cóż. Westchnęła. Czas o tym zapomnieć. Szła dalej, mijając gmach Departamentu Prawa i Sprawiedliwości. Piotr, niegdyś ciągle żartujący z niej starszy brat, z pewnością był w środku. Gdyby zerknął przez okno i ujrzał młodą kobietę przechodzącą powoli obok, czy rozpoznałby w niej Klarę? Czy w ogóle by go to obeszło?

Minęła Dom Starszyny, w którym mieszkała i pracowała rządząca komisja, i niewielki budynek biurowy, a także warsztat naprawy rowerów. Teraz widziała już

rzekę, stanowiącą granicę społeczności; jej ciemne wody płynęły bystro, pieniać się tu i tam wokół kamieni. Klara zawsze bała się wody; w dzieciństwie ostrzegano ich przed nią, słyszała o małym chłopcu, który utonął. Wśród uczniów krążyły też pogłoski, zapewne nieprawdziwe, o obywatelach, którzy przepłynęli na drugą stronę czy nawet przedostali się przez wysoki, zakazany most i zniknęli w nieznanym krainach za nim. Jednocześnie jednak rzeka ją fascynowała – jej stały pomruk i ruch, i tajemnica.

Przebiegała ścieżkę rowerową, przeczekując uprzejmię, aż przejadą dwie młode kobiety. Po lewej widziała płytkie stawy rybne i przypomniała sobie, jak w dzieciństwie przyglądała się z przyjaciółmi śmigającym w nich srebrzystym istotom.

Teraz będzie tu pracować, w wylęgarni. Zakładała, że także mieszkać, przynajmniej dopóki... Dopóki co? Obywatelom przydzielano domostwa, kiedy otrzymywali małżonków. Rodzicielki nigdy nie miały małżonków, do tej pory zatem w ogóle o tym nie myślała. Teraz zaczęła się zastanawiać, czy będzie mogła poprosić o przydział małżonka i w końcu o...? Klara westchnęła. Myśli o takich rzeczach budziły zamęt w jej głowie. Odwróciła się od stawów, zmierzając do drzwi frontowych głównego budynku, gdzie czekał Dimitri.



Tej nocy, sama w małej sypialni, którą jej przydzielono, Klara wyjrzała z okna na ciemną, rwącą w dole rzekę. Ziewnęła. To był długi, męczący dzień. Rano obudziła się w znajomym otoczeniu, miejscu, w którym mieszkała przez wiele miesięcy, ale w południe całe jej życie się zmieniło. Nie miała nawet szansy pożegnać się z przyjaciółkami, innymi naczyniami. Z pewnością będą się zastanawiać, gdzie się podziały, ale najprawdopodobniej wkrótce o niej zapomną. Teraz tu było jej miejsce, dostała plaketkę, przedstawiono ją innym pracownikom. Wydawali się całkiem mili. Niektórzy, starsi od Klary, mieli małżonków i domostwa i pod koniec dnia odchodzili do nich. Inni, jak ona, mieszkali tutaj, w pokojach wzdłuż korytarza. Jedną z nich, Heather, była rówieśniczką Klary, razem przechodziły ceremonię dwunastolatków. Z pewnością pamiętała, że Klarę przydzielono do rodzicielki. Gdy je sobie przedstawiono, jej oczy zabłyśły i wyraźnie ją poznała, ale nie odezwała się ani słowem. Podobnie Klara. Nie miała nic do powiedzenia.

Przypuszczała, że wraz z innymi młodymi robotnicami, także Heather, zostaną czymś w rodzaju przyjaciółek. Będą siadać razem podczas posiłków i jako grupa uczestniczyć w ogólnych rozrywkach. Po jakimś czasie zaczną żartować między sobą i śmiać się porozumiewawczo, gdy usłyszą pewne zdania. Tak samo wyglądało to wśród naczyń i Klara odkryła, że tęskni za tym, za wzajemną życzliwością i wspólnotą. Ale z pewnością się dopasuje. Wszyscy powitali ją radośnie, oznajmiając, że chętnie pomogą.

Praca nie będzie trudna. Pozwolono jej obserwować asystentów laboratoryjnych w fartuchach i rękawiczkach, jak pobierają jajeczka od tak zwanych ryb rozplodowych, znieczulonych samic. Uznała, że trochę przypomina to wyciskanie pasty do zębów, i ta wizja ją rozbawiła. Obok inni asystenci wyciskali z samców tak zwany mlecz, następnie dodawali kremową substancję do zbiornika ze świeżą ikrą. Wyjaśnili, że trzeba bardzo starannie rozłożyć wszystko w czasie. I zachować pełną sterylność. Obawiali się skażenia i bakterii. Temperatura również miała znaczenie. Wszystko podlegało

dokładnej kontroli.

W pobliskim pomieszczeniu, oświetlonym słabymi czerwonymi lampami, zobaczyła kolejną robotnicę w rękawiczkach, przeglądającą tacę z zapłodnionymi jajeczkami.

– Widzisz te kropki? – spytała Klarę, wskazując połyskujące różowe jajeczka. Klara przyjrzała się uważnie i odkryła, że większość z nich ma dwie ciemne plamki. Skinęła głową.

– Oczy – wyjaśniła dziewczyna.

– Och! – Klara zdumiała się, że już tak młode i maleńkie stworzenia, których w ogóle nie uznaliby za ryby, mają oczy.

– A widzisz tutaj? – Metalowym narzędziem dziewczyna wskazała odbarwione bezokie jajko. – To jest martwe.

Ostrożnie podniosła je szczypcami i wyrzuciła do zlewu. Potem odłożyła tacę na stojak i sięgnęła po następną.

– Dlaczego umarło? – spytała Klara.

Odkryła nagle, że szepcze. W pomieszczeniu było tak ciemno, tak cicho i chłodno, że odruchowo zniżyła głos.

Robotnica jednak odparła swobodnie, zwykłym głosem.

– Nie wiem. Pewnie to błąd w inseminacji. – Wzruszyła ramionami i zdjęła z drugiej tacy kolejne martwe jajeczko. – Musimy je usuwać, by nie skaziły zdrowych. Sprawdzam je co dzień.

Klara poczuła niewyraźny niepokój. Błąd w inseminacji. Czy to właśnie ją spotkało? Czy jej produkt, podobnie jak odbarwione bezokie jajeczko, został odrzucony? Ale nie. Podali jej numer, trzydzieści sześć. Był zdrowy. Próbowwała odsunąć na bok niepokojące myśli i skupić się na głosie i wyjaśnieniach robotnicy.

– Klaro? – Drzwi się otworzyły; to był Dimitri, nadzorca, szukał jej. – Chcę ci pokazać jadalnię. I prawie już przygotowaliśmy twój plan zajęć.

Podjęła zatem przerwane zwiedzanie ośrodka i otrzymała przydział na dzień następny (głównie sprzątanie – wszystko musiało być utrzymane w idealnej czystości). Później zjadła kolację z grupką robotników mieszkających jak ona w wylęgarni. Rozmawiali przeważnie o tym, co robili podczas przerwy rekreacyjnej. Była to wyznaczona każdego dnia godzina, w czasie której mogli robić, co tylko chcieli. Ktoś wspomniał o przejażdżce rowerowej i pikniku nad rzeką; najwyraźniej jeśli poprosiło się z wyprzedzeniem, obsługa kuchni przygotowywała posiłek na wynos. Dwóch mężczyzn dołączyło do gry w piłkę. Ktoś przyglądał się naprawie mostu. Była to bezcelowa, miła pogawędka, ale uświadomiła Klarze, że ma teraz więcej wolnego czasu niż kiedykolwiek wcześniej. Mogła pójść na spacer po obiedzie albo wieczorem.

Później, w pokoju, zrozumiała, co chce zrobić w wolnej chwili. Nie po prostu się przejść. Pragnęła znaleźć dziewczynę imieniem Zofia, rówieśnicę, która w tym samym czasie co ona skończyła dwanaście lat. Nie przyjaźniły się blisko, jedynie znały ze szkoły, gdzie łączył je wspólny rok urodzenia. Ale Zofia siedziała obok Klary podczas ceremonii, gdy otrzymały przydziały.

– Rodzicielka – oznajmiła przewodnicząca starszyny, gdy nadeszła kolej Klary. Wstała i uściśnęła dłoń przewodniczącej, uśmiechając się uprzejmie do widowni, wzięła oficjalne dokumenty przydziału i wróciła na miejsce. Po niej wstała Zofia.

– Piastunka – poinformowała Zofię przewodnicząca.

Wówczas dla Klary nie miało to znaczenia. Ale teraz oznaczało, że Zofia, z początku asystentka, pewnie do tej pory w pełni wykształcona, pracuje w ośrodku opieki, miejscu, gdzie przechowywano i karmiono produkt Klary – jej dziecko, jej synka.



Mijały dni. Klara czekała na właściwą chwilę. Zazwyczaj robotnicy wybierali się na przerwy parami bądź grupkami. Ludzie zdziwiliby się, gdyby odeszła sama; zaczęliby szeptać na jej temat i zadawać pytania. A tego nie chciała. Wolała, by uważali ją za osobę ciężko pracującą i odpowiedzialną, kogoś zwyczajnego, pozbawionego sekretów.

Czekała zatem, pracowała i zaczynała się dopasowywać. Znalazła sobie przyjaciół. Pewnego dnia podczas obiadu dołączyła do grupki współpracowników i razem urządzili sobie piknik nad rzeką. Oparli rowery o pobliskie drzewa, usiedli na płaskich kamieniach w wysokiej trawie, rozpakowując przygotowane wcześniej jedzenie. W pobliżu dwóch młodych chłopców przejechało na rowerach ścieżką, zaśmiewając się z czegoś, i pomachało im radośnie.

– Hej, popatrz! – Jeden z nich pokazał palcem. – Łódź dostawcza!

Obaj szybko porzucili rowery i niezgrabnie zsunęli się ze stromego zbocza, patrząc, jak obok przepływa przypominająca barkę łódź. Na otwartym pokładzie piętrzyły się sterty drewnianych pojemników różnej wielkości.

Rolf, jeden ze współpracowników Klary, zerknął na zegarek, a potem na chłopców.

– Spóźnił się do szkoły – zauważył z cierpkim uśmiechem.

Pozostali zachichotali. Teraz, kiedy skończyli już szkołę, łatwo było śmiać się z przepisów, które rządziły ich życiem w dzieciństwie.

– Kiedyś się spóźniłam – oznajmiła Klara – bo ogrodnik rozciął sobie rękę, gdy przystrzygał krzaki obok centrali. Zatrzymałam się, patrząc, jak bandażowali mu dłoń i zabierali do szpitala, żeby założyć szwy. Miałam nadzieję, że przydzielą mnie do pielęgniarzy – dodała.

Na moment zapadła krępująca cisza. Klara nie wiedziała, czy inni znają jej przeszłość. Bez wątpienia musieli usłyszeć jakieś wyjaśnienie, kiedy nagle zjawiała się w wylęgarni, ale pewnie nie domagali się szczegółów. Niepowodzenie w przydzielonym zawodzie – nowy przydział – stanowiło powód do wstydu. Nikt o tym nie wspominał, jeśli nawet wiedział. Nikt nie pytał.

– Cóż, komisja wie najlepiej – zauważyła wyniośle Edyta, rozdając kanapki. – Poza tym praca w wylęgarni ma w sobie element pielęgnacji: te laboratoria, procedury.

Klara pokiwała głową.

– Wylęgarnia nie była moim pierwszym wyborem – oznajmił wysoki młodzieniec imieniem Eryk. – Liczyłem na prawo i sprawiedliwość.

– Mój brat tam trafił – powiedziała Klara.

– Podoba mu się? – spytał z zainteresowaniem Eryk.

Wzruszyła ramionami.

– Chyba tak. W ogóle go nie widuję. Jest starszy. Kiedy skończył szkolenie, wyprowadził się z naszego domostwa. Może nawet ma już własną małżonkę.

– Wiedziałybyś o tym – zauważył Rolf. – Widziałybyś, jak przydzielają ich sobie podczas ceremonii. Ja też złożyłem podanie o małżonkę – dodał z uśmiechem. –

Musiałem wypełnić z tysiąc formularzy.

Klara nie wspomniała im, że nie uczestniczyła w dwóch ostatnich ceremoniach. Podczas lat produkcyjnych rodzicielki nie opuszczały swoich kwater. Klara nigdy nie widziała żadnej z naczyń, póki nie została jedną z nich. Dopóki sama nie doświadczyła tego i nie zaobserwowała u innych, nie miała pojęcia, że kobietom przed reprodukcją rosną brzuchy. Nikt jej nie wyjaśnił, co oznaczają „narodziny”.

– Spójrzcie! – rzucił nagle Eryk. Łódź dostawcza zatrzymała się przy wylęgarni. – Świetnie! Już jakiś czas temu złożyłem zamówienie. – Zerknął na brzeg; obaj chłopcy wciąż przyglądali się łodzi. – Chłopcy! – zawołał, a kiedy unieśli wzrok, postukał palcem w zegarek na przegubie. – Za niecałe pięć minut zadzwoni dzwonek.

Niechętnie wspięli się na brzeg i ruszyli po rowery.

– Dziękujemy za przypomnienie – powiedział jeden uprzejmie do Eryka.

– Myśli pan, że łódź dostawcza wciąż tu będzie po szkole? – spytał drugi z nadzieją.

Eryk jednak pokręcił głową.

– Bardzo szybko wyładowują towar – poinformował chłopca, na którego twarzy odmalował się zawód.

– Chciałbym zostać przydzielony do wyładunku łodzi – mruknął jeden chłopiec do drugiego, gdy podnosili rowery. – Założę się, że odwiedzają mnóstwo miejsc, o których w ogóle nie słyszeliśmy. Gdybym pracował na łodzi dostawczej, mógłbym obejrzeć...

– Jeśli nie wrócimy na czas – przerwał mu nerwowo kolega – nigdzie nas nie przydzielą! Chodź, jedźmy już!

Chłopcy pospiesznie popedałowali w stronę stojącego niedaleko budynku szkoły.

– Ciekawe, co według niego miałby obejrzeć, gdyby pracował na łodzi – mruknął Rolf.

Zaczęli sprzątać pozostałości po pikniku i pakować niezjedzony prowiant.

– Inne miejsca. Inne wspólnoty. Łódź musi się tam zatrzymywać.

Eryk złożył serwetki i schował do koszyka.

– Wszystkie wyglądałyby tak samo. Co ciekawego jest w oglądaniu innej wylęgarni, innej szkoły, innego ośrodka opieki, innej...

– Nie ma sensu się nad tym zastanawiać – przerwała im Edyta napiętym, poważnym tonem. – To do niczego nie prowadzi. Zastanawianie się jest zapewne wbrew przepisom, choć przypuszczam, że nie należy do poważnych wykroczeń.

Eryk wywrócił oczami i oddał Rolfowi koszyk.

– Proszę. Przypnij go do roweru i odwieź, dobrze? Ja muszę coś załatwić. Uprzedziłem szefa laboratorium, że odbiorę kilka rzeczy w ośrodku zaopatrzenia.

– Miło byłoby podróżować po rzece – zauważył Rolf, mocując kosz do roweru specjalnymi paskami. – Choćby jeden raz. Fajnie jest oglądać nowe rzeczy, nawet – dodał żartobliwie – jeśli nigdy się nad tym nie zastanawialiśmy.

Edyta puściła jego słowa mimo uszu.

– To mogłoby być niebezpieczne – zauważył Eryk. – Woda jest głęboka. – Rozejrzał się, sprawdzając, czy wszystko zebrali. – Gotowe do powrotu?

Klara i Edyta przytaknęły i poprowadziły rowery na ścieżkę. Eryk pomachał im i odjechał z własną misją.

Klara pomyślała, że nawet jeśli to wbrew zasadom, jeśli to wykroczenie (trudno orzec bez sprawdzenia w grubej księdze przepisów społeczności, zawsze dostępnej na

pulpicie w holu wylęgarni, lecz zapisanej tak gęstymi i małymi literami, że z tego co Klara wiedziała, nikt nigdy nie zadał sobie trudu, żeby na nią spojrzeć), nie ma mowy, by ktokolwiek przyłapał ich na zastanawianiu się. To przecież coś niewidzialnego, jak sekret. Ona sama poświęcała temu mnóstwo czasu. Zastanawiała się...

Kręcąc pedałami, powtarzała w myślach, jak łatwo byłoby rzec lekkim tonem: „Muszę coś załatwić”.

Jak łatwo mogłaby odłączyć się od reszty – to nie trwałoby długo – i podjechać do ośrodka opieki, znaleźć Zofię i zadać kilka pytań.



I wtedy nadarzyła się sposobność.

– Właśnie uświadomiłem sobie, że nauczyciel biologii nie oddał mi plakatów, które mu wypożyczyłem – rzekł z irytacją Dimitri podczas obiadu. – A będą mi potrzebne jutro rano.

– Mogę po nie podjechać – zaproponowała Klara.

Szef laboratorium podziękował skinieniem głowy.

– To mi pomoże. Jutro zjawi się grupa ochotników rozpoczynająca wdrażanie, a pomoce wizualne ułatwiają pracę.

Jedli w kafeterii wylęgarni, cała szóstka przy tym samym stole. Nikt nie miał przydzielonego miejsca i dziś Klara, balansując tacą z jedzeniem, ruszyła w stronę pustego krzesła przy stole, gdzie siedział już nadzorca wraz z grupką techników. Mówił o zestawie plakatów demonstracyjnych, który lubił pokazywać gościom zwiedzającym ośrodek. Nauczyciel biologii wypożyczył je i nie zwrócił.

– Zawiadom szkołę, przyślą z nimi ucznia. – Jeden z techników skończył jeść i układał talerze na tacy. – I upomną nauczyciela – dodał, wstając ze złośliwym uśmiechem.

– Nie ma potrzeby – odparła Klara. – I tak muszę coś załatwić niedaleko, łatwo mi będzie wpaść do szkoły.

To nie do końca kłamstwo, powtarzała w duchu. Kłamstwo sprzeciwia się zasadom. Wszyscy o tym wiedzieli, wszyscy tego przestrzegali. I wcale tego nie wymyśliła, owej drugiej sprawy do załatwienia. Miała tylko nadzieję, że nikt nie spyta o szczegóły. Ale teraz skupili się na czymś innym. Zgniatali serwetki, spoglądali na zegarki, szykując się do powrotu do pracy. Wreszcie miała możliwość poszukać Zofii.



Wizyta w szkole trwała krótko. Nauczyciel biologii jej nie poznał, bo Klara nigdy nie uczyła się tego przedmiotu. W wieku dwunastu lat, gdy dokonywano selekcji i przydzielano przyszłe zawody, edukacja dzieci zaczynała biec różnymi ścieżkami. Część jej grupy – pamiętała chłopca imieniem Marek, świetnego ucznia, którego przydzielono do inżynierów – wracała do szkoły, ucząc się przedmiotów ścisłych. Marek zapewne skończył już zajęcia z biologii i obecnie studiuje wyższą matematykę, astrofizykę czy biochemię, przedmioty, które, jak głośno krążyły wśród dzieci pogłoski, wyróżniają się niewiarygodną trudnością. Marek nie uczył się już w zwykłej szkole, lecz w jednym z budynków szkolnictwa wyższego, zarezerwowanych dla naukowców.

Choć była wówczas bardzo młoda, Klara pamiętała dzień, gdy Piotr, jej brat, został przeniesiony na studia wyższe. Może nawet nauczył się w szkole biologii? Ale potem trafił do budynku prawa na praktykę i studia.

Dobrze знаła tutejsze korytarze. Bez trudu znalazła klasę biologiczną.

– Miałem zamiar je zwrócić – oznajmił nauczyciel biologii, wręczając Klarze zrolowane plakaty. – Zechcesz mu powiedzieć, że nie miałem pojęcia, iż będzie ich tak szybko potrzebował? – W jego głosie dźwięczała lekka nuta irytacji.

– Owszem, powtórzę mu. Dziękuję.

Zostawiła go tam, za biurkiem w klasie, i wróciła korytarzem do drzwi frontowych. Po drodze zaglądała do pustych pomieszczeń. Zajęcia szkolne dobiegły już końca, dzieci rozproszyły się, by odbyć nadobowiązkowe praktyki w społeczności. Pamiętała jednak część klas i rozpoznała nauczycielkę języka, która pochylona nad biurkiem pakowała swe rzeczy do teczki. Kiedy kobieta uniosła głowę, Klara niepewnie pozdrowiła ją skinieniem.

– Klara, prawda? – Nauczycielka uśmiechnęła się. – Cóż za niespodzianka! Co...

Ale nie dokończyła pytania, choć jej twarz zdradzała zaciekawienie. Z pewnością pamiętała jej wybór na rodzicielkę, a rodzicielka nie miała czego szukać w szkole ani w ogóle nigdzie w całym osiedlu. Nie mogła jednak spytać Klary, co tu robi, byłoby to niezwykle niegrzeczne. Zawiesiła zatem głos i po prostu uśmiechnęła się na powitanie.

– Przyszłam tylko coś odebrać – wyjaśniła Klara, unosząc rulon z plakatami. – Miło znów cię widzieć.

Pomaszerowała dalej korytarzem i przez drzwi frontowe budynku, a potem zdjęła rower ze stojaka przy schodach. Ostrożnie przyczepiła rulon papierów do uchwytu z tyłu roweru. Ogrodnik, przesadzający w pobliżu krzak, zerknął na nią bez większego zainteresowania. Dwoje dzieci na rowerach minęło ją szybko, śpiesząc się dokąś – pewnie martwiły się, że się spóźnią na wymagane zajęcia nadobowiązkowe.

Wszystko było takie znajome, niezmiennie, ale Klara wciąż czuła się dziwnie z powrotem w społeczności. Wcześniej nie zapuszczała się zbyt daleko od wylęgarni, jedynie na krótkie wypady ze współpracownikami. *Tam*, pomyślała, patrząc wzdłuż ścieżki, którą jeździła niegdyś do szkoły. *Prawie widzę domostwo, w którym dorastałam.*

Przez moment zastanowiła się, co się dzieje z rodzicami, czy w ogóle o niej myślą – albo o Piotrze. Z powodzeniem wychowali dwójkę dzieci, wypełniając zadanie dorosłych z małżonkami. Piotr zdobył niezwykle prestiżowy przydział, w odróżnieniu od niej. Rodzicielka. Podczas ceremonii, gdy stała na scenie, otrzymując przydział, nie widziała twarzy rodziców w tłumie. Wyobrażała sobie jednak, jak wyglądają, jak wielkie czują rozczarowanie. Liczyli na więcej ze strony swojej córki.

– To bardzo godna praca – pocieszała ją tego wieczoru matka. – Rodzicielki dostarczają nam przyszłe pokolenia.

Ale wciąż czuła się trochę jak wtedy, gdy otwierali dostarczone pojemniki z kolacją i odkrywali, że na wieczorny posiłek składają się ziarna przyrządzone z olejem rybnym.

– Wysoka zawartość witaminy D – mówiła wówczas matka tym samym wesołym tonem, próbując sprawić, by posiłek wydał się bardziej zachęcający, niż był w istocie.

Klara odjechała na rowerze i zawahała się na rogu, gdzie krzyżowało się kilka ścieżek. Mogła skręcić w prawo, minąć Departament Prawa i Sprawiedliwości i podążając dalej ścieżką, za kilka minut wrócić do wylęgarni. Zamiast tego pojechała

dalej prosto, potem skręciła w lewo, mając przed sobą otoczony drzewami dom starców. Następnie skręciła w prawo i zwolniła obok świetlicy, okrążając ostrożnie właśnie wyładowywany pojazd dostawy żywności. Po czym skierowała się dalej, do ośrodka opieki.

Jakie to dziwne, pomyślała, zbliżając się do budynku, że w czasach szkolnych nigdy nie zgłosiła się tu na zajęcia nadobowiązkowe. Często pracowała w świetlicy, bardzo lubiła edukacyjne gry z maluchami i dziećmi, ale te najmniejsze – nazywano je nowymi dziećmi – nigdy jej nie interesowały. Część jej przyjaciół i rówieśników uważała, że są słodkie. Ale nie Klara. Z tego co słyszała, wymagały nieustannej pracy – karmienia, kołysania, kąpeli – i stanowczo za dużo płakały. Unikała praktyk w tym ośrodku.

Teraz, planując, jak się przedstawi w wejściu do ośrodka opieki, odkryła, że jest podniecona i nieco zdenerwowana. Przećwiczyła w głowie wszystko, co być może będzie musiała wyjaśnić, wchodząc do środka. Pytanie o Zofię byłoby niemądre, pewnie ledwo ją pamiętała: nie przyjaźniły się jakoś szczególnie. Cemu zatem w ogóle się tu zjawia, prosząc o wstęp? Cóż, postanowiła szybko Klara, po prostu raz jeszcze skłamać. Wbrew zasadom. Wiedziała o tym. Kiedyś by się tym przejęła. Ale nie teraz. To takie proste. Tylko jedno niewielkie kłamstwo.

Wsunęła rower w stojak – kilka miejsc zostawiono wolnych dla gości. Potem odczepiła z uchwyty zwinięte plakaty i zabrała je ze sobą do środka. Wewnątrz młoda kobieta siedząca za biurkiem uniosła wzrok znad papierów i uśmiechnęła się.

– Dzień dobry – powiedziała uprzejmie, zerkając na plakietkę Klary. – Mogę w czymś pomóc?

Klara się przedstawiła.

– Pracuję w wylęgarni – wyjaśniła. – Mamy niepotrzebne plakaty wyjaśniające cykl życiowy łososa. Zastanawiałam się, czy może by się wam przydały do ozdobienia korytarzy.

Mówiąc to, uświadomiła sobie, że gdyby tamta odparła twierdząco, czekałoby ją sporo wyjaśnień w wylęgarni, gdzie nadzorca czekał niecierpliwie na swoje plakaty. Ale mogła bezpiecznie założyć, że odpowiedź będzie brzmieć: „Nie”. Kogo obchodził rozwój ryb? Nie ciekawił nawet tych, którzy przy nich pracowali.

I rzeczywiście, młoda kobieta uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Dziękuję – rzekła – ale mamy specjalnie zaprojektowany sprzęt zajmujący uwagę nowych dzieci. Nie odstępujemy od standardowych metod pomagania im w skupianiu uwagi i trenowaniu maleńkich mięśni. Wszystko jest precyzyjnie skalibrowane przez fachowców z dziedziny rozwoju dzieci.

Klara pokiwała głową.

– To bardzo ciekawe – rzekła. – Przepraszam, nigdy nie byłam tu na praktykach, niewiele wiem na temat opieki nad dziećmi. Czy pozwalacie gościom zwiedzać ośrodek?

Recepcjonistkę wyraźnie ucieszyło zainteresowanie Klary.

– Nigdy tu nie byłaś? O rany! To takie cudowne miejsce! Zdecydowanie powinnaś się rozejrzeć, skoro już tu jesteś! Zobaczmy, kto ma właśnie dyżur. – Przesunęła palcem wzdłuż kolumny imion.

– Jest może Zofia? – spytała Klara. – Była w mojej grupie wiekowej.

– Ach, Zofia! To taka pilna pracownica. Zaraz sprawdzę. Tak, tu jest jej imię,

zobaczmy, czy ma chwilę czasu.

Wezwana przez interkom Zofia wyłoniła się z bocznego korytarza. Niewiele się zmieniła, odkąd prawie trzy lata wcześniej obie skończyły dwanaście lat. Była szczupłą, włosy nosiła spięte pod czepkiem stanowiącym wyraźnie część uniformu. Klara uśmiechnęła się do niej.

– Cześć – rzuciła. – Nie wiem, czy mnie pamiętasz. Byłyśmy razem w dwunastolatkach. Mam na imię Klara.

Zofia zerknęła na plaketkę Klary i po chwili lekko pokiwała głową.

– Nie nosimy tu plaketek – wyjaśniła – bo nowe dzieci by za nie łąpały. Ale tak, pamiętam cię. Chyba miałyśmy razem zajęcia z matematyki.

– Nie znosiłam matematyki. Nie byłam z niej dobra. – Klara skrzywiła się.

Zofia zachichotała.

– Mnie szło całkiem nieźle, ale niezbyt mnie interesowała. Pamiętasz Marka? Miał takie wysokie oceny z matematyki! Teraz studiuje inżynierię.

Klara przytaknęła.

– Zawsze czegoś się uczył – wspomniała.

Zofia zmarszczyła brwi i zerknęła na drobny druk pod imieniem Klary na plaketce.

– Zapomniałam, jaki miałaś przydział – rzekła. – Twój uniform to...

– Wylęgarnia ryb – wyjaśniła szybko Klara. Świetnie. Zofia nie pamiętała, że przydzielono ją do rodziców.

– I co właściwie tu robisz?

– Mam nadzieję na zwiedzanie! – odparła Klara. – W jakiś sposób udało mi się całkowicie przeoczyć dziedzinę opieki nad dziećmi, a mam dziś po południu trochę wolnego czasu.

– Ach. No dobrze, chodź za mną, wyjaśnię ci wszystko. Ale muszę pracować. Już prawie czas karmienia. Chodź. Najpierw umyj ręce. – Zofia wskazała dozownik środka dezynfekującego na ścianie korytarza. Klara poszła za jej przykładem, starannie szorując ręce przejrzystym, medycznym żelem.

– Najmłodsze są w tym pierwszym pomieszczeniu.

Najmłodsze. To oznaczało najświeższe nowe dzieci. Klara cofnęła się myślami i przypomniała sobie, które z jej sióstr naczyń szykowały się do porodu, gdy ją odprawiono. To pewnie ich produkty.

– Nie wolno tam wchodzić bez sterylnych strojów. Ale możemy je obejrzeć. – Zofia wskazała okienko, za którym widać było nieskazitelnie czyste pomieszczenie pełne niewielkich wózków. Wiele z nich było pustych. Dwoje pracowników, młody mężczyzna w uniformie piastuna i ochotniczka, na oko dziesięciolatka, porządkowało rzeczy. Spojrzeli w okno i widząc obserwatorki, uśmiechnęli się.

– Ile mamy najświeższych?! – zawołała przez szybę Zofia.

Ochotniczka uniosła cztery palce, potem podeszła do jednego z wózków i pchnęła bliżej okna, by Zofia i Klara mogły go obejrzeć. Z boku wisiała karta z symbolem wskazującym płeć żeńską i numerem czterdzieści pięć.

– Czterdzieści pięć? – spytała Klara, mierząc wzrokiem noworodka opatulonego ciasno w jasnobłękitny kocyk, który odsłaniał tylko twarz. Oczy miał mocno zamknięte.

– Co to znaczy?

Zofia popatrzyła na nią zaskoczona.

– Numer czterdzieści pięć. Czterdzieste piąte nowe dziecko w tym roku. Dostaniemy jeszcze tylko pięć. Nie pamiętasz? Wszyscy mieliśmy numery. Ja byłam dwadzieścia sześć.

– A, tak, oczywiście. Byłam jedną z najwcześniejszych w naszym roku. Numer jedenaście.

I rzeczywiście, teraz kiedy Zofia o tym wspomniała, przypomniała sobie. Po ukończeniu dwunastu lat numery nie miały już większego znaczenia, rzadko się do nich odwoływano. Ale w dzieciństwie fakt, że była numerem jedenaście, dobrze jej służył. Oznaczał jedenaste nowe dziecko w tym roku – starsze od tak wielu innych (na przykład choćby Zofii), które później zaczęły chodzić i mówić, później rosły. Oczywiście w wieku dwunastu lat większość z tego się wyrównała. Ale Klara pamiętała czasy, gdy była pięcio-i sześciolatką i szczyła się, że nieco wyprzedza wiele innych dzieci.

– A pozostałe z tegorocznej partii? – spytała głośno.

Zofia wskazała gestem.

– Najstarsze, o numerach od jednego do dziesięciu, są w tamtym pomieszczeniu. Kilko z nich umie już chodzić. – Wywróciła oczami. – Ciągłe uganianie się za nimi bywa naprawdę męczące. – Ruszyła wzdłuż korytarza i skręciła, a Klara podążyła za nią. – Druga najstarsza grupa jest tutaj.

Kolejne duże okno pozwoliło dwóm młodym kobietom zajrzeć do pokoju, w którym grupka niemowląt raczkowała po pokrytej dywanem podłodze usłanej zabawkami. Tymczasem pod ścianą, przy blacie i zlewie, ich opiekunowie przygotowywali butelki.

– Zatem umieszcza się je w grupach po dziesięciuro?

Zofia przytaknęła.

– Pięć pomieszczeń, dziesięciuro w każdym, gdy mamy pełną pięćdziesiątkę. W tej chwili wciąż czekamy na kilka noworodków. Potem, gdy osiągniemy pięćdziesiąt, to już będzie koniec do następnej ceremonii. – Pomachała wesoło ochotniczce wkładającej butelki do podgrzewacza. Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko i również pozdrowiła je gestem. – A potem, oczywiście po przydzieleniu tegorocznej pięćdziesiątki, zaczniemy od nowa tuż po ceremonii, gdy stopniowo będą przybywać kolejne. To dla nas trochę jak wakacje!

– Do ceremonii zostało jednak trochę czasu, a wy macie już niemal całą pięćdziesiątkę?

– W oddziale rodziolek rozplanowują to tak, żeby nie dostarczać nam grupy noworodków pod koniec roku. Rodzice, którym przydziela się nowe dzieci, nie chcą najmłodszych.

– Za dużo pracy?

– Nie do końca. Widziałaś minutę temu? Te najświeższe? Głównie śpią. Ale utrzymywanie nieskazitelnej czystości to wielka odpowiedzialność, poza tym z najmłodszymi nie da się bawić. Rodzice, kiedy dostają dzieci, lubią się z nimi bawić.

Klara nie słuchała uważnie. *Trzydzieści sześć*, pomyślała. Jej produkt miał numer trzydzieści sześć, na zawsze utrwaliła go w pamięci.

– Zatem dalej jest trzecia dziesiątka? – spytała. – Czekaj, sama policzę. Jeden do dziesięciu. Potem ta grupa, jedenaście do dwudziestu. Następna to dwadzieścia jeden do trzydziestu, zgadza się?

– Tak, to tam, po drugiej stronie korytarza. Zwykle pracuję z tą właśnie grupą. Za

minutę będą musiała tam wrócić, żeby pomóc w karmieniu.

Klara zerknęła przez okno na grupę niemowląt Zofii – dyndały właśnie z huśtawek uczepionych do sufitu, odpychając się bosymi stopami od dywanu. Piastun przewijał jedno z nich na wyściełanym stole; zauważył dziewczęta i znacząco pokazał duży zegar na ścianie. Zofia uchyliła drzwi, Klara natychmiast usłyszała gaworzenie i śmiechy – to dzieci „rozmawiały” ze sobą. Uśmiechnęła się. Wcześniej nowe dzieci w ogóle nie wydawały jej się atrakcyjne, ale musiała przyznać, że mają w sobie pewną słodycz. Zaczynała rozumieć, dlaczego nowi rodzice woleli dostać takie, z którymi mogli się bawić.

– Zaraz przyjdę – poinformowała współpracownika Zofia. – Oprowadzam gościa. Albo – obróciła się do Klary – mogłybyśmy się tu zatrzymać. Została jeszcze tylko jedna grupa, prawie najmłodszych, nie są zbyt interesujące. Chcesz wejść i pobawić się z tymi? Mogłabyś któreś nakarmić, jeśli chcesz.

Klara zawahała się. Wolała nie wyglądać na zbyt zainteresowaną jedną szczególną grupą.

– Wiesz co – rzekła do Zofii – szczerze mówiąc, wolałabym zerknąć na tę ostatnią, żeby móc powiedzieć, że widziałam wszystko. Nie masz nic przeciw temu?

Zofia westchnęła.

– Za minutkę wracam – poinformowała mężczyznę w uniformie, który umieścił przewinięte niemowlę z powrotem w huśtawce i teraz wyciągał z ogrzewacza niewielkie talerze z płatkami. – To tutaj. – Poprowadziła Klarę do ostatniego pomieszczenia w korytarzu.

– Czyli to... niech pomyślę. Trzydzieści jeden do czterdziestu?

– Zgadza się. – Zofia wyraźnie bardzo chciała już wracać do swych własnych podopiecznych. – Prawie najświeższe.

– Mogłabym wejść? – Klara zaglądała przez okno obserwacyjne. W każdej niewielkiej kołysce leżał niemowlak, dwoje opiekunów umieszczało podgrzane butelki w wyściełanych uchwytach obok ich głów, by mogły swobodnie ssać.

– Chyba tak. – Zofia otworzyła drzwi i spytała: – Mam gościa, nie przyda się wam pomocna dłoń przy karmieniu?

Mężczyzna w uniformie uśmiechnął się.

– Może nawet dwie dłonie? Będziemy wdzięczni za każdą pomoc.

– Ja muszę wracać do swojej grupy. Ale zostawię ją tu z wami.

– Dziękuję, Zofio. Miło było znów cię widzieć. – Klara uśmiechnęła się. – Może kiedyś umówimy się na obiad?

– Tak, przyjdź, kiedy tylko będziesz mogła. Najlepiej, kiedy drzemią. – Zofia pożegnała ją szybkim machnięciem ręki i wróciła do własnego pomieszczenia.

Klara nieśmiało przekroczyła próg i stała, patrząc, jak piastuni rozdzielają ostatnie butelki.

– No proszę – rzekł piastun. – Wszyscy już dostali. Teraz musimy od czasu do czasu sprawdzać, by mieć pewność, że dobrze je umieściliśmy. Oczywiście jeśli wypuszczą smoczek, zaczną płakać. Każdy by płakał, prawda? – Zerknął z uśmiechem na jedno z niemowląt, z zapamiętaniem ssące mleko. – A potem podniesiemy kolejno maleństwa i poklepiemy po pleckach, żeby mogły odbeknąć. Robiłaś to kiedyś?

Klara pokręciła głową. Odbeknąć? Nawet sobie tego nie wyobrażała.

– Nie.

Zaśmiał się.

– No to możesz popatrzeć. A potem, gdybyś chciała spróbować...

Wyjął z kołyski jedno z niemowląt. Klara podeszła naprzód i zerknęła na numer. Czterdzieści. Rozejrzała się, sprawdzając, czy numery są po kolei. Ale łóżeczka miały kółka i wydawały się rozmieszczone całkiem przypadkowo. Patrzyła, jak piastun zaniósł numer czterdzieści do fotela na biegunach w kącie i usiadł, tuląc go do ramienia.

Druga z piastunów, młoda kobieta, pochyliła się nad łóżeczkiem, powąchała i powiedziała nagle:

– Uch-och! Trzydzieści cztery trzeba przewinąć! – Zmarszczyła nos i pchnęła łóżeczko do przewijaka. – Będziesz musiała dokończyć butelkę, kiedy już cię umyję, malutka – dodała ze śmiechem i położyła niemowlę na stole.

W tym momencie Klara zauważyła, że na każdym łóżeczku widniał symbol płci. Przecisnęła się obok nich, zerkając na dzieci. Niektóre ssały mleko z pogodnymi minami, inne piły zachłannie. Nagle z jednego łóżka, oznaczonego symbolem chłopca, dobiegł wrzask, który po chwili zamienił się w głośnie zawrodozenie.

– Nie muszę nawet pytać, kto to – powiedział mężczyzna, wciąż poklepując i gładząc po plecach trzymanego malucha. – Poznaję jego głos.

Klara zerknęła na numer na łóżeczku z płaczącym nowym dzieckiem.

– To trzydzieści sześć – rzekła.

– Oczywiście, że to trzydzieści sześć – odparł tamten ze śmiechem. – To zawsze jest trzydzieści sześć. Możesz go podnieść? Może uda ci się sprawić, żeby przestał tak wrzeszczeć.

Klara odetchnęła głęboko. Nigdy dotąd nie trzymała niemowlęcia. Obserwujący ją mężczyzna najwyraźniej to wyczuł.

– Nie złamie się, dzieci są całkiem odporne. Po prostu pamiętaj, żeby podtrzymywać głowę.

Schyliła się, jej dłonie – jakby same wiedziały, co robić – wsunęły się łatwo pod malucha i znalazły chwyt pod karkiem i głową. Klara ostrożnie uniosła swojego syna.



Nic się nie zmieniło. Życie Klary nie uległo zmianie. Każdego dnia budziła się, brała prysznic, zakładała uniform i przyczepiała plakietkę: „Klara, asystentka w wylęgarni ryb”. Szła do kafeterii, witała współpracowników, jadła poranny posiłek i zabierała się za przydzielone jej zadania. Przełożeni w wylęgarni byli zadowoleni z jej pracy.

Równocześnie jednak wszystko wyglądało inaczej. Każda jej myśl skupiała się na nowym dziecku, które spotkała tylko raz, trzymała przez moment, w którego jasne oczy zerknęła przelotnie, którego kręcone włosy zbyt krótko dotykały jej podbródka. Na numerze trzydzieści sześć.

– Wybrali już imię? – spytała młodą piastunkę, sprawnie wsuwającą w uchwyt butelkę dla dziewczynki, którą przewinęła i odłożyła do łóżeczka.

– Dla niej? Nie sądzę, chyba nie, poza tym i tak nam nie mówią. Nigdy nie poznajemy imion aż do dnia przydziału.

Każde nowe dziecko przekazywano wybranym rodzicom podczas ceremonii odbywającej się w grudniu. Wówczas też ogłaszano imiona wybrane przez komisję.

– Chodziło mi o niego – wyjaśniła Klara. Zajęła miejsce w wolnym bujanym fotelu i teraz kołysała się w przód i w tył z trzydziestym szóstym, który przestał już tak głośno płakać. Patrzył na nią.

– A, dla niego. Możliwe, że w ogóle nie dostanie imienia podczas najbliższej ceremonii. Mówią już o tym, by zatrzymać go tu jeszcze rok. Nie radzi sobie zbyt dobrze. Nazywają to niepowodzeniem rozwojowym. – Młoda kobieta wzruszyła ramionami.

– Tak naprawdę ma już wyznaczone imię. – Mężczyzna odłożył odbekniętego niemowlaka do łóżeczka, wsunął butelkę na miejsce, podszedł do Klary i spojrzał z góry na numer trzydzieści sześć. – Cześć, malutki – rzucił śpiewnym głosem.

– Serio? Skąd wiesz? – Młoda kobieta nie ukrywała zdziwienia.

Mężczyzna odebrał Klarze trzydziestego szóstego; oddał go niechętnie.

– Martwię się o niego – wyjaśnił. Popatrzył na niemowlaka i wykrzywił się zabawnie, jakby chciał go zachęcić do śmiechu. – Pomyślałem, że może lepiej reagować, jeśli będę go nazywał jego imieniem. Zakradłem się więc do biura i zerknąłem na listę.

– I? – naciskała jego asystentka.

– I co?

– To imię to...?

Mężczyzna roześmiał się.

– Nie powiem. Używam go tylko w sekrecie. Gdyby ktoś usłyszał, miałbym kłopoty,

więc bardzo uważam. – Podrzucił chłopczyka na kolanach. – Ale to dobre imię, pasuje do niego.

Kobieta westchnęła.

– Cóż, lepiej, by rozweseliło go przed grudniem, jeśli chce dostać rodzinę. A na razie – dodała i spojrzała na zegar – wkrótce nadejdzie pora drzemki, a jeszcze nie skończyliśmy karmienia.

Zupełnie zapomnieli o obecności Klary. Wstała z fotela. Rzeczywiście, czas płynął szybko.

– Muszę wracać – oznajmiła. – Zastanawiam się, czy mogłabym znów was odwiedzić.

Przez chwilę oboje milczeli i natychmiast zrozumiała dlaczego. To była dziwna prośba. Dzieci odbywały praktyki w wielu różnych miejscach, wymagano tego od nich. Ale po przydziałach, po zakończeniu dzieciństwa, ludzie pracowali w wyznaczonych im zawodach. Nie odwiedzali innych miejsc, nie próbowali nowych rzeczy. Postarała się szybko wymyślić logicznie brzmiące wyjaśnienie.

– Mam mnóstwo wolnego czasu – oznajmiła głośno. – W wylęgarni to mało ruchliwy okres, wpadłam więc dzisiaj odwiedzić Zofię. Znacie Zofię? Pracuje dalej w korytarzu z poprzednią partią nowych dzieci.

Pokiwali głowami.

– Dwadzieścia jeden do trzydziestu – rzekł mężczyzna. – To grupa Zofii.

– Właśnie, a ona oprowadziła mnie trochę i widzę, że od czasu do czasu przydałaby wam się dodatkowa para rąk. Proponuję zatem pomoc. Oczywiście jeśli zechcecie.

Klara zdawała sobie sprawę z tego, że mówi bardzo szybko. Denerwowała się. Ale ta dwójka niczego nie zauważyła.

– Wiesz – rzekł mężczyzna – gdybyś chciała to robić regularnie i oficjalnie, musiałabyś wypełnić kilka formularzy.

Młoda kobieta potwierdziła.

– Dostać zgodę – dodała.

Serce Klary ścisnęło się. Nie mogłaby tego zrobić. Nie mogłaby wypełnić oficjalnych dokumentów. Natychmiast by ją zidentyfikowali jako rodzicielkę, która otrzymała nowy przydział.

Trzydzieści sześć zaczął kręcić się i zawodzić. Mężczyzna zaniósł go do łóżeczka i podsunął butelkę, lecz niemowlak płakał dalej. Piastun poklepał wymachujące nóżki w daremnej próbie uspokojenia malucha. Spojrzał na Klarę z cierpkim uśmiechem.

– Ale przychodź, kiedy będziesz miała wolną chwilę – zdecydował. – Od czasu do czasu.

– Może tak zrobię. – Klara starała się mówić lekko, jak on. – Jeśli kiedyś będę miała chwilę.

Odwróciła się i uciekła. Trzydzieści sześć płakał dalej. Wychodząc z budynku, wciąż go słyszała.



Teraz nie myślała o niczym innym, o nikim innym.



Bardzo dziwnie było czuć coś takiego – choć sama nie wiedziała, jak to nazwać. Klara nigdy wcześniej nie doświadczyła niczego podobnego. Tak bardzo tęskniła za nowym dzieckiem, wspominała jego twarz – poważne jasne oczy patrzące prosto na nią, włosy okalające czubek głowy i unoszące się w lokach, zmarszczone czoło i drżący podbródek, nim zaczęło płakać.

Każdej komórcie rodzinnej zezwalano na dwoje dzieci, po jednym z obu płci, a ona była tym młodszym. Rodzice odczekali kilka lat po otrzymaniu Piotra i poprosili o przydział dziewczynki. Klara zatem nigdy wcześniej nie знаła noworodka ani małego dziecka.

Podczas wieczornego posiłku zaczęła wypytywać współpracowników, starając się, by zabrzmiało to jak zwyczajna rozmowa.

– Czy ktoś z was pamięta, jak dostał rodzeństwo?

– Jasne – odparł Rolf – miałem osiem lat, kiedy otrzymaliśmy moją siostrę.

– Ja byłem starsza – oznajmiła Edyta. – Rodzice czekali bardzo długo, nim poprosili o mojego brata. Miałam chyba jedenaście lat.

– Byłem drugim dzieckiem w rodzinie – rzekł Eryk. – Ktoś chce ostatni kawałek chleba? – Wszyscy pokręcili głowami, Eryk wziął kromkę z półmiska. – Moja siostra była zaledwie trzylatką, gdy mnie dostali. Matka chyba naprawdę lubiła małe dzieci. – Skrzywił się, jakby ten pomysł go zdumiewał.

– Nad tym się właśnie zastanawiałam – wyjaśniła Klara. – Czy często się zdarza, by ludzie bardzo lubili nowe dzieci?

– Zależy, co masz na myśli, mówiąc „bardzo lubili” – odrzekł Dimitri. Jako szef całej procedury wylęgania Dimitri należał do pracowników wyższego szczebla; był starszy i długo studiował nauki ścisłe. – Ale oczywiście wiesz, że noworodki każdego gatunku... – Urwał i powiódł wzrokiem po reszcie zebranych i ich pustych twarzach. – Nie uczyliście się tego na biologii ewolucyjnej? – spytał. W końcu słysząc w odpowiedzi jedynie ciszę, zachichotał. – No dobra, czyli nie wiecie. Wyjaśnię. Noworodki rodzą się z wielkimi, szeroko rozstawionymi oczami i dużymi głowami, bo dzięki temu wyglądają atrakcyjnie dla dorosłych swojego gatunku. Zapewnia im to karmienie i opiekę, bo wyglądają...

– Uroczo? – wtrąciła Edyta.

– Właśnie. Uroczo. Gdyby rodziły się brzydkie, nikt nie chciałby ich nosić, uśmiechać się do nich, rozmawiać z nimi. Nie dostawałyby jeść. Nie nauczyłyby się śmiać ani mówić. Gdyby nie podobały się dorosłym, mogłyby nie przetrwać.

– Co to znaczy „każdego gatunku”?

– No cóż, nie mamy już ssaków, bo zdrowa dieta nie obejmuje ich mięsa, a one same osłabiały wydajność społeczności. Na innych obszarach żyją jednak dzikie stworzenia. Nawet tutaj ludzie hodowali niegdyś tak zwane zwierzątka domowe, zwykle te mniejsze: psy albo koty. U nich wyglądało to tak samo, ich noworodki były... no cóż, urocze. Wielkie oczy i tak dalej. Tyle że zwierzęta się nie uśmiechają. To umiejętność właściwa jedynie ludziom.

Klara słuchała zafascynowana.

– Co ludzie robili ze zwierzątkami?

Dimitri wzruszył ramionami.

– Chyba się z nimi bawili. A poza tym zwierzęta zapewniały towarzystwo osobom samotnym. Teraz oczywiście już ich nie mamy.

– Tu nikt nie jest samotny – zgodziła się Edyta.

Klara milczała. Nie powiedziała tego głośno, ale w duchu powtarzała: *Ja. Ja jestem samotna*. Lecz już w chwili gdy słowa te zabrzmiały w jej głowie, pojęła, że tak naprawdę nie wie, co oznaczają.

Odezwał się pierwszy brzęczyk oznaczający, że czas już kończyć. Zaczęli zbierać tace.

– Rolfie? Edyto? – spytała Klara. – Kiedy dostaliście swoje rodzeństwo, noworodki o wielkich oczach i wielkich głowach, były urocze...

Oboje wzruszyli ramionami.

– Chyba tak – mruknęła Edyta.

– Czy myśleliście o nich bezustannie, chcieliście je przytulić i nigdy już nie opuścić?

Popatrzyli na Klarę, jakby powiedziała coś niewyobrażalnego bądź niezrozumiałego. Szybko zatem zmieniła pytanie.

– Raczej chodziło mi o matki. Czy wasze matki tuliły rodzeństwo, kołysały je i, no...

– Moja matka pracowała tak jak każda inna. Oczywiście bardzo sprawnie opiekowała się siostrą, co dzień zabierała ją do świetlicy – oznajmił Rolf. – Nie lubiła jednak się przytulać. Nie moja matka.

– To samo dotyczy mojej matki i brata – dodała Edyta. – Pomagałam z ojcem w opiece nad nim, ale oboje rodzice mieli bardzo wymagającą pracę, a ja szkołę i oczywiście szkolenie. Z radością oddawaliśmy go co dzień do świetlicy. Rzecz jasna byliśmy z niego bardzo dumni. Należał do najinteligentniejszych dzieci – dodała wyniośle. – Teraz studiuje nauki komputerowe.

Zabrział ostatni brzęczyk i wszyscy wstali, by wrócić do pracy.

Muszę przestać myśleć o trzydziestym szóstym, upomniała się Klara.



Okazało się to jednak niemożliwe. Co dzień przy mikroskopie, gdy badała zarodki łososia, szukając wad budowy, patrzyła na duże, ciemne kropki prymitywnych, nieuformowanych oczu i wyobrażała sobie, że spoglądają na nią. To przecież niemożliwe, te ciemne lśniące kulki niczego nie widziały, jeszcze nie, a w drżącej galarecie nie kryła się nawet odrobina inteligencji, nic, co pragnęłoby uczucia czy nawet uwagi. Mimo to raz po raz przypominały jej jasne oczy o długich rzęsach, które patrzyły na nią krótką chwilę, i małe palce oplatające kciuk.

Zacząła śnić o numerze trzydzieści sześć. W jednym śnie znów miała na twarzy skórzaną maskę, ale dali jej coś, by to przytrzymała. To coś poruszyło się niepewnie w jej ramionach, a ona przytuliła je mocno, wiedząc, że to on, nie chcąc, by go odebrali. Płakała pod maską, gdy to uczynili.

W innym powtarzającym się śnie trzydzieści sześć mieszkał z nią w pokoiku w wylęgarni, tyle że nikt o tym nie wiedział. Trzymała go w szufladzie, którą od czasu do czasu otwierała, a wówczas patrzył na nią i uśmiechał się. W społeczności wszelkie tajemnice były zakazane i sny o ukrytym nowym dziecku sprawiały, że budziła się ogarnięta zgrozą i poczuciem winy. Ale było silniejsze uczucie, które pozostawało z nią dłużej: podniecenie towarzyszące otwarciu szuflady i stwierdzeniu, że wciąż tam leży, że uśmiecha się i jest bezpieczny.

Jako dzieci w komórkach rodzinnych co rano musieli opowiadać swoje sny. Samotnych pracujących członków społeczności, choćby tych w wylęgarni, ów wymóg nie dotyczył. Od czasu do czasu, w trakcie porannego posiłku, któryś z pracowników opowiadał zabawny sen. Brakowało jednak dyskusji, stanowiących część rodzinnego rytuału. A Klara ukrywała swoje nowe sny.

Dręczył ją jednak niepokój i czuła się inna w sposób, którego sama nie rozumiała. W nowej pracy wymagano nieustannych starannych analiz, spróbowała zatem przeanalizować własne uczucia. Nigdy wcześniej tego nie robiła, bo nie musiała. Przez całe życie Klara czuła tylko... Właściwie co? Zacząła szukać w pamięci odpowiedniego określenia. Zadowolenie. Tak, zawsze była zadowolona. Zresztą jak wszyscy w społeczności. Zaspokajano ich potrzeby, niczego im nie brakowało, niczego nie... *To jest to*, pojęła Klara. Wcześniej niczego nie pragnęła, za niczym nie tęskniła. Ale teraz, od dnia porodu, czuła ciągłą, rozpaczliwą tęsknotę, pragnienie zapełnienia wewnętrznej pustki.

Chciała odzyskać swoje dziecko.

Czas płynął. Była już połowa listopada, a ona miała mnóstwo pracy. W końcu jednak znalazła chwilę, by wrócić do ośrodka opieki.



Witaj ponownie! – pozdrowił ją ciepło i radośnie mężczyzna. – Już myślałem, że o nas zapomniałaś!

Klara uśmiechnęła się. Ucieszyła się, że ją poznał.

– Nie, ale to w pracy intensywny okres. Trudno było się wyrwać.

– Cóż – zgodził się – już prawie grudzień, mnóstwo się dzieje.

– Pewnie zwłaszcza tutaj. – Klara wskazała gestem cały ośrodek, nie tylko to pomieszczenie o przygaszonych światłach.

Minęła właśnie pora karmienia i wszystkie nowe dzieci spały. Rozmawiali z mężczyzną, zniżając głosy. W kącie jego asystentka w milczeniu składała właśnie dostarczone czyste pranie.

– Tak. Przygotowujemy je. Najwyraźniej przydział już się dokonał, choć jeszcze nie widziałem listy.

Klarę uderzyła nagła myśl.

– Masz może małżonkę? Czy mógłbyś wystąpić o dziecko, a potem... To pewnie wbrew przepisom, ale... Czy mógłbyś wybrać, które zostanie ci przydzielone?

Roześmiał się.

– Już na to za późno. Owszem, mam małżonkę, pracuje w Departamencie Prawa i Sprawiedliwości. Ale jesteśmy już pełną rodziną: najpierw dostaliśmy chłopca, potem dziewczynkę. Było to dość dawno temu, wówczas pracowałem jako asystent, brakowało mi wpływów.

– Czyli nie miałeś pojęcia które...?

Pokręcił głową.

– To przecież nieważne. Starannie je dobierają, z naszych jesteśmy bardzo zadowoleni.

Jego uwagę przyciągnął dźwięk dobiegający z jednego z łóżeczek. Mężczyzna odwrócił się; dźwięk brzmiał coraz głośniejszy, marudzący płacz niemowlęcia. Klara widziała wymachującą małą piąstkę.

– Mam go wziąć? – spytała asystentka, oglądając się przez ramię.

– Nie, ja to zrobię. To znów trzydzieści sześć, oczywiście! – W jego głosie dźwięczała czułość i rezygnacja.

– A ja mogę? – Klara zaskoczyła samą siebie.

– Bardzo proszę. – Mężczyzna żartobliwie wskazał łóżeczko. – Lubi, gdy się z nim rozmawia, czasami pomaga też poklepanie po plecach.

– Albo nie – wtrąciła cierpko kobieta z kąta i mężczyzna wybuchnął śmiechem.

Klara podniosła niespokojne nowe dziecko.

– Przejdź się z nim po korytarzu – podsunął mężczyzna. – Żeby nie pobudził innych.

Ostrożnie wyniosła z pokoju kręcące się, marudzące niemowlę i zaczęła krążyć tam i z powrotem po długim korytarzu, kołysząc dzieckiem i podrzucając je lekko, by się uspokoiło. Chłopczyk uniósł głowę i rozejrzał się wielkimi oczami. Klara odkryła, że mówi do niego śpiewnym głosem bezsensowne słowa i frazy. Wtuliła twarz w jego szyję i wciągnęła w nos mleczny, pudrowy zapach. W końcu odprężył się w jej ramionach i zasnął.

Mogłabym stąd wyjść, pomyślała. Mogłabym wyjść w tej chwili. Mogłabym go zabrać.

Lecz nawet myśląc o tym, wiedziała, że to niemożliwe. Nie miała pojęcia, jak karmić niemowlę, jak się nim zająć. I mimo kuszącego snu o tajemnej szufladzie w pokoju nie zdołałaby go ukryć.

Mężczyzna stanął w drzwiach. Uśmiechnął się, widząc, że dziecko śpi, i wezwał ją gestem.

– Dobra robota – wyszeptał, gdy podeszła bliżej.

Stanęli razem w korytarzu przy oknie wychodzącym na rozproszone domostwa i pola uprawne za nimi. Dwóch chłopców przejechało obok na rowerach – mężczyzna pomachał do nich, chłopcy jednak rozmawiali z zapalem i nie zauważyli. Jej towarzysz wzruszył ramionami.

– Mój syn – wyjaśnił ze śmiechem.

Klara zerknęła i przekonała się, że chłopcy skręcili na skrzyżowaniu ścieżek, tuż za świetlicą. Pewnie wybierali się do strefy rekreacyjnej.

– Świetnie sobie radzisz – rzekł i spojrzała na niego pytająco. Skinieniem głowy wskazał śpiące niemowlę w jej ramionach. – On prawie nie sypia. Klasyczne niepowodzenie rozwojowe, postanowili zatem nie przydzielać go rodzinie podczas ceremonii. Zatrzymamy go tutaj jeszcze rok, damy szansę, by nieco dojrzał. U niektórych nowych dzieci trwa to dłużej niż u innych. Trzydzieści sześć to bardzo trudny przypadek, na noc zabieram go do swego domostwa – wyjaśnił. – Nocna ekipa narzekała na niego, bo budził inne dzieci, spędza więc noce z moją rodziną.

Sięgnął po dziecko i Klara oddała je niechętnie. Przekazując mężczyźnie chłopczyka, coś poczuła. Odsunęła kocyk i ujrzała metalową bransoletkę okalającą maleńką kostkę.

– Co to?

– Zabezpieczenie. Uruchomiłoby alarm, gdyby wyniesiono go z budynku.

Klara odetchnęła głęboko, przypominając sobie wcześniejszą przelotną myśl: *Mogłabym go zabrać.*

– Noszą je wszystkie nowe dzieci. Sam nie wiem dlaczego. Kto by takie chciał? – Mężczyzna zaśmiał się. – Zdejmuję ją, kiedy pod koniec dnia biorę go ze sobą.

Dziecko spało, mężczyzna zaczął mrużyć do niego cicho.

– Grzeczny chłopczyk – usłyszała Klara. – Pójdiesz dziś ze mną do domu? Taki grzeczny chłopczyk.

Odwrócił się, wciąż mrużąc, i położył nowe dziecko w łóżeczku. Klara patrzyła i słuchała, i nagle wydało jej się, że słyszy, jak piastun szepcze imię. Ale nie miała pewności jakie. Abi? Czy to to? *Tak brzmiało, pomyślała. Jak Abi.*



Klara nie wzięła udziału w ceremonii. Przybywali na nią co rok niemal wszyscy członkowie społeczności, ale w każdym ośrodku musiał zostać ktoś, kto by go nadzorował, i Klara zgłosiła się na ochotnika, żeby zostać w wylęgarni. Rodzicielki, naczynia, stanowiły wyjątek, toteż Klara przez ostatnie dwa lata nie uczestniczyła w uroczystościach. Teraz odkryła, że zupełnie nie interesuje jej owo dwudniowe święto.

Pierwszy punkt programu zawsze stanowiło nadawanie imion i przydzielanie nowych dzieci, aby rodzice mogli je zabrać i zająć się nimi przez resztę dnia, żeby nie przeszkadzały. Klara rozpaczliwie pragnęłaby uczestniczyć w ceremonii, gdyby jej własne dziecko, Abi (teraz, myśląc o nim, próbowała nazywać go podsłuchanym imieniem), miało trafić do pary rodzicielskiej. Ale on miał zaczekać jeszcze rok, a nie obchodziło jej, dokąd trafi reszta.

Nieszczególnie zajmowało ją też dobieranie małżonków. Podobnie jak Klara większość ludzi uważała, że to nudne – oczywiście ważne, ale rzadko zaskakujące. Kiedy dorosły członek społeczności składał podanie o małżonka, komitet rozważał to miesiącami, czasem nawet latami, dokonując wyboru, dopasowując cechy szczególne – poziom energii, inteligencję, pracowitość i inne – sprawiające, że ludzie pasują do siebie. Pary małżeńskie ogłaszano co roku podczas ceremonii. Potem dostawały własne domostwo. Komisja przez trzy lata przyglądała się im i monitorowała, a później, jeśli chciały, mogły złożyć podanie o dziecko. Przydział nowego dziecka był tak naprawdę bardziej podniecający niż dobór par.

Teraz, gdy Klara rozmyślała o tym, wędrując po korytarzach pustego laboratorium, jakże cichego i spokojnego, odkryła, iż zastanawia się nagle, czy ona także mogłaby wystąpić o współmałżonka. Jako rodzicielka nie podlegała tej procedurze. Ale teraz? Rolf, jej współpracownik, złożył podanie i czekał. Słyszała, że Dimitri także. Czy i ona mogłaby to zrobić? Nie osiągnęła jeszcze odpowiedniego wieku, ale kiedy to nastąpi? Nie wiedziała. Przepisy dotyczące zwykłych obywateli były tak jasne, tak dobrze znane, tak starannie przestrzegane. Lecz sytuacja Klary stanowiła wyjątek, a gdy ją odprawiono i przydzielono do wylęgarni, nie uzyskała zbyt wielu informacji. Zupełnie jakby przestała ich interesować. Ich. Nie była nawet pewna kogo. Starszysznę. Komisje. Głosy, które dźwięczały w głośnikach tak jak dziś rano: „Proszę zebrać się w audytorium przed otwarciem ceremonii”.

Zerknęła na czasomierz: niedługo południe. Małżonkowie zostaną dobrani w pary, nowe dzieci nazwane i przydzielone. Wkrótce zacznie się przerwa na posiłek: ludzie odbiorą zestawy obiadowe i zasiądą przy stołach rozstawionych przed audytorium. Następnie zbiorą się, by rozpocząć uroczystości postępującego wieku i dorastania.

Młodsze dzieci przedstawiano grupami: na przykład wszyscy siedmiolatkowie otrzymywali pierwsze zapinane z przodu kurtki. Dziewięciolatkowie stawali na scenie i przy wtórze donośnych oklasków odbierali pierwsze rowery. Dziesięciolatków strzyżono, dziewczynki traciły warkocze, a potem scenę opanowywali zamiatacze, usuwając obcięte włosy. Ceremonie postępującego wieku zwykle szły bardzo szybko, towarzyszyły im oklaski – a czasem też śmiechy, bo co roku ktoś z takiego czy innego powodu wybuchał płaczem albo czuł potrzebę popisania się na scenie i robił coś niemądrego.

Klára uczestniczyła w rytuałach przez całe dzieciństwo. Nie miała nic przeciw temu, by ich sobie oszczędzić.

Ceremonia dwunastolatków, która rozpocznie się drugiego ranka, stanowiła zawsze najważniejszy punkt programu. Tu działy się rzeczy nieoczekiwane, bo dzieci otrzymywały swoje przydziały życiowe. Zawsze lubiła oglądać uroczystość przydziałów. Oczywiście póki nie otrzymała własnego.

Cóż, to już przeszłość. Cieszyła się jednak, że nie będzie siedzieć dziś na widowni i patrzeć, jak inne dziewczynki słyszą, że one także nadają się tylko do rozrodu.

Pod nieobecność wszystkich pracowników w wylęgarni panowała dziwna cisza. Klára nie miała zbyt wiele do roboty, musiała po prostu tam być i dopilnować, by nic się nie zepsuło. Lecz wszystko – temperatura w laboratoriach, wilgotność, nawet oświetlenie – było starannie skalibrowane i kontrolowane. Klára od czasu do czasu sprawdzała ekran swego komputera, wypatrując wiadomości z wylęgarni. Ale nie dostała niczego pilnego.

Wyjrzała przez okno na cumującą przy brzegu łódź dostawczą. Przybyła w niefortunnej chwili. Z powodu ceremonii będzie musiała poczekać dwa dni na wyladunek. *Choć pewnie członków załogi ucieszy chwila odpoczynku od pracy*, pomyślała Klára. Zastanawiała się, co robią podczas nieoczekiwanych wakacji. Wcześniej słuchała i przyglądała się, jak dźwigają towary, rozmieszczają je, przenoszą, wydają polecenia. Ubierali się inaczej: nie nosili luźnych tunik z osiedla. I mówili z lekkim akcentem, obcą intonacją.

Klary nigdy nie ciekawili ludzie Spoza Granicy. Stanowiło to część odwiecznego zadowolenia. „Tutaj” zawsze wszystkim wystarczało.

Teraz przez okno wpatrywała się w wyladowaną cumującą łódź i odkryła, że myśli o jej załodze.



Prawda, że obiad był dość paskudny?

Pod koniec dnia Eryk wmaszerował do holu wylęgarni wraz z pozostałymi. Cała grupa zaśmiewała się hałaśliwie, wyraźnie rada z faktu, że wielogodzinny rytuał siedzenia, uważnego słuchania i uprzejmego klaskania dobiegł końca.

– Może nie aż taki zły – odparł któryś z pracowników. – Po prostu stanowczo za mały! Wciąż jestem głodny.

Klara siedziała przy biurku w recepcji.

– Już prawie pora kolacji – oznajmiła. – Jak poszła ceremonia?

– Dobrze – rzucił ktoś. – Dotarli aż do jedenastolatków, więc na jutro została tylko ceremonia dwunastolatków.

– Świetnie. Czyli poszło gładko. Żadne z dzieci nie awanturowało się ani nie brykało – powiedziała Klara ze śmiechem.

– Nie. I żadnych niespodzianek – podsumowała Edyta.

– Może oprócz Dimitriego – dodał Eryk.

– Dimitriego?

Wszyscy zachichotali.

– Sądził, że przydzielono mu małżonkę, cały czas siedział jak na szpilkach, ale nie wywołano jego imienia.

– Oj, to znaczy, że będzie musiał czekać cały rok – mruknęła Klara.

– Albo dłużej! – przypomniał Eryk. – Niektórzy latami nie dostają pary.

– Tak jest najlepiej – skwitowała Edyta. – Pewnie tym razem nie było nikogo odpowiedniego dla niego.

Młody mężczyzna, którego imienia Klara nie знаła, słuchał ich rozmowy.

– Złożył podanie o małżonkę tylko dlatego, że chciał dostać własne domostwo – oświadczył. – Zmęczyło go mieszkanie w dormitorium. – Odwrócił się i ujrzał wchodzącego drzwiami Dimitriego. – Choć jako nadzorca dostał specjalny apartament. Czy nie tak, Dimitri? Masz dosyć dormitorium, prawda?

Dimitri zgniótł trzymany w dłoni program ceremonii w kulkę i cisnął nią w mężczyznę.

– Mam dość mieszkania z tobą, to wszystko!

Uśmiechnął się, podniósł z ziemi papier i wrzucił do pojemnika na śmieci.

Wszyscy powiesili kurtki na kołkach tkwiących w równym rzędzie obok drzwi frontowych.

– Miałaś tu spokój, Klaro? – spytał ktoś.

Pokiwała głową.

– Paru ludzi z łodzi zeszło na brzeg i wybrało się na spacer. Widziałam, jak wędrują ścieżką nad rzeką.

– Ci ludzie są tacy dziwni – skomentował Eryk. – Nigdy z nikim nie rozmawiają.

– Może to wbrew ich przepisom – podsunęła Klara.

– Możliwe. Poza Granicą panują pewnie zupełnie inne zasady.

– Prawdę mówiąc, rozmowa z nimi mogłaby stanowić naruszenie naszych przepisów. Czy ktoś to sprawdził? – wtrąciła Edyta.

Wszyscy jęknęli, większość zerknęła na wysoki pulpit obok biurka recepcjonisty.

Nagle Klara uświadomiła sobie, że mogłaby sama odpowiedzieć na swoje pytanie, czy wolno jej wystąpić o przydział małżonka. Ale czy naprawdę ją to obchodziło? Wystarczająco, by przebić się przez długi indeks i może znaleźć odpowiedź w podpunkcie albo przypisie? Pewnie nie, uznała.

Głośny ochrypli brzęczyk wezwał ich do kafeterii na wieczorny posiłek. Klara wstała i zajęła miejsce w kolejce. Z okna w korytarzu zauważyła dwóch członków załogi łodzi wylegujących się na pokładzie, który uginał się od ciężkich skrzyń z towarami. Młodzi mężczyźni wyciągnęli się obok siebie, oparli o zapieczętowaną skrzynię. Obaj unosili do ust małe rurki i jak się wydawało, wysysali z nich dym, wypuszczając go w powietrze. Dziwny zwyczaj. Klara nigdy wcześniej tego nie widziała i zastanawiała się, do czego służy. Może to jakiś inhalator medyczny.

Kolejka przesuwiała się naprzód, rozmowy, śmiechy i komentarze rozproszyły myśli Klary. Podeszła do sterty tac, zdjęła pierwszą z góry i przekonała się, że Edyta i Żaneta zajęły dla niej miejsce przy swoim stole. Ruszyła naprzód, podsuwając tacę osobie z obsługi za ladą, i zapomniała o załodze łodzi.

– Jak przebiegło nazywanie nowych dzieci? – spytała, gdy usiadła już z tacą z posiłkiem. – Czy pojawiły się jakieś zaskakujące imiona?

– Nieszczególnie – odparła Żaneta. – Tyle że zdziwiło mnie, gdy usłyszałam, że jeden chłopiec dostał na imię Paweł. Tak jak mój ojciec.

– Ale przecież nie mogą dwa razy wykorzystać tego samego imienia! – zaprotestowała Edyta. – W społeczności nigdy nie ma dwóch osób o tym samym imieniu!

– Mogą jednak wykorzystywać je ponownie – przypomniała Klara – kiedy ktoś odejdzie.

– Właśnie. A to znaczy, że mój ojciec odszedł. Zdziwiłam się, gdy to usłyszałam – dodała Żaneta.

– Kiedy widziałas go ostatnio? – spytała Klara.

Pamiętała własnych rodziców, ale minęło już kilka lat i szczegóły zaczynały się zacierać.

Żaneta zastanawiała się chwilę, w końcu wzruszyła ramionami.

– Pewnie jakieś pięć lat temu. Pracował w fabryce żywności, a ja nigdy tamtędy nie chodzę. Od czasu do czasu widuję kobietę, która była moją matką, bo należy do zespołu ogrodników. Niedawno zauważyłam, że przycina krzaki na skraju strefy rekreacyjnej. Na mój widok pomachała ręką.

– To miło – powiedziała od niechcena Edyta. – Będziesz jadła resztę sałatki? Mogę ją sobie wziąć?

Żaneta przytaknęła i Edyta sięgnęła po odsunięty na bok, na wpół opróżniony talerz.

– Paweł to ładne imię. – Klara nieco żałowała Żanety, choć nie wiedziała dokładnie dlaczego. – To miłe, że wykorzystali ponownie ładne imię. Pamiętam, jak kiedy byłam dziesięciolatką, nazwali nowe dziecko Wilhelmina i wszyscy wiwatowali, bo lubili poprzednią Wilhelminę, zanim przeniosła się do domu starców. Kiedy więc odeszła, dobrze było znów usłyszeć jej imię.

– Pamiętam. Byłam tam – wtrąciła Edyta.

– Ja też – wspomniała Żaneta. – Nikt nie klaskał, kiedy nazwali nowego Pawła. Ale chyba przyjęto to z satysfakcją. Ludzie lubili mojego ojca – dodała. – Był miły. Bardzo cichy. Ale miły.

W milczeniu dokończyły posiłek, a potem na dźwięk brzęczyka pozbierały talerze i zaczęły sprzątać ze stołu.



Zapadał zmierzch. Pozostali, zmęczeni po długim dniu ceremonii i przewidując kolejne rozwlekłe uroczystości, wcześniej odeszli do swych pokojów, tuż po wieczornym posiłku. Ale Klara odkryła, że po całym dniu w zamknięciu czuje niepokój. Postanowiła się przejść.

O tej porze dnia ścieżkę wzdłuż rzeki spowijał przyjemny cień. Zwykle spotykała na niej innych spacerowiczów i wymieniali się pozdrowieniami. Ale tego wieczoru nikt się nie przechadzał – wszyscy mieli za sobą długi dzień. Klara wędrowała brzegiem, póki nie dotarła do wielkiego mostu; jego przekraczanie bez specjalnego zezwolenia było surowo wzbronione i nie miała pojęcia, co leży dalej, po drugiej stronie. Widziała wyłącznie drzewa. To po prostu Poza Granicą. Słyszała, jak ludzie mówili, że od czasu do czasu, choć rzadko, niewielkie grupki zabierano z wizytą do innych społeczności. Ale może to tylko plotki? Osobiście nie знаła nikogo, kto oglądał coś Poza Granicą.

Stojąc u podstawy masywnych, betonowych filarów, stanowiących podpory mostu, Klara zmierzyła go wzrokiem. Barka, cumująca obecnie obok wylęgarni, ledwie się pod nim mieściła.

Gdyby przecięła teraz krzyżującą się ze ścieżką drogę, wędrowałaby dalej wzdłuż rzeki i minęła obszerną stodołę, w której przechowywano oficjalne pojazdy. Obywatele poruszali się po osiedlu wyłącznie na rowerach, ale duże dostawy przewożono ciężarówkami, a czasami obsługa techniczna potrzebowała ciężkiego sprzętu. Wszystko przechowywano tutaj. Klara przypomniała sobie, że kilka lat temu, kiedy była dziewięcio- czy dziesięciolatką, chłopców z jej grupy rówieśniczej fascynowała stodoła z pojazdami. Niemal wszyscy pragnęli otrzymać przydział zawodowy związany z transportem, by móc przejść szkolenie z zakresu kierowania sprzętem.

Ale Klary nigdy to nie interesowało. Podobnie tego wieczoru – skręciła w główną drogę i ruszyła na północny zachód, oddalając się od rzeki. Przed sobą po lewej miała plac Centralny. Minęła znajdujące się na skraju audytorium – wcześniej tego dnia wszyscy obywatele zebrali się tłumnie na jego schodach i wrócą tam rano. Teraz jednak, o zmroku, plac był pusty, a wielki budynek górujący nad nim od południowego zachodu zdawał się cichy i opuszczony.

Zorientowała się, że kieruje się w stronę ośrodka opieki. Mogła przy nim skręcić, minąć infirmerię i świetlicę, by zataczając wielką pętlę, wrócić do wylęgarni.

– Witaj!

Głos mężczyzny ją zaskoczył. Na całym osiedlu panowała głęboka cisza. Kiedy jednak Klara uniosła wzrok, dostrzegła rower na końcu placu i natychmiast rozpoznała piastuna, który tak miło przyjął ją podczas poprzednich wizyt. Uśmiechnęła się, pomachała i ruszyła w miejsce, w którym czekał, balansując na rowerze z jedną stopą na ziemi.

Kiedy się zbliżyła, przyłożył palec do ust.

– Ciii. – Wskazał ręką tył roweru, do którego przyczepiono koszyk. Gdy Klara podeszła bliżej, dostrzegła, że wewnątrz tkwi śpiące niemowlę.

– W końcu zasnął – wyszeptał mężczyzna. – Zabieram go na noc do domu.

Klara przytaknęła i uśmiechnęła się do nowego dziecka trzydzieści sześć.

– Byłaś na ceremonii? – spytał mężczyzna.

Pokręciła głową.

– Zgłosiłam się na ochotnika na dyżur w wylęgarni. Oglądałam już dosyć ceremonii.

– Podobnie jak on zniżyła głos.

Piastun zaśmiał się cicho.

– Znam to uczucie – odparł. – Ale dziś było całkiem zabawnie. Częścią mojej pracy jest przekazywanie nowych dzieci komórkom rodzicielskim. Nowe matki i ojcowie zawsze się podniecają. Cieszę się jednak, że nim będziemy mogli się zajmować jeszcze przez rok – dodał, muskając palcami brzeg koszyka. – Wydaje się wyjątkowy.

Klara pokiwała głową na znak zgody, nie ufając własnemu głosowi.

– Muszę jechać – oznajmił mężczyzna i położył prawą stopę na uniesionym pedale. – Jutro jest wielki dzień dla mojej komórki rodzinnej. Nasz syn w tym roku kończy dwanaście lat. Bardzo się denerwuje i obawia.

– Na pewno – mruknęła Klara.

– Może odwiedzisz nas znów w ośrodku? Wkrótce zjawi się świeża partia nowych dzieci. A on oczywiście też tam będzie! Stracił kolegów, którzy trafili do nowych rodzin, więc ucieszy się z gościa.

– Jasne. – Uśmiechnęła się do niego, a on popedałował naprzód w stronę rodzinnych domostw.

Klara stała tam, patrząc, jak niewielki koszyk podskakuje łagodnie w rytm ruchów roweru. Po chwili odwróciła wzrok.



Najwyraźniej ceremonia dwunastolatków zakończyła się niespodzianką. Kiedy dobiegła końca i pracownicy wrócili do wylęgarni, wciąż o tym szeptali.

Drugi dzień ceremonii zawsze trwał bardzo długo: nowych dwunastolatków wzywano po kolei na scenę i opisywano ich zalety. Wówczas to po raz pierwszy wyróżniano młodzików i skupiano się na osiągnięciach ich dzieciństwa. Czasem chwalono szkolne wyniki jakiegoś chłopca i przypominano widzom o jego nieprzeciętnych zdolnościach naukowych. Albo też przewodnicząca starszyny zwracała uwagę na czyjąś wyjątkowo ładną twarz – takie przypadki zawsze budziły pewne zażenowanie, bo w społeczności atrakcyjności fizycznej nigdy nie uważano za zaletę wartą wzmianki – i opisany tak dwunastolatek rumienił się, a widzowie wybuchali śmiechem. Społeczność zawsze słuchała uważnie i wspierała się nawzajem; każdy dorosły przeszedł to samo i wiedział, jakie to ważne. Ale wywoływanie dzieci kolejno trwało naprawdę bardzo długo.

– Przewodnicząca starszyny pominęła jednego dwunastolatka – wyjaśnił Klarze Rolf podczas wieczornego posiłku. – Z osiemnastego przeskoczyła do dwudziestego.

– Aż się wzdrygnęliśmy. Sądziliśmy, że się pomyliła. – Edyta wyprostowała się i spięła, demonstrując postawę, jak bardzo widzowie się zdenerwowali.

– Wszyscy tak myśleli. Słyszeliście pomruki rozchodzące się po audytorium? – dodał ktoś.

– A chłopak, którego pominęła? Numer dziewiętnaście? Widziałem go ze swego miejsca, był doprawdy wstrząśnięty! – Młody mężczyzna na końcu stołu uśmiechnął się szeroko.

– I co się stało? – spytała Klara.

– No cóż – wyjaśnił Rolf. – Kiedy skończyła z ostatnim...

– Z numerem pięćdziesiątym?

– Tak. Ale oczywiście na scenę wywołała tylko czterdziestu dziewięciu. A potem przeprosiła widzów.

– Przewodnicząca starszyny przeprosiła? – Trudno było w to uwierzyć. Rolf przytaknął.

– Chwilę się śmiała; widziała, że się denerwujemy. Zapewniła nas zatem, że wszystko w porządku, i przeprosiła, że wzbudziła nasz niepokój. Potem wywołała na scenę chłopca numer dziewiętnaście.

– Wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć – skomentował ze śmiechem Eryk.

– Nie dziwię mu się – mruknęła Klara i pomyślała, że żal jej chłopca; to musiała być dla niego okropna chwila. – Co powiedziała?

– Że nie dostał przydziału, co oczywiście już wiedzieliśmy. Ale potem... To nas zaskoczyło. Powiedziała, że został „wybrany”.

– Wybrany do czego?

Klara nigdy wcześniej nie słyszała o czymś takim.

Rolf uniósł brwi i wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Nie mówiła?

– Owszem, ale nie zrozumiałem, o co jej chodzi. A ktoś z was zrozumiał? – Rozejrzał się po siedzących przy stole współpracownikach.

– Nie do końca – przyznała Edyta. – Ale to coś ważnego. Miało coś wspólnego z Dawcą i Odbiorcą.

– Kimkolwiek oni są – wymamrotał ktoś z boku.

– Tak, wydawało się naprawdę ważne – zgodził się Eryk.

– Myślicie, że chłopak rozumiał?

Wszyscy pokręcili głowami.

– Wyglądał na oszołomionego – oznajmiła Edyta. – Było mi go żal.

Zabrział brzęczyk ogłaszający koniec posiłku, zaczęli więc zbierać talerze i widelce.

– Kto to był? – spytała Klara. Wciąż fascynowała ją idea wybranego chłopca.

– Nigdy wcześniej o nim nie słyszałem, ale teraz wszyscy znamy jego imię, prawda?

– odparł z uśmiechem Eryk.

– To znaczy?

– Cała społeczność wykrzyknęła jego imię, to było coś w rodzaju uroczystego... Jak by to nazwać? Rozpoznania? Wszyscy raz po raz powtarzaliśmy jego imię: Jonasz!

Rolf, Edyta i część pracowników dołączyli do niego.

– Jonasz! Jooo-nasz!

Ludzie przy innych stołach unieśli głowy, niektórzy patrzyli z rozbawieniem, inni z lekkim niepokojem. Potem i oni wykrzyknęli to imię.

– Jooo-nasz! Jooo-nasz!

Zadzwęczał ostatni brzęczyk i wszyscy umilkli. Przez chwilę patrzyli po sobie w nagłej ciszy, a potem wstali, kierując się do wyjścia.

Kolacja dobiegła końca.



Klara znów spacerowała nad rzeką przed snem. Ponownie była sama. Zwykle pracownicy przechadzali się parami bądź w grupach, lecz tego wieczoru pozostali byli zmęczeni po nietypowym dniu. Kolejno wracali do pokojów, część zabierała ze sobą czytniki, które powinni przestudiować, by awansować w pracy. Od czasu do czasu Klara także włączała swój czytnik i przeglądała materiał, ale niezbyt ją interesował. Nie została wybrana do tej pracy przez komisję, która dostrzegła w niej fascynację rybami. Po prostu przysłali ją tu, bo musieli ją gdzieś umieścić po tym, jak zawiodła jako rodzicielka.

Kilka razy z roztargnieniem przeglądała stronicę podręcznika, boleśnie świadoma własnego braku zainteresowania. Nauczyła się na pamięć pewnych słów: bruzdkowanie, epibolia i organogeneza. Wciąż umiała je powtórzyć, ale uświadomiła sobie, że kompletnie zapomniała, do czego się odnoszą.

– Aktywacja pęcherzyków korowych – wymamrotała, nie zwalniając kroku; oto kolejna fraza, nagłówek z podręcznika, którego wyuczyła się na pamięć.

– Co? – spytał ktoś nieopodal, zaskakując ją. Uniosła wzrok.

To był członek załogi łodzi, młody mężczyzna w szortach i swetrze. Na nogach nosił ciemne, sznurowane buty, zrobione chyba z płótna, o grubej, nierównej podeszwie; Klara zakładała, że dzięki niej nie ślizga się na mokrych deskach pokładu. Nie bała się. Uśmiechał się do niej i wyglądał przyjacielsko, nie jak ktoś, kogo powinna się lękać. Ale nigdy wcześniej nie rozmawiała z kimś z łodzi ani oni nie odzywali się do niej.

– To jakiś obcy język? – spytał z szerokim uśmiechem. Mówił z wyraźnym akcentem, który słyszała już wcześniej.

– Nie – odparła uprzejmie Klara. – Porozumiewamy się tym samym językiem.

– W takim razie co to jest amplifikacja pęcherzyków komorowych?

Klara parsknęła śmiechem – zabrzmiało to całkiem podobnie, ale zabawnie błędnie.

– Próbowałam tylko nauczyć się czegoś do pracy – wyjaśniła. – To etap rozwoju płodowego. Ale obawiam się, że temat jest dość nudny, chyba że fascynują cię ryby. Pracuję w wylęgarni.

– Tak. Widziałem cię tam.

– Musieliście czekać z wylądunkiem z powodu naszej corocznej ceremonii.

Wzruszył ramionami.

– To nie problem, miło odpocząć od pracy. Wylądujemy towar jutro i ruszymy w drogę.

Dołączył do niej i razem zblizali się do mostu; tam przystanęli na chwilę, patrząc na wzburzoną, wirującą wodę.

– Czy martwisz się czasem, że most będzie za niski? Widywałeś inne mosty? Czy wasza łódź nie mogłaby okazać się za duża dla niższego?

Zaśmiał się.

– To nie moja sprawa, kapitan ma mapy i zna trasy. Liczymy sześć koma trzy metra wysokości, nigdy jeszcze nie uderzyliśmy o most ani nie zafundowaliśmy kąpieli żadnemu członkowi załogi.

– Mamy obowiązek nauczyć się pływać, ale nie wolno nam wchodzić do rzeki. – Klara sama zdziwiła się, że to mówi.

– Obowiązek? Kto go na was nakłada?

Poczuła lekką irytację.

– To po prostu jeden z przepisów społeczności. Uczymy się w basenie. Kiedy mamy pięć lat.

Młody mężczyzna roześmiał się.

– Tam, skąd pochodzę, nie ma podobnych zasad. Nauczyłem się, kiedy tato wrzucił mnie do wody. Miałem chyba osiem lat. Wypiłem pół stawu, nim dotarłem na pomost, a tato cały czas się śmiał. Kiedy wyszedłem z wody, ryczałem, więc znów mnie wrzucił.

– Ojejku. – Klara nie wiedziała, co odpowiedzieć, nie potrafiła sobie wyobrazić podobnej sceny. Jej własne zajęcia z pływania były systematyczne i uporządkowane, nadzorowali je specjaliści instruktorzy. Nie było tam bezlitosnych, roześmianych mężczyzn zwanych „tato”.

– Potem umiałem już pływać, nie chciałbym jednak próbować w tej rzece.

Zerknął na rwącą, mroczną wodę, patrząc, jak raz po raz zalewa kamienie przy brzegu, a potem opływa je spieniona, tak że znikają na moment i wyłaniały się zwieńczone pianą, która ściekała po śliskich, omszałych bokach.

Kilka lat wcześniej chłopiec imieniem Kaleb wpadł nieopodal do rzeki i cała społeczność odprawiła ceremonię straty. Klara wciąż to pamiętała: wstrząs, ściszone głosy, to, jak po wszystkim rodzice trzymali dzieci blisko siebie i ostrzegali surowo raz po raz. Wydawało jej się, że pamięta też, iż podobno starszyzna upomniwała rodziców utraconego dziecka. Jednym z zadań komórki rodzicielskiej było chronienie dzieci przed krzywdą. Rodzice Kaleba źle się spisali.

A jednak ojciec tego chłopaka wrzucił go ze śmiechem na głęboką wodę, a teraz on sam śmiał się na to wspomnienie. Uznała, że to dziwne.

Gawędzili dalej. Spytał ją o pracę i jakiś czas bez entuzjazmu rozmawiali o rybach. W miejscu daleko stąd – wskazał ręką – widział ryby niemal tak wielkie jak ich łódź. Klara myślała, że żartuje, ale sprawiał wrażenie zupełnie poważnego. Czy to mogła być prawda? Chciała spytać, kiedy jego łódź znów przypłynie. I skąd pochodzą, skąd on pochodzi. Lecz tak naprawdę ciekawiło ją Poza Granicą. Czowała jednak niepokój, bała się, że podobne pytania mogą stanowić naruszenie przepisów. Poza tym zaczynało robić się ciemno i wiedziała, że powinna wracać.

– Muszę już iść – powiedziała.

Zawrócił razem z nią i ruszyli w stronę budynku wylęgarni.

– Chciałabyś zajrzeć na pokład? – spytał nagle.

– Chyba nam nie wolno – odparła przepraszająco.

– Kapitanowi by to nie wadziło, często zaprasza gości. Jesteśmy statkiem morsko-rzeczny. To bardzo nietypowe, ludzie lubią nas odwiedzać i rozglądać się.

– Morsko-rzeczny?

– Tak. Nie trzymamy się tylko rzeki, możemy także wypływać na morze. Większość łodzi rzecznych nie.

– Morze – powtórzyła Klara. Nie miała bladego pojęcia, co to znaczy.

Chłopak najwyraźniej źle ją zrozumiał.

– Tak, chcą obejrzeć kambuz i sterówkę, wszystko. Ludzi bardzo to ciekawi. Kapitan z dumą ich oprowadza, albo czasem ktoś z załogi. Jest nas dziesięcioro.

– Chodzi o to, że mnie nie wolno. Niestety muszę zostać w pracy.

Dotarli do rozwidlenia ścieżki oznaczającego rozstanie. On musiał wracać nad rzekę, do swej łodzi, ona skręci do drzwi wylęgarni.

– Wielka szkoda – mruknął. – Chętnie bym cię oprowadził. I mogłabyś poznać Marie.

– Marie?

– To nasza kucharka. – Roześmiał się. – Niektórzy dziwią się, że mamy na pokładzie kobietę.

Klara słuchała zaskoczona.

– Dlaczego miałyby ich to dziwić?

– Bo łodzi to męska praca.

– Ach.

Klara zmarszczyła brwi. Męska praca? Kobięca praca? Tu, w społeczności, nie istniały podobne rozróżnienia.

– Tak, chętnie poznałabym Marie i obejrzała wnętrze łodzi – dodała. – Może kiedy wrócicie. Może nasze przepisy się zmieniają. Albo mogę wystąpić o pozwolenie.

– W takim razie dobranoc. – Skręcił w nadbrzeżną ścieżkę.

Klara pomachała ręką i stała, patrząc, jak znika za nisko wiszącymi gałęziami. Następnie sama się odwróciła.

– Morze? – powtórzyła pod nosem, zastanawiając się, co to znaczy. *Morze.*



Mijały tygodnie. Oprócz sekretu, który wciąż nosiła w sobie, sekretu dziecka, każdy dzień przypominał poprzedni i następny. Klara zrozumiała, że zawsze tak było. W jej życiu nie zdarzały się niespodzianki, tak samo w życiu innych w społeczności. Jedynie podczas ceremonii przydziału dwunastolatków: nieprzyjemna niespodzianka, rozczarowanie z nazwania rodzicielką. I później oczywiście wstrząs towarzyszący niepowodzeniu.

Ale teraz nudna rutyna codziennego życia społeczności powróciła. Ochryply głos w głośniku, wygłaszający informacje i przypomnienia. Rytuały i przepisy. Posiłki i praca. Zawsze praca. Klarze powierzano w laboratorium coraz bardziej wymagające zadania, nadal jednak pozostawały męczące i powtarzalne. Dobrze sobie radziła, ale często odkrywała, że się nudzi.

Co takiego opowiedziano jej o tegorocznej ceremonii? Wyróżniono pewnego chłopca. Nie wiadomo dokładnie, dlaczego nikt więcej o tym nie wspomniał. Może ów chłopiec – pamiętała, że na imię ma Jonasz – zajmuje się czymś odmiennym i ciekawym? Ale nie potrafiła wyobrazić sobie czym. Ponownie odwiedziła ośrodek opieki, ale nie przyjęto jej. Po tym jak podczas ceremonii wszystkie nowe dzieci przydzielono komórkom rodzicielskim, ośrodek był niemal zupełnie pusty. Dostarczono dopiero pierwsze noworodki, początek tegorocznej grupy. Gdy Klara zajrzała, recepcjonistka, choć powitała ją miło, oznajmiła, że nie będą potrzebować dodatkowej pomocy, póki liczba dzieci nie wzrośnie.

– Teraz piastuni mają wakacje – wyjaśniła młoda kobieta. – Większość z nich, czekając na przybycie noworodków, pracuje na ochotnika w innych miejscach. – Zerknęła na ekran komputera. – W przyszłym tygodniu dostaniemy dwójkę. – Uśmiechnęła się do Klary. – W tej chwili nie potrzebujemy pomocy, ale dzięki, że wpadłaś. Może za parę miesięcy.

„A co z numerem trzydzieści sześć? – chciała spytać Klara. – Wciąż tu jest, prawda? Pamiętasz? Nie przydzielono go, zatrzymaliście go na kolejny rok. Potrzebuje kogoś, kto by się z nim pobawił, mam rację? Czy to nie mogę być ja?”

Ale oczywiście milczała. Widziała wyraźnie, że recepcjonistka, choć uprzejma, nie przejawia zainteresowania i czeka, aż Klara sobie pójdzie. Niechętnie zatem odwróciła się na pięcie i wyszła z budynku.

Od czasu do czasu jednak widywała mężczyznę, który tam pracował, tego, który ze szczególną czułością podchodził do trzydziestego szóstego. Pewnego popołudnia, gdy podczas poobiedniego spaceru zauważyła go jadącego na rowerze po drugiej stronie placu Centralnego, pomachała do niego. Najwyraźniej coś załatwiał: w przednim

koszyku tkwiła paczka. Uśmiechnął się i pomachał w odpowiedzi. Zauważyła, że jego rower miał teraz zamontowany z tyłu dziecięcy fotelik, który zastąpił wcześniejszy kosz do przewożenia trzydziestego szóstego. Fotelik był pusty, ale sama jego obecność natchnęła Klarę nadzieją: najwyraźniej piastun wciąż zabierał go nocami do domu. Teraz maluch umiał już siadać. Klara wyobraziła sobie jego krzepkie ciało i to, jak uśmiecha się radośnie, czując świeże powietrze i widząc drzewa.

Zacząła starannie wybierać godziny spacerów, kończąc pracę w laboratorium i zamiatanie akurat tak, by móc wyjść na przechadzkę w porze zmiany dyżurów w ośrodku opieki. Kierowała się wówczas w część osiedla, którą uznała za najbardziej prawdopodobną: północno-wschodni narożnik placu Centralnego, gdzie stał ośrodek, a za nim, po drugiej stronie głównego bulwaru, domostwa. Miała nadzieję, że spotka piastuna wracającego do domu na wieczorny posiłek, z małym Abim siedzącym w foteliku.

I wreszcie trafiła. Zobaczyła ich.

– Hej tam! – zawołała.

Mężczyzna uniósł głowę, rozpoznał ją i zatrzymał rower, podpierając się prawą stopą na ścieżce.

– Jak się miewasz? – rzucił pogodnie. – Klara, zgadza się?

Ucieszyła się, że pamięta jej imię; nie nosiła plakietki – wciąż tkwiła przypięta do fartucha, który Klara odwiesiła po skończonej pracy, a od ich ostatniego spotkania upłynęły trzy miesiące.

– Właśnie tak. Klara.

– Miło cię widzieć. Minęło trochę czasu.

– Zajrzałam, ale nie potrzebowali mojej pomocy, bo wszystkie nowe dzieci przydzielono do rodzin.

Pokiwał głową.

– Wszystkie prócz tego!

Klara nie chciała patrzeć wprost na Abiego, przynajmniej z początku. Ale teraz, skoro wspomniał o maluchu w foteliku dziecięcym, skupiła na nim uwagę i uśmiechnęła się do dziecka z zajęciem oglądającego trzymany w dłoniach liść. Chłopiec musiał zerwać go z mijanego krzaka. Patrzyła, jak unosi listek do ust i kosztuje z pytającą, niepewną miną. Zauważyła, że ma już dwa zęby.

– Wciąż zabierasz go na noc do domostwa?

Piastun przytaknął.

– Nadal źle sypia, to irytuje nocnych pracowników w ośrodku, zwłaszcza teraz, gdy muszą zajmować się noworodkami. Ale moja komórka rodzinna go lubi. Córka – na imię ma Lilia – próbowała mnie przekonać, że powinniśmy wystąpić o tak zwane odstępstwo.

– Odstępstwo? Co to takiego?

– Wyjątek od reguły. Lilia pomyślała, że moglibyśmy spróbować ich przekonać, iż nasza rodzina powinna mieć trójkę dzieci.

– I zrobiłeś to? – spytała Klara.

Roześmiał się.

– Nie. Gdybym to zrobił, moja małżonka złożyłaby podanie o anulowanie naszego małżeństwa! Podczas następnej ceremonii ten malec trafi do własnej rodziny. Nic mu

nie będzie. Ale tymczasem miło jest mieć go nocami w naszym domostwie. – Obejrzał się na dziecko. – No pięknie – jęknął – jemy liść. No cóż, przywykłem do wycierania wyplutego jedzenia. To część pracy!

Klara widziała, że przesunął się lekko na rowerze, unosząc prawą stopę w stronę pedału.

– Czy teraz wolno już używać publicznie jego imienia? – spytała szybko, starając się zatrzymać ich jeszcze na minutę czy dwie. – Pamiętam, że posługiwałeś się nim w sekrecie.

Mężczyzna zawahał się.

– Szczerze mówiąc... – rzekł lekko zawstydzony – używamy go w domu, ale nie powinniśmy. Aż do chwili przydziału wciąż pozostanie trzydziestym szóstym. Niestety nie mogę ci go zatem zdradzić. Ale to naprawdę dobre imię!

– Nie wątpię. Zawsze starannie je wybierają, prawda? Podoba mi się imię twojej córki. Lilia. Ładne.

Uśmiechnął się.

– Muszę już ruszać. Teraz jest zadowolony, może sobie obgryzać liść, ale zaczekaj, aż zabraknie prawdziwego jedzenia. Zacznie wycić, a już prawie pora kolacji.

– Miło było cię widzieć.

– Ciebie także. Powiem córce, że uważasz jej imię za ładne. Na pewno się ucieszy. – Wywrócił oczami, jakby uważał to za niewymownie niemądre. – I oczywiście gwoli ścisłości i uczciwości muszę też dodać, że mój syn również ma ładne imię.

Klara roześmiała się.

– Na pewno.

Piastun ruszył powoli na rowerze. Przypięty za nim do fotelika, z buzią nakrapianą strzępkami liścia, niemowlak obejrzał się i uśmiechnął do Klary.

– Nazywa się Jonasz! – zawołał mężczyzna, mając na myśli syna, i popedałował w stronę grupy domostw, w której mieszkał.



Układała plan dnia tak, by móc często ich widywać: mężczyznę i dziecko z tyłu roweru. Przywykła do stałych godzin rano i wieczorem, kiedy owa dwójka odbywała krótką podróż do i z ośrodka opieki. Sama zaczęła regularnie chodzić na przechadzki po śniadaniu i przed wieczornym posiłkiem. Często ich wówczas spotykała i mężczyzna zwykle zatrzymywał się na pogawędkę, choć czasami śpieszyło mu się i musiał jechać dalej. Mały Abi (bardzo uważała, by cały czas mówić o nim trzydzieści sześć) już ją znał i uśmiechał się szeroko na jej widok. Mężczyzna nauczył go machać ręką, kiedy mówiła: „Pa, pa”, i odjeżdżali. Odkryła, że czeka na te chwile, na przyjemną odmianę po długich godzinach pracy w laboratorium, która kompletnie jej nie interesowała.

Naśladował ją. Klara wepchnęła język w policzek, tworząc wypukłość. Przyglądał jej się chwilę, a potem wsunął własny języczek w to samo miejsce. Zmarszczyła nos. On także. A potem zrobiła dwie rzeczy jednocześnie: język w policzek i zmarszczony nos – z powagą powtórzył to natychmiast i oboje wybuchnęli śmiechem.

Rósł. Choć formalnie był teraz po prostu roczniakiem – każde nowe dziecko urodzone w danym roku podczas ceremonii stawało się roczniakiem – Klara odliczała miesiące od dnia jego narodzin. Minęło ich już dziesięć.

– Próbuje chodzić – oznajmił pewnego ranka piastun.

– Jest silny – odparła, patrząc na mocne małe nóżki dyndające z fotelika przytroczonego do roweru.

– Tak. Trzymamy go za ręce, a on przechodzi kilka kroków. Już niedługo zacznie spacerować samodzielnie. Moja małżonka będzie musiała przenieść przedmioty wysoko na blaty. On wszystko łapie.

– Musicie być ostrożni. – Klara praktycznie mówiła do siebie, myśląc o tym, jaka trudna jest opieka nad dzieckiem.

– Oczywiście, to część mojego szkolenia – odparł dodającym otuchy tonem piastun. – Nauczyłem też moją małżonkę i dzieci. Hej! – rzucił nagle ze śmiechem, odwracając się: nowe dziecko ciągnęło go za uniform. – Nie wybrudź mnie! Właśnie dostarczono mi ten strój z pralni!

Odwrócił się do Klary.

– Mogłabyś sięgnąć do tej skrzyneczki i wyciągnąć jego hipopotama? – Wskazał ręką zamkniętą na zamek błyskawiczny walizeczkę za fotelikiem.

– Jego co? – Klara rozsunęła zamek.

– Jego przedmiot kojący. Nazywa się hipopotam.

– Ach. – Wyciągnęła pluszową zabawkę.

Wszystkie małe dzieci miały przedmioty kojące najróżniejszych kształtów.

Przypomniała sobie, że jej własny nazywał się borsuk.

Na widok zabawki oczy nowego dziecka rozbłysły.

– Po – powiedział chłopiec i sięgnął po nią.

Klara podała mu hipopotama, a on przytulił go z pełnym satysfakcji westchnieniem i zaczął gryźć jego małe ucho.

– Chyba są już gotowi na to, byś znów zajrzała i zaczęła pomagać – podsunął piastun.

– Mamy sporą partię świeżych dzieci, a najmłodszym muszę poświęcić sporo czasu – dodał. – Mogłabyś przyjść, pobawić się z trzydziestym szóstym, dopilnować, żeby nie psocił.

– Tak zrobię.

Gdy odjeżdżali, pomachała i zawołała: „Pa, pa”, ale nowe dziecko było zbyt zajęte swym hipopotamem i nie usłyszało.



Po raz pierwszy zobaczyła Marie. Od dnia gdy Klara poznała jednego z członków załogi i rozmawiała z nim, łódź dostawcza trzy razy przybiła do brzegu i odpłynęła. Zjawiała się co miesiąc i pozostawała u nich zaledwie dzień, na tyle długo by przekazać ładunek. Klara rozpoznała chłopaka, z którym kiedyś spacerowała, i pomachała, widząc go na pokładzie. Odpowiedział tym samym. Miała niemal wrażenie, że gdyby ponowił zaproszenie na łódź, zgodziłaby się, choć uznała, że najpierw poprosiłaby o zezwolenie. Zwróciłaby się do nadzorcy wylęgarni.

Ale odbili tak szybko, że chłopak (to dziwne, myślała o nim jak o przyjacielu, choć po prawdzie łączyła ich tylko jedna krótka rozmowa) w ogóle nie zszedł na brzeg.

A teraz znów cumowali, lecz go nie zauważyła. Inni członkowie załogi krzatali się dokoła, sprawdzali liny, dźwigali skrzynie. Lecz ciemnowłosego chłopaka wśród nich nie było. Klara od czasu do czasu zerkała przez okna laboratorium na łódź i wkrótce zrozumiała, iż chłopak nie stanowi już części załogi.

Wspomniała o tym współpracownicy imieniem Heather, starannie dobierając słowa.

– Kiedyś widziałam chłopaka o ciemnych włosach pracującego na łodzi, ale...

– Mnóstwo ciemnowłosych chłopaków. Spójrz, w tej chwili jest ich trzech, układają skrzynie.

Heather miała rację. Trzej umięśnieni młodzi mężczyźni unosili i przesuwali ciężkie pudła. Każdy z nich miał ciemne włosy.

– Tak, ale chodzi mi o innego, machał do mnie. Raz nawet rozmawialiśmy.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Zjawiają się i odchodzą. Prawie za każdym razem inni. Niektórzy zostają dłużej, inni nie. U nich jest inaczej, nie dostają przydziałów jak my, chyba sami wybierają sobie pracę. Jeśli ich nudzi, rezygnują, albo jeśli pojawia się coś lepszego.

– Spójrz! Kto to? – Klara pokazała ręką.

Z wnętrza łodzi wyłoniła się masywna kobieta i stanęła na pokładzie, przyglądając się pracującej załodze. Miała na sobie poplamiony fartuch, opinający szeroką pierś i zawiązany z tyłu. Jasne włosy spięła w węzeł, ale wymykały się i dziewczęta widziały, jak kobieta przyglądała je i związała ponownie. Potem usiadła na grubym zwoju liny, oparła się plecami o ścianę kabiny i kilka razy odetchnęła głęboko.

– Uważaj na nogi, Marie! – zawołał jeden z członków załogi, mijając ją na pokładzie i sterując ciężką skrzynią, która kołysała się w sieci, gdy dźwig przesuwał ją w górę i na zewnątrz.

– Sam uważaj! – odkrzyknęła z serdecznym uśmiechem, ale przesunęła stopy na bok, by go przepuścić.

– Chłopak wspominał, że mają na pokładzie kobietę – mruknęła Klara. – Zapomniałam jej imienia, ale teraz już pamiętam. To Marie. Kucharka.

– Kucharka? – Heather spojrzała na nią pytająco.

Klara wzruszyła ramionami.

– No, nie mogą przecież liczyć na dostawy posiłków tak jak my. Nie kiedy są na rzece. – *Albo morzu*, dodała w duchu. – Pewnie Marie szykuje im jedzenie.

– Ma go sporo na fartuchu – zauważyła Heather, mając na myśli ciemne rozbryzgi na tkaninie, i obie z Klarą wybuchnęły śmiechem. Ich własne uniformy były nieskazitelnie czyste. Co rano wyznaczony personel zbierał ubrania, prał starannie i dostarczał wieczorem.

– Weszłabyś na pokład, gdyby cię zaprosili? – spytała Klara. – Tylko po to, żeby go zwiedzić?

– Jak wtedy gdy ludzie odwiedzają wylęgarnię, a my ich oprowadzamy?

Klara przytaknęła; często składały im wizyty szkolne grupy i wysłuchiwały krótkiej lekcji na temat cyklu życiowego ryb.

– Może, o ile to dozwolone. – Heather wzruszyła ramionami. – Ale tak naprawdę niezbyt interesują mnie łodzie.

Patrzyły, jak Marie wstaje ciężko z miejsca, w którym odpoczywała, wchodzi do kabiny i znika w mrocznym wnętrzu. Klara odkryła, że zastanawia się, jak ono wygląda. Gdzie sypia? I jak się czuje, pływając po rzece i odwiedzając inne społeczności? Czy ludzie wszędzie wyglądają tak samo? Chłopak, którego poznała, nosił osobliwe buty i dziwaczne ubranie, mówił też z obcym akcentem. Zaskakiwały też różne fryzury u załogantów: niektórzy mieli głowy wygolone niemal gładko, inni długie włosy związane z tyłu, jak u dziewcząt. Tu, w społeczności, każdemu wiekowi przypadała określona fryzura. Ale żaden chłopiec nie nosił długich włosów.

Marie o dziwnie jasnych włosach zdumiewała czym innym: była tęga, zwłaszcza w biodrach, i miała podwójny podbródek. Nikt w społeczności tak nie wyglądał. Wszyscy mieli identyczne proporcje. Dostawy żywności dopasowywano do ich postury. Klara przypominała sobie, jak kilka lat wcześniej cotygodniowy raport wykazał, że waga jej matki lekko wzrosła. Matka zawstydziała się i może też zirytowała, kiedy w następnej dostawie pojawiły się przeznaczone dla niej specjalne posiłki odchudzające. Oczywiście je jadła – wymagały tego przepisy, nie miała innego wyjścia – dopóki w raporcie nie poinformowano, że odzyskała właściwą masę.

– Lepiej wracajmy do pracy – mruknęła Heather i odwróciła się od okna.

– Wyjdę na minutkę. Chcę sprawdzić temperaturę w niższym stawie przejściowym.

Klara widziała, że Heather podejrzliwie marszczy czoło.

– No cóż – rzuciła po chwili – uważaj na nogi, przy stawie jest straszne błoto.

– Sama na nie uważaj – odparła ze śmiechem Klara, wychodząc z pomieszczenia.

Nie miała zamiaru wchodzić na pokład, nawet gdyby ją zaprosili. Ale niższy staw leżał bardzo blisko rzeki, łódź niemal dotykała tu brzegu, a Klara pragnęła podejść do

niej bliżej. Dziwne, pomyślała, ale miała wrażenie, że łódź wabi ją do siebie w taki sam sposób, w jaki przyciągał ją ośrodek opieki i nowe dziecko wydarte z jej ciała niemal przed rokiem. Nic nie łączyło ze sobą tych dwóch rzeczy, lecz Klara czuła się coraz bardziej z nimi związana.

Stojąc na brzegu stawu, powiodła wzrokiem w górę gładkiej burty, ku niskiej poręczy okalającej pokład. Załoga ułożyła już wszystkie skrzynie i mocno przywiązała. W niektórych miejscach w pobliżu ładunku nie dostrzegła poręczy. Jakże łatwo byłoby pośliznąć się na mokrym pokładzie i wpaść do rzeki! Uważaj na nogi. Przypomniała sobie buty młodego mężczyzny i ich karbowane podeszwy. Buty dla załogi, domyśliła się, przeznaczone specjalnie na mokry pokład.

Klara wciąż tam stała, gdy silnik łodzi odezwał się nagle. Po chwili dźwięk zamienił się w miarowy pomruk i ujrzała kłęb ciemnego dymu unoszący się z niewielkiego komina. Zabrzmiały głosy, ktoś poluzował liny owinięte wokół pachołków do cumowania. Rzucił je innemu mężczyźnie na pokład, a potem sam wskoczył, utrzymując równowagę. Łódź tymczasem sunęła już w stronę środka rzeki.

W pobliskim budynku rozległ się brzęczyk ogłaszający południowy posiłek. Klara zawróciła w stronę wylęgarni; za jej plecami łódź dostawcza coraz szybciej płynęła w kierunku mostu i dalej. Za nią, za szeroką rufą, tryskała piana, a potem rzeka zamknęła się wokół zakłócających powierzchnię śladów i przybrała dawną postać, jakby łodzi nigdy tam nie było.

Klara westchnęła. Powrót do codziennego życia wydał jej się tak nieatrakcyjny. Postanowiła, że jutro złoży wizytę małemu Abiemu.



W dwunastą miesięcznicę dnia, w którym go urodziła, Klara nauczyła małego wymawiać jej imię. Od czasu poprzedniej ceremonii był oficjalnie roczniakiem, ale teraz, pomyślała w sekrecie, naprawdę skończył rok.

Piastun zaśmiał się, patrząc, jak nowe dziecko, kołysząc się, drepcze ku niej, wołając z uśmiechem: „Klara!”.

– To taki bystry chłopiec – rzekł. – Gdybyśmy tylko zdołali zapanować nad jego rozkładem snu. Jeśli do czasu następnej ceremonii nie będzie gotów, by umieścić go w komórce rodzinnej, cóż...

– Co wtedy? – spytała Klara, gdy mężczyzna zawiesił głos, nie kończąc myśli.

– Szczerze mówiąc, sam nie wiem. Nie mogą go oddać rodzicom, jeśli nie będzie sypiał. Zakłóciłby ich rozkład pracy, budząc ich po nocach. Ale nie możemy wiecznie go tu trzymać.

– Nawet jeśli noce spędza u ciebie? Za dnia zachowuje się świetnie. Prawie nie płacze, spójrz tylko!

Razem przyglądali się trzydziestemu szóstemu, który siedząc na podłodze, z zapalem ustawiał drewniane klocki jeden na drugim. Czując na sobie ich wzrok, obejrzał się, łobuzersko zmarszczył nos i wepchnął język w policzek, robiąc zabawną minę, której nauczyła go Klara. W odpowiedzi uczyniła to samo i oboje wybuchnęli śmiechem.

– Nie mogę wiecznie zabierać go do domu. Moja małżonka jest już nieco poirytowana. Dzieci natomiast go lubią, ostatnio sypia w pokoju mojego syna. Tam radzi sobie całkiem dobrze, ale...

I znów nie dokończył. Piastun wzruszył ramionami i przeszedł w głąb pomieszczenia, gdzie młodsze dzieci wymagały jego uwagi.

– Zastanawiam się, czy ja... – mruknęła Klara i urwała. Oczywiście, że by nie mogła. Ludziom bez par nie przydzielano nowych dzieci. A nawet gdyby było to możliwe, jak mogłaby się nim zająć? Wystarczyły już same rozważania (bynajmniej jej nieobce), jak poradziłaby sobie z niemowlęciem. Teraz jednak, tak dobrze znając rosnącego, aktywnego dwunastomiesięcznego chłopczyka, widziała wyraźnie, że w miarę upływu czasu dzieci wymagają więcej opieki, nie mniej. Nieustannie trzeba go było pilnować. Uczyć języka. Ostrożnie karmić. Kąpać, ubierać i...

Odwróciła się, czując napływające do oczu łzy. Co, u licha, się z nią działo? Nikt oprócz niej nie czuł gorącego przywiązania do innej ludzkiej istoty – ani do nowego dziecka, ani małżonka, współpracownika czy przyjaciela. Ona sama nie odczuwała tego w stosunku do własnych rodziców czy brata. Ale teraz ten kiwający się, zaśliniony

malec...

– Pa, pa – wyszeptala, a on spojrzal na nia i pomachał palcami. Nigdy nie martwił się, kiedy odchodziła. Wiedział, że wróci.

Ale Klara przeżywała łąy, pedałując z powrotem do wylęgarni. Coraz bardziej nie znosiła swego życia: nudnej rutyny pracy, bezmyślnych rozmów ze współpracownikami, niekończących się, powtarzalnych dni. Pragnęła tylko być ze swoim dzieckiem, czuć ciepłą miękkość jego szyi, gdy tuliło się do niej, szeptać do niego i wiedzieć, że z radością słucha jej głosu. Ale uczucia te, rosnące w siłę z każdym mijającym tygodniem, były niewłaściwe. Nienormalne. Niedozwolone. Wiedziała o tym. Lecz nie miała pojęcia, jak się ich pozbyć.



Od czasu do czasu widywała syna piastuna; pamiętała, że nazywa się Jonasz. Wiele miesięcy wcześniej widziała, jak ojciec macha do niego pewnego popołudnia, gdy przejeżdżał obok z przyjacielem, najwyraźniej zmierzając do strefy rekreacyjnej. Obaj chłopcy beztrudnie pokrzykiwali do siebie, ścigając się rowerami na ścieżce.

Teraz wydawał się Klarze jakiś inny. Pewnego wieczoru zauważyła, jak spaceruje nad rzeką, samotnie, pogrążony w myślach. A choć jej nie znał i oprócz grzeczności nie istniał żaden powód, dla którego mieliby się witać, zwyczaj nakazywał, by obywatele pozdrawiali się skinieniem głowy bądź uśmiechem. Jonasz jednak, mijając ją, nie uniósł wzroku. Klara wiedziała, że nie uraził jej świadomie, po prostu myślami przebywał gdzieś indziej. Sprawiał wrażenie udręczonego, a to rzadkie u młodzików.

Przypomniła sobie, że w jakiś sposób został wyróżniony podczas zeszłorocznej ceremonii. Współpracownicy, opisując to, skandowali jego imię: „Jonasz, Jonasz”, podobnie jak wcześniej widzowie. Ale tak naprawdę nie wiedzieli, co oznaczał jego – jak to nazwali? wybór? – co oznaczał jego wybór.

Ojciec piastun mówił o nim ciepło i otwarcie. „Sypia w pokoju mojego syna”, rzekł pogodnie, mając na myśli numer trzydzieści sześć. Może więc po prostu natrafiła akurat na nietypowy moment, kiedy coś go dręczyło, pewnie szkolne zadanie. Klara sama pamiętała, jak trudne bywały czasem prace domowe.

Widywała go jeszcze kilka razy, zawsze na rowerze, samego, po godzinach zajęć. Był teraz dwunastolatkiem, a wszyscy dwunastolatki ciężko pracowali w tym roku, szykując się do swych przydziałów. Zwykle po szkole rozchodzili się i zajmowali nauką wymaganą w przyszłej pracy. Zofia musiała zaliczyć ćwiczenia opieki nad niemowlętami. Właściwie Zofia wspomniła jej, że nawet teraz, kilka lat po ich ceremonii, błyskotliwy Marek nadal studiował inżynierię. Jedna z dziewczyn z ich grupy zaczęła zajęcia z prawa, podobnie jak sześć lat wcześniej brat Klary, i co dzień po szkole chodziła do Departamentu Prawa i Sprawiedliwości na szkolenie.

Pewnego popołudnia Klara odkryła, że obserwuje Jonasza oddalającego się na rowerze od budynku szkoły, który widziała z frontowych okien wylęgarni. Na końcu kompleksu edukacyjnego skręcił w lewo, jakby kierował się do domu starców. Może zatem, pomyślała, to właśnie jego przydział, opieka nad starszymi. Ale co w tym takiego wyjątkowego? Co sprawiło, że cała widownia zerwała się z miejsc, skandując jego imię?

Później, pewnego dnia podczas spaceru, minęła dom starców, skręciła w ścieżkę i

odkryła bardzo mały budynek na jego tyłach. Miał drzwi, kilka okien i nic poza tym. Większość budynków wyposażano w tabliczki informacyjne, wyjaśniające ich przeznaczenie: laboratorium wylęgarni, ośrodek opieki, naprawa rowerów. Ale ta nieciekawa budowla miała na drzwiach tylko małą, nierzucającą się w oczy tabliczkę z bezsensownym napisem: „Aneks”.

Klara nigdy nie słyszała o aneksie, nie miała pojęcia, co może mieścić się w środku, ale czuła, że to tam Jonasz spędza czas przeznaczony na szkolenie. Zastanowiła się przelotnie, czy to właśnie przez nie stał się dziwnie poważnym samotnikiem.

Do czego właściwie wybrano Jonasza?



Podczas porannego posiłku Klara rozejrzała się nagle po twarzach współpracowników. Od przybycia do wylęgarni przed ponad rokiem czuła się wśród nich inna. Oni niczego nie zauważyli, traktowali ją przyjaźnie, zapraszali na wspólne wyjścia. Wszyscy lubili nadzorcę Dimitriego, który nie pozwolił, by władza uczyniła go aroganckim. Wciąż mogli żartować z jego długiego oczekiwania na małżonkę.

Ale ci młodszy, jak Klara, wymieniali się żarcikami, czasem lekko pogardliwymi wobec starszych pracowników, z tego jak metodycznie i porządnie pracują i jak posłusznie wracają co wieczór do domu, do swych współmałżonków i komórek rodzinnych.

Oczywiście młodszy też pilnie pracowali, ale młodość to czas, gdy toleruje się odrobinę swobody. Stojąc nad stawami hodowlanymi, nadawali młodym rybom niemądre imiona i wymyślali im charaktery.

„Spójrz na Chciwego Gusa!” „Znów wyjadł całą karmę!” „Uwaga! Płynie Wielkogęby Buster!”

Klara zawsze uśmiechała się, słysząc coś takiego. Kiedy jeszcze mieszkała w oddziale rodzioleek, naczynia zachowywały się podobnie: zabijały czas, wynajdując najróżniejsze tematy, z których można żartować. Dołączała do nich, była częścią grupy, jedną z nich aż do końca.

Tu jednak zawsze czuła się odrębna. Inna. I nie potrafiła zrozumieć dlaczego.

Ale tego dnia przy śniadaniu nagle zauważyła coś, co wcześniej uważała za oczywiste. Po sprzątnięciu talerzy, wrzuceniu wymiętych serwetek do pojemnika na odpadki i przyglądzeniu uniformów przed kolejnym dniem pracy każdy z pracowników robił coś jeszcze, kolejny szybki element porannej rutyny.

Każdy zażywał pigułkę.

Klara wiedziała o pigułkach; ich przyjmowanie w społeczności zaczynało się około dwunastego roku życia – albo wcześniej u niektórych dzieci. Rodzice obserwowali je i decydowali, kiedy nadszedł czas. Jej samej nie uznano za gotową na pigułki przed ceremonią dwunastolatków. Zupełnie się tym nie przejęła. Przyjaciele, którzy je zażywali, trochę na nie narzekali. Ale kiedy podczas ceremonii przydzielono ją do rodzioleek, na liście instrukcji znalazło się też krótkie:

Nie zażywać pigułek.

Jeśli już je zażywasz, natychmiast przestań.

Jeśli jeszcze nie zaczęłaś, nie zaczynaj.

Przypomniała sobie teraz, że w owym czasie pigułkowy zakaz wydał jej się czymś nieistotnym. Rodziców natomiast nieco poruszył. Oni zażywali pigułki. Podobnie jej

brat Piotr.

– Przygotowałam je już dla ciebie, czekając, kiedy nadejdzie pora – oznajmiła matka Klary z nerwowym śmiechem. – Teraz chyba po prostu je wyrzucę.

– Lepiej zwróć – podsunął ojciec.

Kiedy zamieszkała w oddziale rodzicielek, spytała o to inne naczynia.

– Zażywałyście już pigułki? – zagadnęła pewnego wieczoru podczas posiłku.

Część wzruszyła ramionami, mówiąc, że nie. Ale kilka pokiwało głowami.

– Przystałam natychmiast, kiedy otrzymałam instrukcję – oznajmiła jedna z dziewcząt.

– Ja odstawiałam je stopniowo – dodała druga.

– To chyba dlatego, że podają nam witaminy – zgadywała Nadia; miała na myśli starannie odmierzone dawki suplementów, które wszystkie naczynia posłusznie łykały co rano. – Pigułki to pewnie inne witaminy i już ich nie potrzebujemy.

– Nie. Pigułka to coś zupełnie innego – upierała się Zuzanna; to ona wspomniała, że je odstawiła.

– Ma rację – dodała Miriam. – Po witaminach nie czujemy się inaczej, ale pigułka... – Zawahała się. – Kiedy ją zażywałam, zdawało mi się, że nie wywołuje żadnych skutków. Ale gdy przestałam ją brać, zaczęłam czuć... – Nie potrafiła jednak opisać, co ma na myśli.

– Czuję się niespokojna – wyjaśniła Zuzanna. – I to trochę krępujące, nie wiem nawet, jak to opisać, ale zaczęłam być świadoma własnych uczuć. Nie tylko tych w głowie, ale też, no... fizycznych.

Zarumieniła się i zachichotała nerwowo. Pozostałe dziewczęta, w tym Klara, też się zawstydzily, ale jednocześnie były zaintrygowane. Zwykle w społeczności nie rozmawiało się o żadnych uczuciach.

– Tak, właśnie to – zgodziła się Miriam. – I wiecie co? Chyba chcą, żebyśmy przeszły tę przemianę. Bez pigulek nasze ciało staje się gotowe. Tego właśnie doświadczamy. Nawet mi się to podoba. Nigdy wcześniej tak naprawdę niczego nie chciałam, ale teraz pragnę produktu. Kiedy rośnie we mnie, czuję radość. – Poglądziła ręką brzuch i uśmiechnęła się.

Pozostałe dziewczyny przytaknęły, dotykając własnych wydętych brzuchów.

– To miłe uczucie.

– Kiedy już urodzisz, znów zażywasz pigułki, póki nie będziesz gotowa do następnego razu – wtrąciła Nancy. Do tej pory wyprodukowała już trzy produkty i czekała na przydział porodzieński.

– Jak długo? To mój pierwszy raz – rzekła Klara. – Nigdy jeszcze nie brałam pigulek.

– Dostaniesz je po zakończeniu produkcji. Będziesz zażywać pigułki może pół roku. Potem przerwiesz i zaczniesz szykować się na następny produkt. Widzisz Karen, o tam? – Nancy wskazała ręką młodą kobietę przy pobliskim stole. – Właśnie wyprodukowała. Teraz jest na pigułkach, ale za kilka miesięcy będzie musiała zacząć się przygotowywać do drugiej produkcji.

– To naprawdę nudne – wyszeptała Zuzanna. – Czas między porodami, kiedy bierzesz pigułki. Nic cię wtedy nie bawi. Chociaż sama tego nie zauważasz.

Teraz, rozglądając się po kafeterii w wylęgarni, Klara uświadomiła sobie, że wszyscy pozostali pracownicy co rano zażywają pigułkę. To dlatego ich rozmowy były zawsze

lekkie, powierzchowne, w gruncie rzeczy pozbawione znaczenia. Przypominali naczynia w okresie między porodami – pozbawieni uczuć. Teraz dotarło do niej, że tylko ona nie łyka co dzień pigułki – i domyśliła się, że to zwykłe niedopatrzenie. Jej katastrofalny poród i pozbawienie certyfikatu były tak nagłe i zaskakujące, że nikt w oddziale rodzicielek nie pomyślał o tym, by dostarczyć jej pigułki i polecić, by je zażywała. Może wszyscy opiekunowie sądzili, że załatwił to ktoś inny.

I tak stała się jedyną osobą, która coś czuła. Jedyń! To dlatego tęskniła za dzieckiem i miała wrażenie, że serce jej się rozplynie za każdym razem, gdy pomachało do niej rączką i powiedziało: „Pa, pa”, powtarzając jej imię srebrnym głosem i uśmiechając się niesamowicie.

Nie pozwoli im odebrać sobie tego uczucia. Jeśli ktoś z władz dostrzeże błąd, jeśli dostarczą jej zapas pigułek, pomyślała wojowniczo, to będzie udawać. Będzie oszukiwać. Ale nigdy, w żadnych okolicznościach nie stłumi odkrytych uczuć. Klara pojęła, że prędzej umrze, niż zrezygnuje z miłości, jaką czuje do syna.



Łódź dostawcza znów cumowała przy wylęgarni. Załoga zrzuciła liny, oplotła nimi pachołki i zsunęła na brzeg pochyłe trapy. Pamiętna zeszłorocznego opóźnienia tym razem przybyła wcześniej i miała odpłynąć, nim zbliżająca się dwudniowa uroczystość jej w tym przeszkodzi.

Dzień ceremonii zbliżał się szybko. Czy naprawdę minęło już tak wiele czasu? Czy już ponad rok pracuje tu, w wylęgarni? Trudno uwierzyć. Ale kiedy Klara pomyślała o dziecku, o małym Abim, uświadomiła sobie, jak bardzo się rozwinął: z zapłakanego niemowlaka domagającego się butelki, którego ujrzała po raz pierwszy, w roześmianego chłopczyka umiejącego wymówić jej imię, pomachać pa, pa i naśladować zabawną minkę, którą teraz witali się, a potem wybuchali śmiechem.

Słyszając, jak współpracownicy wspominają o zbliżającej się ceremonii, Klara uświadomiła sobie, że tym razem Abi dostanie przydział, przeniesie się do domostwa, będzie miał rodziców, może też starsze rodzeństwo. Będzie musiała znaleźć nowy sposób, by nie stracić z nim kontaktu. Oczywiście jego nowa opiekunka – Klara nie mogła się zmusić, by nazwać ją matką – będzie mieć pracę w społeczności, podobnie jak wszystkie kobiety. Dziecko zatem czeka codzienne przebywanie w świetlicy.

Klara pracowała tam w czasach szkolnych, by wypełnić wymagane godziny nadobowiązkowe. Podobało jej się i wiedziała, że Abi będzie miał dobrą opiekę, otrzyma zabawki edukacyjne, doskonale zbilansowaną dietę wzmocnioną witaminami, będzie jeździł na spacerzy w wieloosobowym wózku i pozna podstawy dyscypliny, znaczenie słów: „Nie” i „Nie wolno”. To, że nie wolno mu ssać kciuka, choć jeśli potrzebuje otuchy, może pogłaskać swój przedmiot kojący. W porze drzemki ułożą go w łóżeczku i przygaszą światła.

Na myśl o rytuale drzemki Klara poczuła lekki niepokój. Abi wciąż kiepsko sypiał. Z reguły dzieci w świetlicy reagowały na surową dyscyplinę i szybko uczyły się zachowywać ciszę po przygaszeniu światel. Pamiętała rzędy łóżeczek – większość małych lokatorów smacznie spała, a pozostali patrzyli w milczeniu w sufit. Małe dzieci miały już wtedy imiona; Klara pamiętała, jak wędrowała wzdłuż rzędu, czytając na kartach identyfikacyjnych kolejne: Liam, Swietłana, Barbara, Henryk. Wkrótce po nadchodzącej ceremonii on także oficjalnie stanie się Abim. Miała rozpaczliwą nadzieję, że w łóżeczku z jego imieniem nie będzie leżał zawadzający, rozbudzony chłopiec rzucający swego hipopotama na podłogę i tłukący rytmicznie stopami o materac. W ośrodku opieki wciąż zdarzało mu się wrzeszczeć, kopać, a czasem wstrzymywać oddech, póki jego twarz nie nabrała przerażająco ciemnego koloru. Co zrobią z podobnym dzieckiem, gdy stanie się częścią systemu opieki? „Niepowodzenie

rozwojowe”, napisali w jego karcie, gdy był bardzo mały.

A teraz? Niepowodzenie dostosowawcze? Zadrzała. Obywatela, który nie mógł się przystosować do zasad społeczności, spotykały bardzo poważne konsekwencje. Z pewnością małego chłopczyka potraktują łagodniej, pomyślała. Ale nie miała pewności. Sama ta wizja budziła w niej lęk.

Na dwa dni przed ceremonią, jadąc z wizytą, ujrzała ekipy sprzątaczy pracujące ciężko przed audytorium, niewątpliwie szykujące je do jedynych dni w roku, gdy zbiera się cała społeczność. Tym razem Klara także weźmie udział w ceremonii – nadzorca wyznaczył już inną osobę na dyżur w wylęgarni. Bardzo zależało jej, by zobaczyć przydział Abiego, wiedzieć, dokąd trafi. Może, skoro to już niedługo, zdołałaby zerknąć na dokumenty w ośrodku opieki? Może jakiś piastun ma coś na biurku? Może dowie się czegoś?

Kiedy jednak Klara zjawiała się w ośrodku, natychmiast poczuła, że coś jest nie tak. Oczywiście, pomyślała, są bardzo zajęci planami ceremonii. Muszą przygotować wszystkie dzieci, całą pięćdziesiątkę, dla nowych rodzin. Każdemu nowemu dziecku towarzyszył list, instrukcje dla komórki rodzicielskiej: informacje o karmieniu, rozkładzie dnia, wymogach dyscypliny, zdrowiu, obserwacje na temat charakteru. Oczywiście personel był zajęty własnymi sprawami. To tłumaczyło wzmożone napięcie, jakie wśród nich wyczuwała. Piastun, zawsze witający ją tak miło, ten, który miał syna imieniem Jonasz i który nocami zabierał do swojego domostwa Abiego, potraktował ją dziwnie szorstko. Sprawiał wrażenie rozgniewanego, słyszała z kąta pokoju ciche, spierające się głosy. Co jeszcze bardziej niepokojące, kiedy poszła podnieść Abiego, który siedząc na podłodze, bawił się drewnianym klockiem, ktoś go zabrał.

– Zabawa z nim to niedobry pomysł – oznajmiła kobieta w uniformie. – Ta, o tam, dziewczynka? Trzeba ją przewinąć. Jeśli chcesz pomóc, możesz to zrobić.

Kobieta odeszła, trzymając Abiego. Posadziła go w pustym łóżeczku, gdzie natychmiast zaczął płakać. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Może mogłabym go uciszyć? – podsunęła Klara. – To ułatwiłoby pracę reszcie z was.

– Zostaw go – poleciła kobieta.

Klara zerknęła pytająco na piastuna, którego zaczęła uważać za przyjaciela. Nagle uświadomiła sobie, że przez te wszystkie miesiące nigdy nie spytała, jak ma na imię. Teraz jednak wyraźnie nie była na to pora: twarz mu stężała, odwrócił wzrok.

– Ale ja...

– Powiedziałam: zostaw go – powtórzyła niecierpliwie kobieta.

Klara chciała protestować, pojęła, że nie może, i umilkła. Posłusznie zabrała z podłogi wskazaną dziewczynkę i zaniósła na przewijak. Z tyłu Abi krzyczał i kopał pręty łóżeczka. Nikt się nim nie interesował.

Klara umyła roześmianą dziewczynkę, zmieniła jej pieluchę i posadziła z powrotem wśród zabawek na podłodze. Inne dzieci raczkowały i bawiły się beztrudnie, jakby przywykły do wrzeszczącego chłopczyka. Przy biurku opiekun, którego imienia nigdy nie poznała, ten, któremu (Klara wiedziała o tym) zależało na Abim, nagle zatrzasnęła głośno czytnik i wstał. Spojrzał na zegar na ścianie.

– Wychodzę wcześniej – oznajmił.

– Słucham? – Kobieta w uniformie uniosła wzrok. Najwyraźniej dysponowała tu

jakąś władzą.

– Boli mnie głowa – wyjaśnił piastun.

Kobieta zerknęła na komunikator na ścianie.

– Mógłbyś zamówić lekarstwo – podsunęła.

Piastun nie zwracał na nią uwagi. Podszedł do łóżeczka i podniósł Abiego, który przyciskał do siebie przedmiot kojący i wciąż szlochał rozpaczliwie, choć przestał już wrzeszczeć rozdzierająco.

– Zabieram go ze sobą. Wiesz, że spędza noce w moim domostwie.

– Nie ma potrzeby – rzuciła ostro. – Równie dobrze może zostać tutaj. Po co go zabierać?

– Po to, że moja rodzina go lubi i chcę, aby spędził ten wieczór z nami.

Piastun przemawiał stanowczo i Klara widziała, że kobieta sama nie wie, czy się spierać. Kiedy skupiła wzrok na trzymany w dłoniach papierach, widać było wyraźnie, że nie zdecydowała się na konfrontację.

– Przywieź go jutro wcześniej rano – rzuciła. Zabrzmiało to jak polecenie.

– Tak zrobię. – Ruszył do drzwi, trzymając w ramionach malca, i nagle zwrócił się do Klary: – Masz rower? Może pojedziesz kawalek z nami? Przy głównej drodze będziesz mogła skręcić do wylęgarni.

Oszołomiona Klara pozdrowiła skinieniem głowy kobietę, która kompletnie ją zignorowała, i ruszyła za mężczyzną i Abim. Czekwała, patrząc, jak piastun pakuje hipopotama do walizeczki i przypina dziecko do fotelika. Potem sama wsiadła na rower i pojechała obok nich ścieżką. Mężczyzna milczał, dziecko zerkało na nią z uśmiechem. Uniosła rękę, puszczając kierownicę, pomachała do niego i patrzyła, jak i ono macha. Oba rowery zwolniły na skrzyżowaniu, gdzie Klara powinna skręcić w prawo. Zatrzymały się.

– Może zobaczymy się jutro – rzekła niepewnie. – Wiem, że macie mnóstwo pracy ze względu na ceremonię, ale...

Przerwał jej.

– Wiem, że w zeszłym roku nie brałaś w niej udziału – powiedział. – Czy zamierzasz uczestniczyć w tegorocznej?

Klara przytaknęła.

– Chcę zwłaszcza zobaczyć, jak Abi trafia do przydzielonej mu rodziny.

Mężczyzna wahał się przez chwilę.

– Nie przydzielą go – powiedział w końcu – i nie zamierzają dłużej czekać. Stracili do niego cierpliwość. Dziś przegłosowali.

Za jego plecami dziecko zaczęło wymachiwać nogami. Abi wyraźnie chciał, by rower znów ruszył.

– W takim razie co teraz? Gdzie on...?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Powinnaś się już pożegnać. Rano go zwolnią.

– Zwolnią? Dokąd trafi?

Dziecko usłyszało słowo „pożegnać”, rozcapierzyło pulchne palce, a potem zacisnęło je, machając do Klary. Pa, pa. Pa, pa. Potem wepchnęło język w policzek, ze zmarszczonym czołem i nosem, robiąc ich sekretną zabawną minę. Klara usilnie próbowała uczynić to samo, ale nie przyszło jej to łatwo: oddychała ciężko, pod

powiekami czuła gorące łzy.

– Dokąd? – powtórzyła.

Mężczyzna jednak pokręcił tylko głową. Klarze zdawało się, że nie jest w stanie mówić, że on też oddycha bardzo szybko. Po chwili opanował się jednak.

– Tak po prostu jest – rzucił lekko. – Tak będzie najlepiej. Tak działa system. A przy okazji, źle usłyszałaś jego imię. Nie nazywa się Abi. Gotów, mój mały? – spytał, obracając głowę i sprawdzając, co u pasażera. – No, to ruszamy!

I pojechał naprzód. Ze ścieżki odprysnął kamyk, uderzając boleśnie Klarę w kostkę.

Oszołomiona patrzyła, jak rower sunie ścieżką wiodącą do rodzinnych domostw.



Lata później – wiele lat później – kiedy Klara próbowała pozbierać w całość wspomnienia swoich końcowych dni w społeczności, ostatnim wyraźnym obrazem był oddalający się rower i tył głowy dziecka. Reszta godzin, które potem nastąpiły, przypominała fragmenty, odłamki stłuczonego szkła. Nieważne jak bardzo starała się złożyć je do kupy, nigdy nie mogła odtworzyć całego obrazu.

Pamiętała, że łódź dostawcza wciąż cumowała przy brzegu, teraz przyjmując skrzynie. Z jakichś powodów załoga bardzo się spieszyła – usłyszała, jak ktoś krzyczy coś na temat warunków pogodowych. Nie zrozumiała, o co chodziło. Słyszała też zwykle skomplikowane dźwięki przygotowań do odpłynięcia, gwizdki i nawoływania, łoskot układanych skrzyń.

A potem nadeszła i minęła noc, a łódź nie odpłynęła. Coś się stało owej nocy. Dzwonki alarmowe. W wylęgarni? Coś się wydarzyło w laboratorium?

Nie. Nie tam. Łódź? Czy alarm dobiegał z łodzi? Nie, z jeszcze dalszego miejsca. Z centrali. I z głośników w każdym pokoju. Donośne słowa. Budzące wszystkich. Ale dlaczego? Co się stało?

W jej wspomnieniach był już ranek. Załoga łodzi szykowała się do odrzucenia cum i odbicia od brzegu, ale coś ją zatrzymało. Mijał czas. Zwykle łódź stała przy brzegu bardzo krótko, tym razem jednak trwało to dłużej. Coś opóźniło jej odpłynięcie. Wszyscy czegoś szukali. Kogoś? Tak. Właśnie tak. Ktoś zniknął.

Poszukiwacze cały dzień przeczesywali brzeg rzeki. A potem znów zapadł zmrok. Nawet nocą nie przerwali poszukiwań, świecąc latarkami. Krzyczeli.

O dziwo, pamiętała też stojącego na ścieżce piastuna. Dlaczego tam był? Nigdy wcześniej go tam nie widziała. Teraz stał na ścieżce, ale nie pozdrowił Klary, nawet na nią nie spojrział. Wbijał wzrok w rzekę i powtarzał jedno imię.

– Jonasz! Jonasz!

Jego syn. Tak. To był jego syn.

A zatem to jego syn zaginął.

Składając fragmenty wspomnień, Klara czuła pod gołymi stopami zimny żwir ścieżki. Dlaczego była na bosaka? Wszyscy zawsze nosili buty. I biegła! Czemu biegła?

Teraz piastun mówił coś do niej głośno. Ale co?

– On go zabrał! Jonasz zabrał dziecko!

Czy to właśnie do niej krzyknął?

– Poza Granicę! Poza Granicę!

Ale co to znaczyło?

A potem pośród rozmazanych urywków wspomnień poczuła, że jest na łodzi. Wbiegła po stromym trapie na bosaka, zapłakana. Przysadzista kobieta o rozpuszczonych jasnych włosach wyłoniła się z kabiny i objęła Klarę ramionami. Pamiętała uczucie ciepła i zapachy: pot i cebulę u kobiety, paliwo i mokre drewno: łódź. Kłęb dymu, zgrzyt wciągane go trapu.

Była z nimi, na łodzi. Silnik zawarczał. Odpływali. Dlaczego znalazła się na łodzi?

Odpływali Poza Granicę. Mówili, że pomogą jej znaleźć chłopca i dziecko.

– Mojego syna – oznajmiła, szlochając.

Następne niewyraźne wspomnienie ukazywało morze, którego wcześniej nie widziała. Deszcz – coś, czego nigdy nie czuła. Sztorm. Błyskawice. Fale. Strach. Mężczyźni krzyczeli, przeszkadzała im. Odepchnęli ją na bok i pobiegli, by coś przywiązać. Nie mogła ustać na nogach. Nawet w kabinie było mokro i ślisko. Upadła. Leżąc na podłodze, słyszała, jak kolejne przedmioty wywracają się i rozbijają. Nagle poczuła prąd wody, szarpał jej ubranie. Zimny. Taki zimny. A potem... cisza. Pusta, narastająca cisza. Ciemność.

To wszystko, co Klara pamiętała z owych ostatnich dni. Nieważne jak bardzo próbowała sobie przypomnieć przez następne ciężkie i samotne lata.

Księga II



Pomiędzy



Szare wzburzone morze rytmicznie atakowało ze zgrzytem wąskie pasmo piasku, szarpiąc kępy trawy, wypłukując i przesuwając luźne kamienie na brzegu. Oczy mężczyzn zbliżających się, by mocniej zaciągnąć cumy łodzi, piekły od piany, na ich brodach i brwiach osadziła się sól. Wszyscy nosili plecione kapelusze naciągnięte nisko na czoła.

Stary Benedikt osłonił dłonią oczy i zerknął w górę, oceniając niebo pośród lejącego deszczu.

– Trochę to potrwa! – zawołał. – Co najmniej do wieczora.

Ale porywisty wiatr uniósł jego słowa i pozostali, szarpiący i zwijający szorstkie liny, nie usłyszeli, nie odpowiedzieli.

Kobiety pozostały w domkach – walka z pogodą to zajęcie dla mężczyzn. Słuchały wiatru zawodzącego w kominach, szelestu rozdarłej strzechy i jęków przerażonych dzieci. Dokładały do ognia, mieszały zupy, kołysały niemowlęta i czekały. Burza przejdzie. Morze się uspokoi. Jak zawsze.



W czasach, które nadeszły później, historia Wodnej Klary przybierała różne formy. Opowiadano ją i powtarzano, fragmenty ulegały zapomnieniu lub kolejnym zmianom. Mimo to zawsze powtarzała się jedna prawda: że przed wielu laty przybyła z morza, wyrzucona na brzeg przez groźny grudniowy sztorm.

Niektórzy twierdzili, że znaleziono ją później, gdy wczesnym wieczorem skłębione chmury rozstąpiły się, ukazując zachodzące słońce; że leżała na wąskiej plaży w ubraniu częściowo zdartym przez fale i sądzono, że nie żyje, dopóki nie poruszyła się i nie otworzyła oczu, ukazując ciemną, nakrapianą bursztynem zielenią, którą wszyscy zapamiętali jednakowo.

Inni mówili, że nie, że to Wysoki Andras zobaczył ją wśród fal, rzucił się do wody i chwycił ją za długie włosy, podczas gdy ona rozpaczliwie trzymała się grubej, drewnianej belki; a potem płynął z nią, aż w końcu mógł stanąć, i kiedy spojrzeli, stał tam w skłębionej morskiej toni, trzymając ją w potężnych ramionach, z głową przy jego brodzie, i powiedział tylko jedno słowo: „Moja”.

Dzieci mówiły, że przyniosły ją delfiny, i odtwarzały to w zabawach i rymowankach, ale wszyscy wiedzieli, że to wyłącznie igraszki i bajania, nikt nie wierzył, że to prawda.

Jeszcze inni, gdy ktoś o niej wspomniał, mamrotali pod nosem: „Selkie”, ale znów – to tylko fantastyczna historia. Miejscowi dobrze znali opowieści o selkie, magicznych

istotach podobnych do fok, i często je powtarzali. We wszystkich selkie zrzucały skórę. Wodna Klara przybyła natomiast w ubraniu, choć poszarpanym przez wzburzone zimowe morze. Była człowiekiem. Nie miała w sobie ani krzty foki.

Ani też syreny.

Była zwykłą dziewczyną, którą przyniosło im morze i która mieszkała wśród nich jakiś czas, stała się kobietą, a potem znów odeszła.

Tak naprawdę to Stary Benedikt przyniósł ją na brzeg. Kilku mężczyzn, w tym Wysoki Andras, wypłynęło, ale to Benedikt dotarł do niej pierwszy, przecinając fale potężnymi, muskularnymi rękami. Oderwał ją od drewnianej rei, bo jej sztywne palce oplatały ją kurczowo. Wiedział, jak zarzucić sobie na barki pozbawione życia ramiona, jak unieść bladą brodę wysoko nad spienione fale. Wiele razy w ten sposób przynosił z pola ranne owce, przyciskając je do piersi.

W końcu stanął na płyciźnie i ruszył naprzód, stąpając ciężko po mokrym, lodowatym piasku. Położył ją na nim. Widział, że wciąż żyje, toteż okrył ją grubym płaszczem, który rzucił, wbiegając do morza. Następnie obrócił na bok mokrą, bladą twarz i zaczął naciskać przez płaszcz, póki nie wypłuła na piasek spienionej morskiej wody i nie zakasłała.

Owszem, Wysoki Andras też tam był i patrząc z góry, pomyślał, że pragnie tej dziewczyny, ale nie wymówił tego głośno.

Stary Benedikt uniósł wzrok na otaczających go mężczyzn.

– Pobiegnij przodem – polecił Gavinowi, najszybszemu z nich. – Uprzedź Alys. Zaniesiemy ją tam.

Mężczyźni pospiesznie zebrali tyczki i płaszcze i sporządzili z nich nosze; wiedzieli jak, bo robili to wiele razy wcześniej. Ich dzieci często wypadały z łodzi i ześlizgiwały się ze skał. Synowie i bracia odnosili rany od haków i lin, kobiety umierały w połogu, noworodki także. Wówczas na podobnych noszach odbywali powolną podróż do grobu.

Ale ta dziewczyna żyła, choć oczy miała zamknięte, a palce zaciskała, jakby wciąż czuła w nich odłamek omasztowania. Kiedy przeturlali ją na nosze, znów zakasłała, a gdy ją dźwignęli, by ponieść na wzgórze, zimny wiatr porwał pasmo długich mokrych włosów, chłoszcząc ją nimi w policzek. Wówczas zatrzepotała rzęsami i zaczęła dygotać i jęczeć.

W gęstniejącej ciemności ostrożnie, bo zimą zmrok zapadał szybko, wtaszczyli ją na pagórek, wymacując stopami wydeptaną ścieżkę, która zaprowadzi ich do wioski i stojącej na skraju chaty Alys. Czterej mężczyźni nieśli dziewczynę. Pozostali maszerowali za nimi; od czasu do czasu któryś przystawał, obracał się i spoglądał na morze i horyzont pod ciemniejącym niebem, jakby szukał wzrokiem sylwetki statku, z którego mógł pochodzić ten zdumiewający dar. Ale nie było tam niczego, prócz tego co zawsze: pustego oceanu barwy cyny, teraz śniedziejącej i zmieniającej się w czerń wraz z nastaniem nocy.



Wioska przycupnęła u stóp złowrogiego urwiska, w zakrzywieniu łokcia ręki ziemi. Cypel sterczał w bok od głównego wybrzeża, tworząc odizolowane miejsce, w którym czas nie miał znaczenia, bo nic się nie zmieniało. Nigdy nie pojawiał się nikt nowy,

nawet najstarsi tego nie pamiętali. Od czasu do czasu tylko niezadowolony mężczyzna wspinał się (tak bowiem nazywali odejście) bądź próbował. Zarośnięta, pełna splątanych korzeni kręta ścieżka wiodła do stóp urwiska, a potem znikła pod pionową skalną ścianą. Dalej można już było tylko się wdrapywać. Kilku zginęło po upadku. Jeden, Groźny Einar, z powodzeniem pokonał skałę, ale powrócił zgorzkniały po tym, z czym zetknął się na szczycie.

Pewnej zimowej nocy pokłócił się z ojcem i wspiął z workiem z własnym dobytkiem i kilkoma kradzionymi rzeczami przywiązany do pleców. Kiedy wrócił, schodząc z urwiska, o mało nie zginął, był już bowiem okaleczony, krwawił i niewiarygodnie cierpiał. Z ostatnich skał zeskoczył na zaśnieżoną ścieżkę u podstawy, wyjąc z bólu i ze świadomości klęski. A potem umilkł. Odczołgał się w miejsce, gdzie mógł przygiąć wątłe drzewko. Oderwał od niego gałęzie, złamał pień na dwoje i za ich pomocą dźwignął się z ziemi. Potem, wsparty na kijach, powłókł się do domu, by stawić czoło ojcu. Stracił przydomek Groźnego – teraz nazywano go Kulawym Einarem. Wciąż zaledwie osiemnastoletni i wciąż milczący opiekował się owcami, trawiony głęboką rozpaczą.

Najlepsza droga z wioski wiodła przez morze, lecz ocean był kapryśny i nieprzewidywalny, pełen niebezpiecznych prądów i nieustannych wiatrów. Każdemu z rybaków co najmniej raz groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, każdy z nich stracił przyjaciół bądź braci.

Alys, bezzębna i pomarszczona, lecz wciąż obdarzona bystrym wzrokiem i ostrym językiem, gdy przynieśli do niej drżące stworzenie, poleciała mężczyznom szorstko: „Zostawcie nas!”. Całą noc zajmowała się dziewczyną. Sama nie miała dzieci, lecz pomagała przy narodzinach wielu i znała się na młodzieńczych obrażeniach. Rozebrała nieznajomą z przemoczonego podartego ubrania, odłożyła je na bok, a potem wytarła ją do sucha szorstką tkaniną i opatuliła w miękką wełnę. Wszystko to robiła w migotliwym świetle kopcającej lampy olejnej. Kiedy dziewczyna przestała się trząść, Alys zamieszała doprawiony ziołami bulion bulgoczący na ogniu w żelaznym garnku. Nalała trochę do miski i nakarmiła nieznajomą łyżką trzymaną mocno, by tamta nie odepchnęła jej wystraszona.

Dziewczyna jednak chętnie sęczyła zupę, z początku ostrożnie, potem otwierając usta i prosząc o więcej.

– Powoli, bo zwymiotujesz – upomniała ją Alys. – Co cię tu sprowadziło? – spytała, kiedy w misce zaświeciło dno.

Dziewczyna odwróciła głowę. Podniosła się lekko, nasłuchując pomruku morza, ale nie odpowiedziała, a stara kobieta nie nalegała. Zamiast tego Alys znalazła na pobliskiej półce wycięty z kości grzebień i zaczęła rozplątywać i przyglądać mokre, sztywne od soli włosy.

Wiatr zawodził w strzesze na dachu. Była głęboka noc. Dziewczyna drzemała, półsiedząc. W końcu Alys ułożyła ją na łóżku i okryła wełnianą tkaniną nagie ramiona. Kilka chwil patrzyła na śpiącą, której włosy rozsypały się wokół głowy. Alys zawsze pragnęła mieć córkę i czuła, że morze jej ją przysłało. Po jakimś czasie przykręciła płomień lampy, tak że w chacie zapadł półmrok, a na ściany wypełzły mroczne cienie. Sama także owinęła się w grubo tkany koc, przysiadła w pobliskim fotelu i zasnęła.

Rankiem dziewczyna obudziła się, płacząc cicho. Gdy zobaczyła swoje ubranie zamienione w szmaty, pokryte plamami schnącej soli, chwyciła je, obmacując palcami

zniszczoną tkaninę, a potem wypuściła, obracając twarz ku ścianie. Po jakimś czasie ze zrezygnowanym westchnieniem wzięła podaną przez Alys szorstką tunikę, naciągnęła przez głowę i wstała. Gołe nogi i ręce były pokryte sińcami i zadrapaniami; jedna kostka paskudnie napuchła. Dziewczyna, oszczędzając ją, pokuśtykała do stołu, na którym Alys postawiła talerz owsianki.

Włosy miała czerwonozłociste, lśniące jak miedź w porannym zimowym świetle wpadającym przez małe okienko wprost na nią. Dzień był pogodny, jak często bywa po burzy.

– Co cię sprowadza w to miejsce? – spytała ponownie Alys. – Co cię tu przywiodło i cisnęło w objęcia sztormu?

Dziewczyna jednak znów nie odpowiedziała, choć przyglądała się Alys nakrapianymi złościście oczami. Jej twarz miała pytający wyraz.

– Znasz nasz język? – spytała Alys, wiedząc, że to niemądre pytanie, gdyby bowiem odpowiedź miała być przecząca, dziewczyna nie zrozumiałaby i nie mogła jej udzielić. – Jestem Alys. – Wskazała siebie palcem. – Alys – powtórzyła i poklepała się po piersi. – Nie mam dziecka, nigdy nie miałam, ale wielu kobietom pomagałam je urodzić i tylko kilka umarło po porodzie. Mówią, że mam mocne ręce i dobre wyczucie. Układam też martwych, a czasami potrafię uleczyć ludzi, jeśli choroba nie zajdzie zbyt daleko. Dlatego właśnie przynieśli cię do mnie, bo pomyśleli, że potrzebujesz uleczenia. A jeśli nie uleczenia, to że umyję cię i zawinę do grobu.

Dziewczyna przyglądała się jej; talerz miała pusty, uniosła stojący obok kubek mleka i pociągnęła duży łyk.

Z zewnątrz dobiegły je nagle chichoty dzieci. Alys pchnięciem otworzyła okno i wyjrzała.

– Ona żyje! – zawołała. – Je i jest cała, niczego nie złamała. Idźcie, powiedzcie. I nie przychodźcie, póki porządnie nie odpocznie. Nie musi wysłuchiwać waszych śmiechów i wrzasków.

– Jak się zowie?! – zawołał dziecięcy głos.

– Idźcie już! Wkrótce się dowiemy albo sami nadamy jej imię! – odkrzyknęła kobieta i odpowiedział jej tupot oddalających się małych stóp.

Sękatą dłonią przyglądała włosy dziewczyny.

– To tylko ciekawość, nic więcej. Ta trójka zawsze jest razem, najlepsze przyjaciółki, o tak. Delwyth, Bethan i Eira, tak się zwą. W tym samym roku pomagałam przy narodzinach każdej z nich. Skończyły sześć lat i psocą ile wlezie, ale mają dobre serca i nie żywią złych zamiarów.

I wtedy dziewczyna odezwała się.

– Na imię mam Klara – oznajmiła.



Nazwali ją Wodną Klarą.

W następnych tygodniach mieszkańcy wioski przychodzili do Alys i przynosili dary dla dziewczyny, wiedząc, że nie ma nic własnego. Szczodrzy z nich byli ludzie. Gareth o łysej głowie i krągłych policzkach, różowych z onieśmienia, zrobił jej buty, skórzane sandały z rzemieniami, które zawiązywała wokół kostek na grubych wełnianych skarpetach, kiedy opuchlizna już zeszła i mogła chodzić bez bólu. Bryn, matka małej Bethan, uszyła jej płócienną halkę i ozdobiła nawet rąbek haftowanymi kwiatami, a choć codzienne stroje w wiosce nie miały takich ozdób, nikt nie upomniał za to Bryn, bo dziewczyna wyglądała na godną podobnego daru. Stary Benedikt wyrzeźbił jej grzebień, który nosiła w kieszeni, a Kulawy Einar, zaskakując wszystkich, był bowiem człowiekiem groźnym w gniewie i samotności, przykuśtykał z owczej hali, wsparty na dwóch kijach, i wręczył jej upleciony ze słomy kapelusz.

Kiedy nadeszła wiosna, dzieci zaczęły znosić Klarze więdnące bukietki wczesnych polnych kwiatów i pomagały wpleść łądźki w słomiane rondo kapelusza.

Nosiła go dla ochrony oczu przed słońcem, mimo to jednak kiedy patrzyła w morze, musiała osłaniać je ręką, bo blask odbijający się od szaro-białych fal oślepiał. Często stawała na brzegu, a wiatr unosił jej włosy i oblepiał spódnicą nogi. Obserwowała horyzont, jakby na coś czekała. Nie miała jednak pojęcia, na co czeka, morze wyszło z niej wspomnienia, pozostawiając wyłącznie imię.

– Ile masz wiosen, Wodna Klaro? – spytał na wpół dorosły piegowaty Sindri. Stanął obok, porównując swój wzrost do jej, i okazała się wyższa. Ona jednak pokręciła głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Alys też tam była, razem zbierały zioła.

– Jakież szesnaście – odparła kobieta, zwracając się bardziej do Klary niż do chłopaka.

I wiedzieli, że Alys dobrze zgaduje, bo to ona zajmowała się ciałami ich wszystkich i знаła ślady zostawiane przez każdy upływający rok.

– Szesnaście – powtórzyła Wodna Klara swoim miękkim głosem i choć nie dodała nic więcej, wiedzieli, że oplakuje świadomość lat, które morze jej wyrwało.

Przyglądała się rozbawionym dziewczynkom uganiającym się ze śmiechem po łące, szybkim i barwnym jak motyle, ale w jej wzroku krył się smutek, bo ocean odebrał jej jej własną łąkę. Zabawy nie powracały, nawet w snach.

– Szesnaście? – powtórzył Wysoki Andras, gdy to usłyszał. Sindri opowiedział wszystkim; większość wruszyła tylko ramionami, lecz Wysoki Andras potarł dłonią gęstą, jasną brodę, patrząc przez targ w miejsce, gdzie stała Wodna Klara, oglądająca wstążki przy kramie, i rzekł, zwracając się do swych kompanów: – Mogłaby wziąć ślub.

Istotnie, w tej wsi dziewczęta często wydawano w tym wieku za mąż. Choćby teraz wioska szykowała się do ślubu: Glenys, nieśmiała i lśniacooka, wkrótce zostanie żoną opiekuna koni Martyna, choć nie skończyła jeszcze siedemnastu lat, a on ledwie dwadzieścia. Lecz Stary Benedikt i Alys odmówili. Nie ta dziewczyna. Nie Wodna Klara. Nie może wyjść za mąż, orzekli stanowczo, póki morze nie zwróci jej tego, co ukradło, póki nie dowie się, jak kiedyś żyła.

Wysoki Andras zmarszczył czoło, zawiedziony.

– A co, jeśli nigdy jej nie odda? – spytał szorstko.

– Odda – odparł Stary Benedikt.

– Fragmenty i urywki powracają – dodała Alys. – Z czasem.

Wysoki Andras spojrział na nich gniewnie. Gorąco pragnął tej dziewczyny.

– Morze wyrzuca zdechłe ryby – rzekł. – Niczego jej nie odda. To, co wyrzuca morze, śmierdzi zgnilizną.

– Ty sam śmierdzisz potem, Andrasie. – Alys zaśmiała się z jego nieszczęścia. – I jeśli chcesz, by dziewczyna zbliżyła się do ciebie, powinieneś się wykąpać. Umyj włosy i pozuj trochę mięty. Może wtedy któregoś ranka uśmiechnie się do ciebie.

Wysoki Andras odszedł gniewnie, widziała jednak, że kieruje się do stawu za gęstym zagajnikiem na skraju wioski. Stary Benedikt pokręcił głową i uśmiechnął się.

– Powiedziałem mu, że dziewczyna dojdzie do siebie, ale tak naprawdę tego nie wiem – rzekł do Alys. – Zupełnie jakby morze wymyło z niej przeszłość i pozostawiło pustkę. Co ci mówi?

– Pamięta tylko, jak ocknęła się w mojej chacie. Niczego wcześniej. Nawet bycia w morzu.

Szli razem skalistą ścieżką graniczącą z rozległą łąką, każde z nich wspierało się na kiju. Stary Benedikt wciąż był silny, ale garbił się, Alys także chodziła pochylona. Przyjaźnili się od ponad sześćdziesięciu lat.

Alys niosła w dłoni koszyk, do którego zbierała zioła; tego ranka potrzebowała liści malin, by zaparzyć napar dla Bryn. Od urodzenia Bethan przed sześcioma laty Bryn straciła troje dzieci i wpadła w rozpacz. Teraz znów nosiła dziecko, toteż Alys szykowała dla niej napar z liści malin, by piła trzy razy dziennie. Czasami wywar ten wzmacniał i podtrzymywał ciężę.

– Czy nie ma jakiegoś ziela na pamięć? – spytał Stary Benedikt, gdy pochyliła się, obrywając liście z gęstych, ciernistych krzaków.

Alys zachichotała.

– O tak – odparła. – Spróbuj tego. – Sięgnęła do pobliskiego drzewa, zdarła kawałeczek kory i wcisnęła mu w dłoń. – Pogryź i cofnij się myślami.

Marszcząc czoło, z pytającą miną Stary Benedikt położył korę na języku.

– Powrócić myślami do czego?

– Do dowolnej chwili. Odległej. – Przyglądała mu się.

Zamknął oczy i zaczął żuć.

– Gorzkie – poskarżył się skrzywiony.

Wybuchnęła śmiechem.

Po chwili otworzył oczy i wypluł przeżutą korę.

– Wróciłem pamięcią do dnia, kiedy tańczyliśmy – oznajmił z cierpkim uśmiechem.

– Miałam trzynaście wiosen – odparła. – Ty tyle samo, bardzo dawno temu. Czy

wyraźnie ujrzałeś wspomnienie?

Pokiwał głową.

– Wpięłaś we włosy różowe kwiaty.

Przytaknęła.

– Nadmorskie róże. Był środek lata.

– I byłaś boso.

– Ty także. To był ciepły dzień.

– Owszem, ciepła, wilgotna trawa. Rosa – dodał. – Był wczesny ranek. – Przez chwilę przyglądał jej się. – Dlaczego tańczyliśmy? – spytał, marszcząc czoło.

– Może powinienes pozuć jeszcze trochę. – Zaśmiała się. – Żeby przypomnieć sobie dlaczego.

– Ty mi powiedz.

Alys wrzuciła do koszyka ostatnie liście malin, wyprostowała się, chwyciła kijek i zawróciła na ścieżce.

– Wracamy do chaty – poleciała. – Woda w kociołku już wrze i muszę zaparzyć liście.

– Zaczęła oddalać się od niego.

– Może powinnaś zebrać trochę kory dla dziewczyny? Dla Wodnej Klary? – podsunął.

Obróciła się do niego i uśmiechnęła szeroko.

– Kora nic nie daje. Chodzi o to, by cofnąć się myślami. Skupić je. Zrobi to, kiedy będzie gotowa – dodała. – Teraz muszę już iść. Bryn potrzebuje tego naparu.

– Alys! – zawołał za nią, gdy wędrowała po ścieżce. – Dlaczego tańczyliśmy?

– Spróbuj znów wrócić myślami! – odkrzyknęła. – Przypomnisz sobie! – A potem, kręcąc głową z rozbawienia, mruknęła do siebie, patrząc na świat lśnącymi oczami: – Tylko trzynaście lat. Ale był boso, wśród kwiatów, ogłupiały z pierwszej miłości.



Klara czekała w chacie. Miedziane włosy związała z tyłu wstążką i opasana kawałkiem tkaniny chroniącej prostą spódnicę domowej roboty siekała długie pędy wczesnego szczypiorku prosto z ogrodu. Nowo zebrana zielenina leżała w stercie na stole obok grubej baraniej kości, gotowa do wrzucenia do garnka wody bulgoczącej nad ogniem. Kiedy Alys weszła, uśmiechnęła się do dziewczyny.

– Zaczynam robić zupę – oznajmiła Klara.

– Owszem, widzę. – Alys wysypała do miski liście malin z koszyka. – Wezmę trochę wody na mój napar. – Chochełką powoli nabrała z garnka wrzątku i zalała liście, które zaczęły się warzyć w kłębach pary, zabarwiając płyn.

– Dla Bryn? – Dziewczyna zerknęła na ciemniejszy napar.

– Owszem. Utrata kolejnego dziecka z pewnością by ją załamała.

Klara pochyliła się nad miską. Alys patrzyła, jak zamyka oczy i wciąga w płuca parę. Na jej czole kosmyki włosów zakręciły się od wilgoci, okalając bladą twarz. Przez moment trwała tak, oddychając bez ruchu. Potem westchnęła, cofnęła głowę, uniosła powieki i rozejrzała się oszołomiona.

– Nie mogę... – zaczęła i umilkła.

Alys podeszła do niej, przyglądając wilgotne włosy.

– Co się stało, dziecko? – spytała.

– Sądziłam... – Ale dziewczyna urwała, poruszając się niepewnie, z wahaniem. Usiadła w pobliskim fotelu na biegunach i wbiła wzrok w ogień.

Alys przyglądała jej się przez chwilę, potem podeszła do kufra stojącego pod ścianą. W nieotwieranej od lat skrzyni zamontowano żelazny zatrzask, wysłużony i zardzewiały. Lecz silne palce Alys podważyły go i uniosła ciężkie, rzeźbione wieko. Ojciec zrobił ten kufer dla jej matki niemal sto lat wcześniej, w darze ślubnym dla panny młodej. Do Alys trafił po śmierci matki, która przechowywała w nim różne rzeczy: pościel i sukieneczki dziecięce, zasypane suszonymi kwiatami lawendy. Nic z nich nie zostało, choć wewnątrz unosił się słodki zapach. Alys przechowywała w kufrze wyłącznie skarby, a niewiele ich miała w swoim życiu.

Teraz sięgnęła w głąb kufra i niemal z samego dna wyjęła delikatny kawałek złożonej tkaniny. Zabrała go i podeszła do fotela.

– Teraz patrz – poleciała dziewczynie. Delikatnie rozłożyła tkaninę i zademonstrowała jej poszarpane, brązowe strzępki. – Powąchaj. – Alys uniosła je do nosa Klary.

– Stare – mruknęła dziewczyna. – Słodkie. – Odchyliła się w fotelu i westchnęła. – Co to?

– Nadmorskie róże sprzed sześćdziesięciu lat.

– Czemu...

– Żeby przechować wspomnienia. Zapachy to robią. Kiedy powąchałaś napar...

– Tak. Na moment coś powróciło – przyznała dziewczyna. – Jak przelotny powiew.

Przepłynęło obok. Nie mogłam tego zatrzymać, chciałam... – Lecz nie potrafiła wyrazić, czego chciała, westchnęła i pokręciła głową. – Ale odeszło.

– Czeka – poprawiła Alys. Starannie złożyła tkaninę wokół zaschniętych płatków i liści i odłożyła paczuszkę do rzeźbionej skrzyni. Potem na oczach Klary odcedziła ciemny napar i ostrożnie przelała go do niewielkich butelek, które mocno zakorkowała.

– Teraz zaniosę to Bryn – oznajmiła. – Dorzuć do zupy parę liści maliny. I trochę szczawiu z ogrodu, dodadzą smaku. Twoja zielenina zagęści zupę, ale smakuje zwyczajnie.

Klara przytaknęła. Alys patrzyła, jak dziewczyna krawędzią dłoni zsuwa posiekany szczypiorek na staranny stosik.

– Czy może kiedyś gotowałaś? – spytała.

Klara zmarszczyła czoło.

– Nie wydaje mi się – rzekła w końcu.

– Ale coś do ciebie wróciło minutę temu – nalegała Alys. – Kiedy poczułaś zapach naparu.

Dziewczyna stała zamyślona. Zamknęła oczy. W końcu uniosła wzrok i wzruszyła ramionami.

– Nie chodziło o napar. To raczej wynikło z czegoś innego.

– Elegancko mówisz. – Alys zaśmiała się. – Pewnie ktoś kiedyś dla ciebie gotował.

Klara odetchnęła głęboko, wciąż zamyślona. A potem sięgnęła po łyżkę i odwróciła się do garnka bulgocącej zupy.

– Cóż – rzekła – te czasy minęły.



Trzy dziewczynki, Bethan, Delwyth i Eira, bose i poplamione trawą, uklepały i uporządkowały zakątek łąki, który nazywały swoim herbatkowem. Płaski gład stał się ich stołem; ozdabiały go kwiatami rosnącymi w pobliżu. Liściastą gałęzią służącą za miotłę Eira zamiotła ziemię wokół gładu.

– Siadajcie, drogie panie – rzekła. – Teraz, gdy mamy już porządek, napijmy się herbaty.

Często bawiły się w ten sposób, serwując sobie wyimaginowaną herbatkę i udając dorosłe kobiety.

– Włosy masz nieco potargane, panno Bethan – oznajmiła wyniośle Eira, odkładając na bok miotłę. – Czyżby sprawił to pośpiech? Spodziewałabym się, że bardziej się wyelegancisz, może też wyszczotkujesz włosy, gdy dostajesz zaproszenie na herbatkę.

Bethan zachichotała, odgarniając niesforne loki.

– Proszę o wybaczenie, panno Eiro – odparła. – Dzieciątko w moim łonie sprawia, że się zapominam. – Dramatycznym ruchem uniosła sukienkę, odsłaniając szczupły brzuch.

– Czy ja też mogę mieć dziecko w brzuchu? – wyszeptała z powagą Delwyth.

– Tak. Miejmy je wszystkie. – Eira podciągnęła własną spódnicę. – Och, mam

nadzieję, że moje urodzi się wkrótce, bo zmęczyło mnie to, że jestem gruba.

– Tak, grubym jest ciężko – zgodziła się z powagą Delwyth. – Przez to człowiek strasznie dyszy. Kiedy oczekujecie swoich? – spytała pozostałe. – Moje urodzi się jutro, mam nadzieję, że to będzie chłopiec. Nazwę go... – zastanowiła się chwilę – Dylan – postanowiła. – Herbatki? – Delikatnie pociągnęła łyk z własnej nieistniejącej filiżanki.

– Ups – rzuciła Bethan. – Moje właśnie się urodziło, dziewczynka. – Zaczęła kołysać w objęciach niewidzialne dziecko.

– Moje też! – oznajmiły pozostałe przyjaciółki, rytmicznie kołysząc wymyślone niemowlęta.

– Mama byłaby na mnie zła, gdyby wiedziała, co robimy – wyznała Bethan. – Twierdzi, że udawanie dziecka przynosi pecha.

Delwyth przestała kołysać.

– Pecha?

Bethan przytaknęła.

– To lepiej tego nie róbmy. Ale możemy udawać herbatkę. – Delwyth przyglądała spódnicę. – Może ciasteczko? – Poczęstowała przyjaciółki gałązkami.

Eira udała, że gryzie.

– Świetna z ciebie kucharka, panno Delwyth – rzekła.

Ta przytaknęła uroczyście.

– Nauczyłam się od królowej – oznajmiła – kiedy służyłam u niej jako podkuchenna.



Klara słuchała ich z pobliskiego niewielkiego zagajnika. Uśmiechała się, widząc słodycz dzieci, lecz ich rozmowa także ją niepokoiła, bo przypominała jej coś, co straciła. To było coś więcej niż utrata wspomnień. Brakowało jej wiedzy. Zastanawiała się, czym może być królowa – czyżby kiedyś to wiedziała? Czy kiedyś sama też się tak bawiła?

„Dzieciątko w moim łonie sprawia, że się zapominam”, powiedziała jedna z dziewczynek. Klara, pracująca teraz z Alys i szykująca zioła dla matki Bethan, rozumiała, co udaje dziewczynka. Dlaczego jednak ją samą ogarnął tak bezgraniczny smutek?

Poprawiła słomkowy kapelusz i powoli wróciła do chaty z ziołami, po które wysłała ją opiekunka. Postanowiła, że będzie się uczyć. Nauczy się wszystkiego – o królowych, czymkolwiek były, o ziołach i ptakach, o tym, jak mężczyźni uprawiają rolę i co sobie myślą, a także o kobietach, o tym, jak spędzają czas, o czym rozmawiają, marzą, za czym tęsknią.

To już jakiś początek, pomyślała Klara. Może w jakiś sposób zdoła nauczyć się własnego utraconego życia.



Na górnym polu, na którym wrywał motyką chwasty ze skalistej ziemi, Wysoki Andras przerwał pracę, otarł pot z lśniącego czoła i patrzył, jak tajemnicza dziewczyna wędruje ścieżką. Przez kilka tygodni utykała na jedną nogę, ale potem sińce i opuchlizna ustąpiły. Martwił się o nią, że zgarbi się i okuleje, jak to często bywało z

ludźmi o niewyleczonych ranach. Własny ojciec Andrasa kilka lat temu ciśnięty o skały, gdy jego łódź się wywróciła, wciąż miał rękę wygiętą i zablokowaną w krzywy łuk.

Andras widział jednak, że Wodna Klara stąpa teraz lekko. Nogi miała silne i jednakowo sprawne, stopy w miękkich skórzanych sandałach kroczyły pewnie. Patrzył, jak z łatwością dociera do zakrętu, a potem znika w lesie, zmierzając do chaty, którą dzieliła z Alys.

Po ziemi przed nim przebiegł cień i Wysoki Andras uniósł wzrok, wymachując rękami na wrony krążące nad polem. Wraz z chwastami wyciągnął z ziemi mnóstwo robaków i żuków. Wiedział, że wrony właśnie na nie polują i zagrażają wysianym roślinom. Nie mógł sobie pozwolić na utratę zbiorów. Tutejsze zimy były długie i mieszkańcy szykowali się do nich podczas ciepłej pory, hodując, uprawiając i zbierając zapasy. Ojciec starzał się już, a matka niedomagała od miesięcy, wciąż dolegała jej nawracająca gorączka. Wysoki Andras był młody, miał zaledwie siedemnaście lat, ale rodzina polegała na nim. Postanowił, że zrobi stracha na wrony, mommeta. Zeszłego lata to pomogło. Miał w szopie sporą tykwę, która mogła posłużyć za głowę. Wytnie w niej twarz: groźną twarz. Teraz wykrzywił własną, ćwicząc; wyduł usta pod nos, a potem zamachał rękami tak, jak mogłaby załopotać tkanina mommeta na wietrze, płosząc ptactwo.

Nagle zamarł, czując się dziecinnie i niemądrze, i ucieszył się, że dziewczyna go nie widziała. Dla niej pragnął być mądrym, ciężko pracującym mężczyzną godnym podobnej żony.



Zauważyli, że zwierzęta ją przerażały. Wiewiórka, oswojona przez dziewczynki, siedziała na ręce Eiry, skubiąc podane jej nasiona, lecz Klara cofnęła się, wyraźnie zaskoczona.

– Nigdy wcześniej takiej nie widziałas, Wodna Klaro? – spytała Bethan. – Nie są niebezpieczne.

– Możesz jej dotknąć – zaproponowała Delwyth. – Lubi to.

Ale Klara pokręciła przecząco głową. Bała się nawet najmniejszych stworzeń – mysz przemykająca po podłodze chaty Alys doprowadziła ją niemal do omdlenia – a ptaki fascynowały ją i niepokoiły. Żaby wydawały jej się ciekawe, ale dziwne. I absolutnie przerażały ją krowy. Klara wstrzymywała oddech i odwracała wzrok, gdy musiała minąć miejsce obok domku Wysokiego Andrasa i jego rodziców, gdzie chuda mleczna krowa, spokojnie poruszając pomarszczonym pyskiem, przeżuwała ostrą trawę.

– Muszę spróbować nauczyć się stworzeń – rzekła przepraszająco do Alys. – Nie powinnam się tak bać. Nawet najmniejsze z dzieci dobrze się czują ze stworzeniami.

– Może kiedyś przeżyłaś nieprzyjemne spotkanie. – Alys siedziała w fotelu, robiąc na drutach z szarej włóczki w słabym, migoczącym świetle.

Klara westchnęła.

– Nie wiem. Ale to nie przypomina złego wspomnienia. Zupełnie jakbym nigdy wcześniej ich nie widziała.

– Ryb też?

– Ryby znam – powiedziała powoli. – Chyba kiedyś poznałam ryby. Nie przerażają mnie. Lubię to, jakie są srebrzyste.

– Ale nie ptaki?

Klara pokręciła głową i zadrżała.

– Ich skrzydła wydają się takie nienaturalne. Nie mogę do nich przywyknąć. Nawet najmniejsze są dla mnie czymś obcym.

Alys zastanowiła się chwilę, kołysząc fotelem; drewniane druty szczękały w sękatych dłoniach.

– Kulawy Einar ma dobrą rękę do ptaków – oznajmiła w końcu. – Poproszę, żeby złapał nam jednego do domu.

– Do domu?

– Dla zabawy. Jako ozdobę. Zrobi mu klatkę z gałązek.

Klara wzdrygnęła się na tę myśl, ale nie protestowała. To niezły początek nauki.



Pewnego popołudnia stała boso na plaży, obserwując trzy dziewczynki. Ułożyły z patyków kształt domu i meblowały go odpadkami znalezionymi w piasku.

– To moje łóżko! – oznajmiła Bethan i uklepała garść wodorostów, nadając im kształt.

– I kubki w kuchni! – Eira ustawiła w rzędzie pięć miseczkowatych muszelek. Uniosła jedną wytwornie, udając, że pije.

Delwyth pobiegła po gałąź, którą dostrzegła obok kamieni, i przyciągnęła ze sobą. Oderwana od pobliskiego drzewa przez wiatr wciąż miała na sobie gąszcz liści.

– Miotła! Znalazłam nam miotłę! – oznajmiła radośnie dziewczynka i zaczęła zamiatać piasek. – Czekaście. Trzeba ją naprawić. – Ostrożnie szarpnęła cienką boczną gałązkę, odłamała ją i odrzuciła na bok. – No już. Teraz to prawdziwa miotła.

Klara, zapatrzona, pochyliła się i podniosła cienki patyk odrzucony przez Delwyth. Piasek był mokry, widziała w nim ślady własnych stóp. Końcem gałązki zrobiła okrągłe otwory w odcisku każdego palca, potem zaśmiała się i zamazała je patykiem. Niewielka fala nadpłynęła bezszelestnie, przyglądając poruszony piasek, i wycofała się. Klara pochyłona nakreśliła na nim pierwszą literę swego imienia:

K.

Potem L. I A.

Lecz kolejna spieniona fala zmyła litery.

Klara cofnęła się trochę dalej od brzegu i znów zaczęła.

KLARA, napisała.

– Co to? – Na litery padł cień. To Bethan patrzyła na nie z góry.

– Moje imię.

Dziewczynka wpatrywała się w nie.

– Chciałabyś napisać swoje obok? – Klara podała jej patyk.

– Jak? – spytała mała.

– Po prostu nakreśl litery.

– Co to litery?

Klara z początku zdziwiła się, potem pomyślała: *Och, jeszcze się nie nauczyły*. Nagle ujrzała samą siebie, kiedy się uczy, nauczyciela wyjaśniającego dźwięki symbolizowane przez litery. Działo się to w miejscu, do którego chodziła, miejscu zwanym szkołą. Wszystkie dzieci tam przychodziły. Ale teraz rozejrzała się, wodząc wzrokiem po urwisku, wzgórzach, chatach i morzu – widziała łodzie podskakujące w dali i mężczyzn nachylonych nad sieciami – i ogarnęła ją niepewność.

– Czy pójdziesz niedługo do szkoły? – spytała Bethan.

– Co to szkoła?

Klara nie wiedziała, jak odpowiedzieć dziecku, i może – zrozumiała – to nie takie ważne. Pięć liter: układały się w imię. Jakie to miało znaczenie? Znów spojrzała na wypisane na piasku słowo, a potem starła je własną stopą, mocno udeptała piasek i cisnęła patyk na stos połyskujących nieopodal morskich muszli.



Alys posłała Starego Benedikta, by poprosił Kulawego Einara o przysługę. Wkrótce potem, poruszając się powoli na kalekiej stopie, młodzieniec z mozołem zszedł ze swej chaty na wzgórzu, dźwigając na plecach klatkę z gałązek z tkwiącym wewnątrz ptakiem.

– Macie – rzekł do Alys.

Einar nie należał do osób gadatliwych. Niepowodzenia uczyniły z niego samotnika, lecz ludzie pamiętali wrażliwego chłopca, którym niegdyś był. Choć okradł ojca, wybaczyli mu, bo jego ojciec był człowiekiem surowym i niesprawiedliwym. Wielu podziwiała to, że Einar zdołał się wspiąć, urwisko bowiem było strome i poszarpane, a świat za nim nieznanym; niewielu starczyło odwagi, by zrobić to co on. Żalowali jego niepowodzenia, ale mimo kalectwa powitali go po powrocie. Einar natomiast nigdy sobie nie wybaczył. Żył w narzuconym sobie wstydzie i głównie milczał.

– Śpiewa – dodał.

Oparł dwa solidne kije o chatę Alys i powiesił klatkę na gałęzi drzewa przy wejściu. Przez chwilę patrzył, aż starannie wystrugana żerdka wewnątrz znieruchomiała i mała zięba przestała nerwowo trzepotać jaskrawymi skrzydełkami. Potem Kulawy Einar znów chwycił swoje kije, ustawił się między nimi, odzyskując równowagę, i odszedł powoli.

Kiedy Klara wróciła z plaży z sandałami w dłoni, ptak powitał ją ćwierkaniem. Zatrzymała się zaskoczona, patrząc na klatkę i zamkniętą wewnątrz ziębę.

– Nie może z niej wyjść, prawda? – spytała nerwowo.

Alys roześmiała się.

– Gdybyś wzięła go w dłoń, dziecko, drżałby ze strachu. Nigdy wcześniej nie byłaś blisko małego ptaszka?

Klara pokręciła przecząco głową.

– Musisz go co dzień karmić. Głównie nasionami i trochę robakami z pola.

– Nie lubię robaków – wyszeptwała Klara.

– Będzie ci łatwiej, kiedy się ich nauczysz. Strach słabnie, kiedy się uczymy.

Ptak zaćwierkał głośno i Klara podskoczyła. Alys znów wybuchnęła śmiechem.

Klara odetchnęła głęboko i uspokoiła się. Podeszła bliżej i zajrzała do klatki. Ptak przekrzywił głowę, spoglądając na nią.

– Powinien mieć imię – zauważyła.

– To go nazwij. Jest twój.

– Nigdy w życiu niczego nie nazwałam.

Alys zmarszczyła brwi i mrużąc oczy, przyjrzała się Klarze.

– Wiesz o tym? – spytała.

Klara westchnęła.

– Tak czuję, to wszystko.

– Nazywanie jest trudne. Kiedyś ktoś nazwał ciebie.

Klara odwróciła wzrok.

– Chyba tak – rzekła powoli, a potem znów skupiła uwagę na klatce. – Spójrz, on się czyści! – Pokazała ręką. Ptak uniósł skrzydło i dziobał z zapamiętaniem pióra pod spodem. – Czy to nie piękna plama koloru na skrzydle? – Zawahała się, a potem spytała: – Jak on się nazywa? Znam czerwony, nauczyłaś mnie czerwonego z jagód, ma ładne czerwone wokół oczu, ale co to za jasny kolor na skrzydle? Nie znam jego nazwy.

Alys zaniepokoiły te słowa, bo do tej pory zorientowała się już, że dziewczyna jest bystra i wiele wie o przeróżnych rzeczach. W innych kwestiach jednak Klarze wyraźnie brakowało wiedzy, także w dziedzinie kolorów. Nazwy najróżniejszych odcieni to jedna z pierwszych rzeczy, jakiej uczą się małe dzieci. A jednak kiedy jakiś czas temu Alys wysłała Klarę z prostym zadaniem, prosząc, by nazbierała niecierpka potrzebnego do opatrzenia bolesnej wysypki po trującym bluszczu na skórze jednego z wnuków Starego Benedikta, Klara nie wiedziała, jak znaleźć kwiat, rosnący gęsto przy strumieniu.

– Jasnopomarańczowe kwiaty – przypomniała jej Alys. – Zbierałyśmy je kilka dni temu.

– Zapomniałam pomarańczowego – przyznała ze wstydem Klara. – Tamtego dnia zbierałyśmy kilka rzeczy. Jak wygląda pomarańczowy?

A teraz nie potrafiła nazwać koloru zdobiącego skrzydło małej, rozspiewanej zięby.

– Żółty – oznajmiła Alys. – Taki sam jak u pierwiosnka, pamiętasz?

– Żółty – powtórzyła Klara. I tak ptak został nazwany Żółtoskrzydłym.



W zimny, mglisty poranek wspięła się na wzgórze, by odszukać Kulawego Einara i podziękować mu. Potrzebowała trochę czasu, by przywyknąć do ptaka, zapomnieć o wcześniejszym strachu. Ale teraz przyskakiwał do prętów, gdy przynosiła mu nasiona w małej muszelkowej miseczce, i czekał z przekrzywionym łebkiem, aż je postawi. Wiedziała, że gdyby wyciągnęła nieruchomo palec, wskoczyłby na niego. Ale jeszcze nie była gotowa, podobnie jak na karmienie żywymi owadami. To zadanie wzięły na siebie dziewczynki, chętnie łapiące żuki i pasikoniki w trawie i przynoszące je Żółtoskrzydłemu.

Znalazła Einara obok chaty – siedział na płaskim kamieniu i czyścił drewnianą miskę, szorując szczeliny w okrągłym kawałku topolowego drewna ścierką zanurzoną w popiele. W pobliżu przez mgłę słyszała owce krążące po trawie, od czasu do czasu któraś z nich beczała. Klara podeszła do młodego mężczyzny. Denerwowała się – nie ze względu na obecność Einara, który zawsze milczał tajemniczo, lecz z powodu odgłosów zwierząt.

Einara zaskoczył jej widok, szybko spuścił wzrok, wbijając go w miskę. Gdyby usłyszał, że się zbliża, uciekłby w mgłę i zniknął. Ale Klara stąpała bezszelestnie i bez ostrzeżenia wyłoniła się z falujących szarych oparów, a kaleka stopa nie pozwoliła mu zerwać się z miejsca i umknąć.

– Dzień dobry – rzuciła. Skinął głową w odpowiedzi. – Przyszłam ci podziękować za ptaka.

– To tylko ptak – wymamrotał.

Klara przyglądała mu się chwilę; nagle znikąd w jej głowie pojawiło się słowo. *Jest samotny*, pomyślała. *Ludzie twierdzą, że to pełen gniewu pustelnik, ale tak naprawdę doskwiera mu samotność.*

Rozejrzała się i dostrzegła nieopodal kłodę.

– Mogę usiąść? – spytała grzecznie.

Mruknął potakująco i znów zaczął szorować trzymaną w dłoniach idealnie czystą

miszkę.

– Wiem, że to tylko ptak – oznajmiła. – Ale widzisz, ja bałam się ptaków. Są dla mnie czymś obcym i nie rozumiem dlaczego. Zatem ptaszek, którego mi podarowałaś... nazwałam go Żółtoskrzydły... – Na widok zdumienia na jego twarzy zaśmiała się. – Wiem, to tylko kolor, ale dopiero uczę się barw, są dla mnie równie obce jak ptaki. Nazywanie go Żółtoskrzydłym mi pomaga. Powtarzam to imię, kiedy stawiam w klatce miseczkę z nasionami. I wiesz co? Zaczął śpiewać. Z początku się bał, ale teraz śpiewa!

Einar spojrział na nią, a potem ściągnął usta, wydał z siebie na próbę cichy trel i odtworzył głos małego kolorowego ptaszka, jego świergoty i drżące gwizdy.

Klara słuchała zachwycona.

– Czy umiesz też powtórzyć głosy innych ptaków? – spytała.

On jednak zawstydzony pochylił głowę i nie odpowiedział. Odstawił na bok miszkę i sięgnął po swe kije.

– Owce mnie potrzebują – oznajmił szorstko, wstał i odszedł, stąpając niezgrabnie, na skraj zasnutej mgłą łąki. Przypominał już tylko rozmazaną sylwetkę, gdy usłyszała, jak do niej woła: – Zielenina! Nie kolor. Ptak potrzebuje zieleniny. Najlepiej wierzbowych pączków i mleczy!

A potem zniknął. Kiedy jednak zbierała się do odejścia, usłyszała, jak ponownie gwizdże ptasią piosenkę.



Alys i Stary Benedikt stali, obserwując przygotowania do ślubu Glenys i Martyna. Przyjaciele pary zbudowali coś jakby altankę z giętkich wierzbowych witek; teraz ozdabiali ją kwiatami i paprocią. Dalej na stołach z desek, przygotowanych na tę okazję, kobiety rozkładały jedzenie i napoje.

– Piękny dzień – zauważyła Alys i mrużąc oczy, spojrzała w bezchmurne niebo.

– Ja brałem ślub w deszczu – odparł ze śmiechem Stary Benedikt – i nie zauważyłem nawet jednej kropli.

Uśmiechnęła się do niego.

– Pamiętam dzień twojego ślubu – rzekła. – I Ailish, całą promienną. Musisz bardzo za nią tęsknić, Ben.

Przytaknął. Jego wieloletnia żona zmarła poprzedniej zimy, powalona nagłym atakiem gorączki. Ich dzieci i wnuczęta czuwały przy niej zasmucone. Teraz leżała na wioskowym cmentarzu, w mogile oznaczonej niewielkim kamiennym nagrobkiem. Obok zostawiono miejsce dla Starego Benedikta, kiedy nadejdzie jego czas.

– Spójrz tam, Wysoki Andras przygląda się dziewczynie – zauważył teraz, ze śmiechem pokazując ręką. – Niemal odchodzi od zmysłów, tak bardzo jej pragnie.

Oboje patrzyli rozbawieni, jak młodzieniec wodzi zakochanym spojrzeniem za pomagającą przy kwiatach Klarą. Ledwie go dostrzegała.

– Ona mnie zdumiewa, Benedikcie.

– Owszem, to tajemnica, ale wspaniała. – Na ich oczach Klara uniosła jedną z dziewczynek, pomagając jej wpleść stokrotki w gałązki altany. Pozostałe dzieci czekały cierpliwie na swoją kolej. – Łażą za nią jak kocięta za matką kotką, widziałaś?

– Wiesz, że ona boi się kotów? Nawet kociąt? Jakby nigdy wcześniej ich nie widziała

- poinformowała go Alys.
- I ptaków, tak słyszałem.
- Kulawy Einar złapał dla niej ptaka i uplótł klatkę. Teraz Klara powoli uczy się go lubić, bo ładnie śpiewa, ale... Ben...?
- Tak?
- Musiałam powiedzieć jej, jaki ma kolor. Nie znała nazw kolorów! Żółci i czerwieni, zupełnie jakby były dla niej czymś nowym. A przecież jest taka mądra! Nie znam mądrzejszej. Wymyśla zabawy dla dziewczynek, pomaga mi z ziołami, ale... ale...
- Nigdy nie znałem kogoś, kto nie potrafił nazwać barw. Nawet słabujący na umyśle siostrzeniec Ailish, który wciąż zachowuje się jak chłopczyk, choć skończył już trzydzieści lat! Nawet on głośno domaga się niebieskiej koszuli zamiast zielonej – odparł Stary Benedikt.
- Nie Wodna Klara. Może pragnąć niebieskiej, ale nie zna jej nazwy. Teraz się uczy. Ale pod tym względem jest jak dziecko.
- Czyli po tylu bezdzietnych latach masz pod opieką małe dzieciątko – zażartował. Poklepał ją po biodrze przez grubą spódnicę, a ona odepchnęła jego dłoń.
- Zostaw mnie, stary głupcze – rzuciła ciepło.



Opowiedz mi o ślubach – poprosiła Klara, gdy wraz z Alys niosły upieczony przez siebie placek orzechowy na stół, gdzie czekały już odświętne desery i słodycze. – Czy wszyscy je mają? Ty też?

Alys roześmiała się.

– Ja nie – odparła. – Ale większość owszem, kiedy osiąga stosowny wiek, jak Martyn i Glenys. Gdy dwie osoby wybiorą się nawzajem i rodzice powiedzą: „Tak”, urządzamy uroczystość zaślubin. Zawsze latem, zwykle podczas nowiu.

– Latem. – Klara już wcześniej nauczyła się od Alys, że lato to pora roku, czas słońca, zbiorów i narodzin młodych zwierząt. Oto kolejna rzecz, której do tej pory nie wiedziała.

Zaczekała, aż Alys poprzestawia część półmisków, by zrobić miejsce. Potem postawiła placek i wspólnie ozdobiły jego brzeg żółtymi nagietkami.

Mieszkańcy wioski już się zbierali. Nikt, nawet rybacy, dziś nie pracował. Dzieci siedziały na ramionach ojców; Klara dostrzegła Wysokiego Andrasa z rodzicami: cała trójka, starannie wyszorowana, miała na sobie najlepsze ubrania. Widziała, że jego matka nie czuje się dobrze: wspierała się na synu, zarumieniona od gorączki, choć z uśmiechem witała innych.

Bryn pomachała do Klary. Trzymała za rękę Bethan. Trzy dziewczynki rozdzieliły się, każda stała z rodziną. Klara widziała, że pod obrębionym koronką fartuchem ciało Bryn pogrubiało w oczekiwaniu dziecka. Alys uznała, że niebezpieczny okres już minął i że to dziecko przeżyje.

– Och! Co to takiego? – spytała Klara, zaskoczona nagłym dźwiękiem.

Ścieżką zbliżyło się kilku młodych mężczyzn z wioski. Tłum rozdzielił się, aby ich przepuścić. Jeden z nich dmuchał w rzeźbiony flet, drugi wybijał rytm na niewielkim bębnie ze zwierzęcej skóry rozpiętej na wydrążonej tykwie, trzeci trzącał struny naciągnięte na drewniany instrument o długiej szyjce. Stąpając w rytm melodii, wkroczyli w krąg, który rozstał się, aby ich wpuścić. Klara przyglądała im się z boku, gdzie przystanęły z Alys.

– To takie piękne! Posłuchaj! Te ich dźwięki łączą się ze sobą! Nigdy wcześniej nie słyszałam czegoś podobnego.

Alys zmarszczyła brwi.

– To muzyka, dziecko. Nigdy nie słyszałaś muzyki? A może zapomniałaś o niej?

– Nie, nigdy – wyszeptała Klara. – Jestem zupełnie pewna.



Ceremonię zaślubin zakończył pocałunek Martyna i Glenys. Czerwona wstążka, którą ich obwiązano, rozwinęła się i uwolniła młodą parę. Muzykanci znów zagrali, tym razem głośniejszą, żywszą melodię, a wieśniacy wiwatowali, zmierzając na czekającą ucztę.

Klara stała w milczeniu, zachwycona muzyką, zdumiona samą ideą miłości i poruszona zarówno uroczystym charakterem, jak i radością ceremonii. Kiedy odwróciła się, by poszukać Alys w hałaśliwym, roześmianym tłumie, nagle zauważyła Kulawego Einara stojącego samotnie na niewielkim wzniesieniu na skraju łąki. Gdy tak patrzyła, poprawił dwa kije, na których się wspierał, zawrócił i powoli pokuśtykał w dal. Przez chwilę miała ochotę pobiec za nim, zaprosić go, zachęcić, by dołączył do reszty. Lecz jej uwagę znów przyciągnęła muzyka. Nigdy wcześniej nie słyszała czegoś równie fascynującego, była tego pewna! A teraz wieśniacy wybierali partnerów, tworząc szeregi i poruszając się w takt pogodnej melodii. Z pewnością Einar chętnie by popatrzył, choć sam nie mógł już powtórzyć szybkich skoków i kroków, które najwyraźniej znali na pamięć. Mogliby popatrzeć razem. Ale kiedy poszukała go wzrokiem, zrozumiała, że się spóźniła. Zniknął już wśród drzew.



Wróciwszy do codziennych obowiązków po podniecającej ceremonii zaślubin, Wysoki Andras klęczał w polu, starannie związując razem grube patyki tworzące ciało mommeta. Potem, gdy wybrał już miejsce pośrodku młodego kielkującego zboża, wbił główną tyczkę w ziemię i mocno udeptał grunt dookoła podstawy, by stała prosto. Ubrał stracha, ostrożnie nasuwając szerokie rękawy postrzępionego płaszcz na dwie gałęzie rąk. Potem przewiązał w pasie szarfą, żeby płaszcz nie spadł, ale dość luźno, by wiatr mógł unosić materiał i nim falować. Cofnął się, z satysfakcją patrząc, jak mommet się porusza. Końce gałęzi sterczące z rękawów wyglądały jak przyzywające dłonie szkieletu.

Klara, zmierzająca do strumienia, patrzyła na to z uśmiechem. Rozumiała, co robi Andras, choć nigdy wcześniej nie widziała stracha na ptaki. Przystanęła zainteresowana, po czym zawołała: – Masz może wstążkę?! Gdybyś dodał długą wstążkę, fruwałaby na wietrze.

Pokręcił głową.

– Jeśli chcesz, przyniosę ci – zaproponowała, podchodząc bliżej.

Cofnął się, patrząc na swoje dzieło.

– Wstążka by się przydała – przyznał. – Dookoła szyi.

Klara roześmiała się.

– Szyi? – powtórzyła. Z połatanego płaszcz sterczała tylko krzywa gałąź.

Andras także wybuchnął śmiechem.

– Teraz zrobię głowę – oświadczył i pokazał jej czekającą na ziemi okrągłą tykwę. Ukląkł obok i wyciął nożem dziurę na jednym końcu, wydlubał kilka cali lepkiego mięszu, a potem nadział tykwę na szyję, tak by tkwiła mocno. Klara przekonała się, że faktycznie wygląda jak głowa, i z daleka cały mommet przypominał przerażającego,

łopoczącego stwora. Wrony z pewnością będą go unikać i zbiory ocaleją.

Andras zdjął żółtą tykwę z szyi i znów położył na ziemi.

– Potrzebna mu twarz – oświadczył.

Klara usiadła na miękkiej ziemi, patrząc, jak Andras zaczyna rzeźbić. Najpierw wydłubał dwa kółka blisko siebie, pośrodku, potem zaczął skrobać skórę między nimi i poniżej, tworząc zarys nosa.

Klara, wiedzona nagłym impulsem, wyrwała z ziemi kilka garści trawy i podała mu.

– Włosy – rzuciła.

Zaśmiał się i owinał nimi tykwę. Zsunęły się, a Andras rozejrzał się szybko.

– Zaczekaj – polecił. – Mogę sprawić, że zostaną na miejscu.

Zostawił ją z tykwą na ziemi i pobiegł na skraj lasu. Patrzyła, jak zmierza w stronę wybranej sosny i odrywa kawałek giętkiej gałęzi.

– O tak – wymamrotał. – Ta będzie dobra.

Przyniósł ją w miejsce, w którym czekała dziewczyna, i pokazał jej wydzielinę z oderwanego końca, połyskującą korę. Przysunął Klarze do nosa, by wciągnęła drzewną sosnową woń.

– Alys robi poduszkę wypchaną szpilkami – poinformowała go.

Pokiwał głową, smarując tykwę żywicą wypływającą z gałęzi.

– Owszem, pomaga spokojnie spać – rzekł. – Teraz popatrz. – Zebrał wyrwaną trawę i oblepił nią głowę, pozostawiając kępki przytwierdzone do kleistej żywicy. Oboje roześmiali się na ten widok.

– Niezły mommet – rzucił z dumą Andras.

– Potrzebuje jeszcze ust – przypomniała Klara.

Wyobraziła sobie uśmiech niesamowitego stwora.

– Owszem, potrzebuje.

Pochylił się, rzeźbiąc pracowicie. Obserwowała go; od czasu do czasu cofał się, sprawdzał efekt swych wysiłków, a potem znów się schylał, by poprawić kształt, złagodzić krzywiznę. Widziała, jak przygląda krawędzie ust palcem. Strzepnął z tykwy kilka strzępów mięszu.

– Mogę zobaczyć? – poprosiła.

– Zaczekaj. – Przesunął ostrzem po nietkniętej żółtej skórcie nad wydłubanymi oczami i zobaczyła, jak kreśli na szerokim czole trzy głębokie, falujące linie. Przyjrzał im się i zaśmiał radośnie. – Proszę! – rzekł. Wstał, trzymając tykwę, i umieścił ją ostrożnie na drewnianej szyi, nabijając głęboko. – No już – powiedział z dumą i odwrócił się z uśmiechem, aby sprawdzić jej reakcję.

Klara spojrzała – z góry patrzyła na nią groteskowa twarz. Szerokie cięcia sprawiły, że czoło marszczyło się, nadając obliczu pytający wyraz. Znad krzywego nosa zerkały zmrużone oczy, usta wyginały się w umęczonym, szyderyczym uśmiechu. Nagle wstrzymała oddech, poczuła, jak wali jej serce. Andras wciąż się śmiał. Odwróciła się do niego przerażona, nie wiedząc dlaczego, a on pogodnie wykrzywił własną twarz, naśladując mommeta. Wepchnął język w policzek i marszcząc czoło, wydał z siebie gulgoczący dźwięk.

Przekrzywiona twarz i towarzyszący jej śmiech sprawiły, że coś przebiło się z pamięci Klary, zalewając ją niczym załamująca się fala. Kiedyś sama robiła taką minę i uważała, że jest śmieszna. Ktoś odpowiadał tym samym. Ale dlaczego? Kto? Dźwignęła

się z miejsca, w którym jeszcze chwilę temu tak wesoło siedziała w trawie. Nagle poczuła mdłości i rozplakała się.

– Przepraszam – wykrztusiła. – Przepraszam, przepraszam...

A potem zawróciła i odbiegła zapłakana w dół wzgórza. Tymczasem Wysoki Andras stał obok żalostnej, poszarpanej figury z patyków o rozdętej głowie i odprowadzał ją nic niepojmującym wzrokiem. Wysoko nad nim dwie wrony, kracząc donośnie, krążyły po niebie.



Alys była zajęta porządkowaniem i rozdzielaniem suszonych roślin, gdy Klara wpadła do domku z twarzą mokrą od łez i rzuciła się na łóżko. Widać było wyraźnie, że nie chodzi tu o niedoszły romans ani kłótnię z przyjaciółką, zwykle powody płaczu u młodych dziewcząt. Tu w grę wchodziła bolesna, głęboka rana. Stara kobieta zalała wrzącą wodą z kociołka kilka szczypt rumianku i błękitnej werbeny, a potem wsunęła kubek z ziołowym naparem w dłoń Klary. Przyglądała się z troską, jak dziewczyna siada skulona i drżąca w słabym świetle chaty.

– A zatem coś powróciło – rzekła Alys. – Coś okrutnego.

Klara pokiwała głową, kilka razy odetchnęła rozdygotana i pociągnęła łyk kojącego napoju.

– Ulży ci, jeśli to opowiesz – zaproponowała Alys.

Klara uniosła wzrok i spojrzała na nią.

– Nie mogę – odparła. – Było tak blisko! Tak blisko, tuż, tuż! I wciąż to czuję, ale nie potrafię uchwycić.

– Co to spowodowało? Gdzieżeś była, gdy znalazło się tak blisko?

– Na wzgórzu z Andrasem. Pomagałam mu zbudować figurę z patyków, żeby wypłoszyć wrony.

– Mommata.

– Tak, tak ją nazywał.

– Wysoki Andras to dobry chłopak. Z pewnością niczego ci nie zrobił.

Klara zawahała się.

– Nie sędzę, nie pamiętam dokładnie, śmialiśmy się, a potem... Wszystko się zmieniło. Nie umiem wyjaśnić dlaczego.

– Coś to spowodowało. Chcesz, żebym spytała Andrasa?

Klara zacisnęła palce wokół kubka i wciągnęła w nos wzlatującą z niego parę.

– Nie wiem – wyszeptała po chwili. – Tak mi smutno.

Alys, obserwując ją, wiedziała, że zioła w kubku złagodzą panikę, która ogarnęła Klarę, że wkrótce uspokoi się i zapewne zaśnie. Ale to jej nie uleczy. Trudno będzie uzdrowić dziewczynę tak potwornie zranioną.



Dobra pogoda trwała dalej. Słońce zamieniało wierzchołki fal w roziskrzzone klejnoty, rybacy co dzień napełniali sieci lśniącymi rybami. Na polu Wysokiego Andrasa mommet łopotał luźnymi rękawami, a spłoszone wrony, nawołując się ostro, przeniosły się na inne pola, w inne zboże. Głowa z tykwy zaczęła gnić w słońcu i zapadać się w sobie, oślizła i fioletowa jak siniec. Śmiały kos śmignął w dół i chwycił w dziób kilka źdźbeł zbrązowiałej trawy, będącej jej włosami. Pewnego dnia spadła na bok, na pole. Kiedy Klara mijala ją, zmierzając po zioła, zobaczyła jedynie strzaskane szczątki. Wspomnienie, które przywołała, już jej nie towarzyszyło.

Matka Andrasa, Eilwen, osłabła i nie opuszczała już łóżka. Alys pielęgnowała ją tam, podtrzymywała głowę, by kobieta mogła sączyć ciepły płyn z posiekanych korzeni dzikich słoneczników obgotowanych w źródlanej wodzie. Lekarstwo łagodziło kaszel, ale tylko przynosiło ulgę, nie leczyło.

– Nie przeżyje – poinformowała Klarę Alys.

Klara w czasie pobytu w wiosce poznała już śmierć, wcześniej bowiem pogrzebali starego rybaka i pomagała Alys obmyć i owinąć wynędzniałe ciało, nim synowie złożyli je w samodzielnie zbitej skrzyni. Śmierć rybaka przyszła nagle, we śnie. Teraz dzień za dniem Klara patrzyła, jak Eilwen odpływa w głąb umysłu, budzi się coraz rzadziej i jakby się kurczy. W końcu pewnego wczesnego wieczoru, w obecności Andrasa i jego ojca, jej oddech zwolnił i ustał.

Ojciec i syn dotknęli delikatnie na pożegnanie czoła kobiety i odeszli.

Alys wykręciła kawałki tkaniny wyciągnięte z bali z wodą, podała jeden Klarze i razem zaczęły obmywać wychudzone ciało. Obok czekały już czyste zawoje.

– W dniu, kiedy przynieśli cię z morza – oznajmiła staruszka – też cię tak umyłam.

– Myślałaś, że umrę?

Alys pokręciła głową.

– Widziałam, że jesteś silna. Nawet ze mną walczyłaś. – Zaśmiała się cicho, osuszając rękę Eilwen i kładąc ją ostrożnie na łóżku.

– Nie pamiętam.

– Nie byłaś wtedy sobą. To twoje senne ja ze mną walczyło. Proszę. – Wręczyła Klarze suchą szmatkę; wspólnie wytarły i ułożyły martwą kobietę, na koniec krzyżując jej ręce na zapadniętej piersi. Alys rozczesała rzadkie włosy, po czym starannie ją owinęły. Słyszały, jak mężczyźni poruszali się na zewnątrz, szykując skrzynię.

– Będą potrzebowali tu kobiety – zauważyła Alys, rozglądając się po prostej chacie. Naczynia kuchenne leżały niepomyte, a zarzucony na krzesło koc pokrywały plamy i stanowczo domagał się cerowania.

– Tak – zgodziła się Klara. – Mężczyźni kiepsko sobie radzą z doglądaniem domów, prawda?

– Wysoki Andras osiągnął wiek małżeństwa – podkreśliła Alys.

Klara wzruszyła ramionami.

– Czyli powinien się ożenić.

– To ciebie pragnie.

Klara wiedziała, że to prawda. Zarumieniła się.

– Nie mam ochoty na zamęcie – wymamrotała.

Alys jej nie usłyszała albo może udawała, że nie słyszy.

– Będzie chciał mieć synów.

– Jak chyba wszyscy mężczyźni.

Klara zauważyła to w wiosce. Synowie kontynuowali pracę ojców: przejmowali łodzie i pola, gdy ich ojcowie się starzeli.

Alys zajęła się związywaniem sznurków podtrzymujących zawoje wokół szczątków Eilwen. Klara pomagała jej w milczeniu. Myślała, jak dumna musiała być kiedyś Eilwen, gdy urodziła silnego chłopca, takiego jak Andras.

Usiadły obie. Skończyły już pracę, za chwilę wezwą mężczyzn, ojca i syna, by unieśli kobietę i złożyli w trumnie. Rankiem mieszkańcy wsi zbiorą się, by powierzyć ją ziemi.

– Tamtego dnia, kiedy się tobą zajmowałam – powiedziała Alys – widziałam twoją ranę.

– Ranę?

– Twój brzuch.

Klara w ochronnym geście położyła na nim dłoń. Wbiła wzrok w ziemię.

– Ja nie... – zaczęła i zająknęła się.

– To paskudna rana. Ktoś ją opatrzył i zszył. Zostały ślady.

– Wiem – wyszeptała Klara.

– Pewnego dnia powróci do twego umysłu, jak wszystko inne.

– Może.

– Ale lękam się, że nie będziesz już mogła urodzić dziecka. Myślę, że ci to odebrano.

Klara milczała.

Alys pochyliła się i podkręciła jaśniej płomień lampy olejnej. Na zewnątrz gęstniał mrok.

– Istnieją inne sposoby pozwalające kobiecie odnaleźć swą wartość – oznajmiła stanowczym tonem.

– Tak.

– Chodź. Teraz przyprowadzimy do niej mężczyzn.

Wstały i wyszły na dwór, gdzie pod wieczornym niebem Wysoki Andras z ojcem czekali zrezygnowani w lekkim deszczu.



W myślach Klara sporządziła spis wszystkiego, co było dla niej nowe.

Oczywiście kolory. Cieszyła się, że już je zna: czerwień jagód ostrokrzewu i wstążki zaślubin – zachwycała się jej soczystością i mocą i ją podziwiała. Zaczęła też odczuwać głęboką radość, gdy niebo było niebieskie, jak w owe późne letnie dni. Czasami morze

także uspokajało się i przybierało błękitną barwę, zwykle jednak pozostawało wzburzone, ciemnoszarzielone, z grzebieniami bieli rozbryzgującymi się w powietrzu. Klara lubiła też ów mrok, nieustanny ruch i tajemnice, choć obwiniła morze o to, że w swych głębinach ukrywa jej przeszłość.

Żółty lubiła ze względu na jego pogodę. Żółtoskrzydły, jej ptaszek, lądował teraz na palcu dziewczyny, gdy wetknęła go między gałązki tworzące klatkę. Wskakiwał na niego i przekrzywiając łepkę, przyglądał jej się pytająco. Zastanawiała się, czemu w ogóle kiedyś bała się ptaków.

One także uzupełniały listę nowo odkrytych rzeczy: ptaki i najróżniejsze zwierzęta. Wciąż niespokojnie okrążała szerokim łukiem krowę, gdy ją mijała, ale polubiła owce Kulawego Einara, zwłaszcza te małe, bawiące się w wysokiej trawie. Kiedy beczwały z podniecenia, ukazywały małe różowe języczki.

Einar opowiedział jej o wilkach, ale nigdy żadnego nie widziała i nie miała najmniejszej ochoty.

Cieszyły ją motyle i upominała dziewczynki, kiedy je łapały.

– Teraz go zniszczyłaś – mówiła, patrząc ze smutkiem na uszkodzone nakrapiane skrzydełka w wyciągniętej dłoni Bethan. – Zasłużył na to, by żyć i fruwać.

Razem pogrzebały martwe stworzenie, ale później widziała, jak dziecko goni następne.

Bała się żuków i większości robaków.

– Jesteś jak małe dziecko – powiedziała ze śmiechem Alys, gdy Klara cofnęła się nerwowo przed tłustym chrząszczem na krzaczku szaławii, z którego zbierały liście. Napar z nich łagodził ból gardła, który czasami doskwierał rybakom po długich dniach w łodziach.

– Po prostu nigdy wcześniej ich nie widziałam – wyjaśniła Klara, jak to często mawiała o wielu różnych rzeczach.

Jej lista obejmowała też błyskawice, które ją zdumiały, grzmot, który ją przeraził, i żaby, na których widok wybuchnęła głośnym śmiechem. Tęcza widoczna pewnego dnia sprawiła, że omal nie zemdląca ze zdumienia i zachwytu.



Pod koniec lata Klara wzięła udział w żniwach i późniejszym święcie. Plony zebrano i złożono w magazynach, na polach ptaki dziobały resztki słomy. Jabłka wciąż dojrzewały, lecz wczesne zerwano już i przepuszczano przez prasę, robiąc cydr.

Widziała na własne oczy, że dni są teraz krótsze. Latem dzieci bawiły się na bosaka do wieczora, uganając się wśród coraz dłuższych cieni. Mężczyźni łowili, póki nie zapłonęły gwiazdy, a gdy wyciągali połów na brzeg, niebo nadal nie ciemniało. Teraz jednak powietrze późnym popołudniem stawało się rześkie, słońce spadało prędko za krawędź horyzontu, barwiąc ją szkarłatem, a potem połknięte przez morze znikowało. Wówczas zaczynał wiać wiatr, zrywając wirami z drzew brązowe liście i porywając dym z kominów domków, ślad rozpalonych ogni. Dym niósł woń zup i gulaszy, posiłków w sam raz na mroźne wieczory. Kobiety pruły swetry, z których wyrosły już dzieci. Zwijały włóczkę i zaczynały robotę od nowa, tworząc nowe wzory, kolorowe pasy w większym rozmiarze. Niczego nie marnowano. Chłopcy rzeźbili z kości guziki.

Wysoki Andras podarował Klarze ozdobiony frędzlami szal, należący wcześniej do jego matki. Za dnia wciąż jeszcze zwykle świeciło ciepłe słońce, ale wieczorami opatulą się miękkim szalem. Kulawy Einar, widząc, jak próbuje związać razem jego końce, zrobił jej zapinkę z wierzbowych witek, które namoczył, by zmiękły, a potem skręcił razem w ozdobny wzór. Ostrożnie zamocował obie części do zielonego szala i pokazał, jak zsuwać je razem, tak by przytrzymywały gruby materiał.

Pewnego wczesnego ranka zauważyła, że widzi własny oddech w mroźnym, czystym powietrzu.

– Jak mgła – rzekła do Alys.

– Para – odparła kobieta.

Zmierzały właśnie do domku pod lasem, w którym mieszkała Bryn z mężem rybakim i córeczką. Bethan wpadła do nich tuż przed świtem, dygocząca z zimna, bo zapomniała swetra, i zdyszana z podniecenia.

– Mamie zaczęły się bóle! Tato mówi, żebyście przyszły, bo nie chce mieć z tym nic wspólnego.

– Biegnij do domu, dziecko, i powiedz, że wkrótce się zjawimy – odparła spokojnym tonem Alys, wstając z miejsca, rozgarniając ogień i sięgając po ubranie.

– Ty też przyjdiesz, prawda, Wodna Klaro? – błagała Bethan.

Klara podniosła się i ziewnęła.

– Przyjdę. Idź, powiedz tacie, że okropne z niego dziecko.

Klara знаła ojca Bethan, człeka czulego i łagodnego, ale mężczyźni kiepsko sobie radzili z kobiecymi sprawami.

Dziewczynka zachichotała. Klara spuściła bose stopy na podłogę i skrzywiła się, czując zimno. Sięgnęła po wełniane skarpety, zrobione przez Alys.

– No idź już! Uciekaj! – rzuciła i Bethan, zaśmiewając się, wypadła z chaty i popędziła dróżką.

Żółtoskrzydły, którego klatkę pod koniec lata przyniosła pod dach, poruszył się na drażku i zaczął wiać. Alys zwinęła ciasno liść i wsunęła między pręty, by mógł go podziobać. Klara skończyła się ubierać. Zapięła skórzane sandały na ciepłych skarpetach i patrzyła, jak stara kobieta zbiera różne rzeczy z półek w kącie. Nagle zadrżała.

– Po co ci nóż?

Alys ostrożnie położyła nóż obok zakorkowanych pojemników z ziołowymi naparami. Wszystko owinęła w miękką skórę i umieściła zawiniątko w torbie. Dołożyła do tego spory stosik czystych, poskładanych szmatek i zaciągnęła ciasno sznurki torby.

– Niektórzy mówią, że kiedy położy się nóż pod łóżkiem, to złagodzi ból.

– To prawda?

Alys wzruszyła ramionami.

– Pewnie nie. Ale jeśli człowiek w to wierzy, to jego myśli osłabiają ból. – Owinęła się ciasniej obszernym, zrobionym na drutach szalem i zarzuciła sobie torbę na ramię. – I potrzebuję też noża do pępownicy.

Klara również opatulila się szalem i spięła go wierzbową zapinką.

– Zabierz lampę – poleciła Alys.

Razem pospieszyły ścieżką. Klara unosiła wysoko lampę, toteż szło im się łatwiej. Ale też samo niebo zaczynało jaśnieć. Księżyc wyglądał jak wąski odłamek srebra na tle przejrzystej szarości przedświt. Dziecko Bryn urodzi się za dnia.

Po przybyciu przekonały się, że podniecona Bethan odwiedziła w mroku kilka domów i pobudziła przyjaciółki. Teraz wszystkie trzy dziewczynki, wciąż odziane w nocne stroje, chichotały nerwowo w pokoiku, w którym Bryn jęczała i przewracała się na łóżku. Alys stanowczo wypędziła je za drzwi.

– Nie wracajcie, póki słońce nie wzejdzie wysoko, a wtedy przyjdźcie z naręczem kwiatów z łąki, by powitać dzieciątko. Znajdą tam zasuszone astry – dodała do Klary – i późną nawłóć. I nie będą się nam kręcić pod nogami.

Nigdzie nie widziały ojca rodzącego się dziecka. Alys wyjaśniła Klarze, że poród przeraża mężczyzn.

Klara jednak obserwowała, jak Kulawy Einar pomaga owcom kocić się wczesną wiosną. Postępował z nimi pewnie i łagodnie zarazem, i w ogóle się nie bał. Einarowi nie przeszkadzało, że stała i patrzyła, gdy natknęła się na tę scenę. Wówczas po raz pierwszy widziała jego uśmiech, gdy rozprostował mokre nogi jagnięcego noworodka i postawił go na nich chwiejnie, by mógł trącić matkę, domagając się mleka.

– Tak naprawdę mnie nie potrzebują – rzekł szorstko. – Mogą to robić same, chyba że zdarzą się problemy.

– Ale to miłe, że im pomagasz – odparła Klara.

Einar wzruszył ramionami, poklepał zad przyssanego do matki jagnięcia, potem karmiącej owcy i sięgnął po swoje kije, by odejść. Kiedy odwrócił się od niej, Klara przyglądała mu się jeszcze chwilę, potem także odeszła.

To jednak działo się wiele miesięcy wcześniej; wiosenne jagnięta ładnie już wyrosły,

bawiły się wesoło i pokryły gęstą wełną. Einar nie traktował już Klary z takim oneśmieleniem. Kiedyś zaskoczył ją, wydając nagle ostry, gładki dźwięk, a potem serię cichszych cmoknięć. Zerknęła na niego zaskoczona.

– Pytałaś, czy umiem naśladować inne ptaki. To bażant – wyjaśnił. Potem uniósł wzrok na coś bardzo dużego, szybującego nad morzem i wydał z siebie przeciągły, ochryply okrzyk. – Mewa siodłata.

Teraz pozwalał jej sobie pomóc, gdy wieczorem spędzał owce. Liczyli je razem; powiedział, że nigdy żadnej nie stracił, nie dopuścił, by porwały je wilki, i bardzo się tym szczylił. Uwielbiał młode jagnięta.

– Umyj nóż – poleciła Alys i Klara powróciła myślami do domku, w którym Bryn sapała i zbierała siły, gdy dziecko wyłaniało się z niej powoli. Klara stwierdziła, że to dziewczynka; obracając się, usłyszała jej płacz i szybko zanurzyła nóż w bulgoczącej na ogniu wodzie. Gdy wycierała go ostrożnie suchą szmatką, klinga była gorąca.

– Nie nacinaj Bryn! – poprosiła nagle.

Alys zmarszczyła brwi.

– Nie ma potrzeby naciąć matki – odparła szorstko.

Obwiązała sznurek wokół pulsującej pępownicy. Dziecko pomachało w powietrzu piąstką i rozplakało się.

– Wschodzi słońce – rzekła Alys do Bryn. – I masz tu zdrową dziewczynkę. – Odczekała chwilę, po czym sięgnęła po nóż, który trzymała Klara, chwyciła go i jednym szybkim cięciem oddzieliła noworodka od matki.

Bryn przyglądała się ze znużeniem, uśmiechnięta. Nagle Klara bez namysłu wystąpiła naprzód, ku dziecku, które Alys owijała w tkaninę.

– Nie odbieraj jej go! – zawołała.

Alys zmarszczyła czoło.

– Czego mam nie odbierać? Co cię dręczy, dziewczyno?

– Daj Bryn jej dziecko!

Starsza kobieta sprawiała wrażenie zaskoczonej. Pochyliła się naprzód i ułożyła opatulone niemowlę w objęciach Bryn.

– A jak myślisz, co chciałam zrobić, dziecko? Rzucić je wilkom? Oczywiście, że trafi do mamy. Popatrz tutaj, malutka kruszynka, ale już wie, co robić.

Jak jagnię zmierzające chwiejnie ku matce dziecko Bryn obróciło główkę przytuloną do ciepłej skóry i otworzyło usta, szukając piersi. Klara wpatrywała się w nie. Nagle zaczęła szlochać i na oślep wypadła z domku w poranek. Za jej plecami Alys, zdumiona i zatroskana, zaczęła chować narzędzia do torby. Nowa matka drzemała, podczas gdy jej córeczka tuliła się i ssała. Na dworze w dali dziewczynki krążyły po stopniowo jaśniejącej łące z rękami pełnymi kwiatów. Lecz dla Klary stojącej na ścieżce, zapłakanej, wschód słońca, może nawet wszystkie wschody zostały zniszczone przez wspomnienia i stratę.



Powoli, zająkując się i zawieszając głos, Klara z płaczem opowiedziała Alys historię, którą sobie przypomniła. Stara kobieta ze zdumieniem poprosiła, by pokazała jej bliznę. Jej powykręcane dłonie dotknęły różowej wypukłości, potem podążyła wzdłuż niej jednym palcem.

– O tak – rzekła – to właśnie zobaczyłam w dniu, kiedy się zjawiałś, i wiedziałam, że odniosłaś okropną ranę. Ale aż do tej pory nie dostrzegłam, że jest wielkości pozwalającej usunąć dziecko. Wyobraź sobie tylko: tak rozciąć kobietę! Albo dziewczynę! Byłaś tylko dziewczynką! Musiało cię strasznie boleć. Ból mógł cię zabić!

– Nie – wyjaśniła Klara. – Kiedy cięli, niczego nie czułam. Wcześniej owszem, bolało, tak jak Bryn, kiedy wyciskała z siebie dziecko. Ale gdy cięli, czułam tylko nacisk. Napór noża. Żadnego bólu.

Alys z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Jak to możliwe?

– Mieli specjalne leki. Lekarstwa. Likwidowały ból.

– Biała wierzba przynosi ulgę – wymamrotała Alys. – Ale nie podczas cięcia! Nie mamy takich ziół.

– Niczego nie czułam.

– A co z krwią? – Alys ponownie dotknęła blizny, jej palec o stawie zgrubiałym i wykrzywionym ze starości przesunął się wzdłuż rany. – Widywałam podobne obrażenia u rybaka, którego pochwycił i rozdarł hak, myśliwego poszarpanego przez zwierzę. Wzywano mnie, bym się nimi zajęła. Ale nie potrafię nic zdziałać, jedynie złagodzić cierpienie. Krew wypływa i umierają od tego, z bólu i krwotoku. Krzyczą w cierpieniu, a potem słabną w miarę utraty krwi. Najpierw umierają ich oczy. – Stara kobieta zdawała się spoglądać w dal, gdy powracała myślami do straszliwych przypadków, które oglądała i nie mogła uzdrowić.

Klara zerknęła na własną bliznę.

– Nie widziałam. Miałam zasłoniętą twarz. – Zadrzała lekko, gdy powróciło wspomnienie maski. – Ale czułam, jak cięli, i masz rację: oczywiście musiałam krwawić. Chyba mieli narzędzia, którymi to powstrzymywali. Pamiętam taki dźwięk... – Zastanowiła się chwilę, a potem spróbowała go odtworzyć: – Zzzzt! I czułam swąd spalenizny, chyba... – Alys zdumiona czekała, co powie. Klara westchnęła. – Mieli coś, czego nie mamy tutaj. Elektryczność. Trudno to wyjaśnić. I chyba elektrycznym narzędziem przypalali i zamykali naczynia krwionośne. Zzzzt. Zzzzt.

Alys pokiwała głową, jakby to miało sens.

– Czasami przypiekam ranę albo ukąszenie węża. Używam płonącego patyka. Żeby

zabić jad. Ale nie wstrzymać krwawienie, nie przy dużej ranie jak ta.

Klara naciągnęła ubranie na bliznę, zasłaniając ją, i obie długą chwilę siedziały razem w milczeniu: jedna z nowymi niepokojącymi wspomnieniami, druga zastanawiająca się, co spotkało dziewczynę i dlaczego.

– Muszę go znaleźć – wyszeptała w końcu Klara.

– Owszem. Musisz.

– Jak?

Alys milczała.



Opowiedziała Bryn. Pewnego popołudnia, patrząc, jak kobieta tuli i pielęgnuje dziecko, Klara zwierzyła jej się i opisała powrót własnych wspomnień. Bryn słuchała wstrząśnięta i zasmucona, mocniej przytuliła córeczkę, gdy Klara odpowiadała na pełne zgrozy pytania. Żadna z nich nie miała pojęcia, że tuż przy domku, obok lekko uchylonych drzwi wpuszczających świeże jesienne powietrze, siedzą trzy dziewczynki i słuchają zafascynowane.

Potem odbiegły, by powtórzyć innym.

– Okropny sekret – nazwała to Bethan, rozkoszując się uwagą, z jaką ludzie słuchali ubarwionej historii. – Wodna Klara miała dziecko! Owszem, mimo że jest taka młoda! Nie, męża nie. I odebrali jej dziecko, ukradli je i nigdy go już nie widziała!

Szeptany sekret krążył po całej społeczności. Starsze kobiety współczująco spuszczały wzrok – wiele z nich utraciło dzieci w okrutny sposób i wiedziały, jak mocny i długotrwały żal towarzyszy podobnej stracie. Młodsze, zazdrosne o śliczną przybyszkę, wyniośle unosiły głowy. Nie miała męża! Rozpustnica! Podejrzewaliśmy coś takiego! To dlatego wyrzucili ją stamtąd, gdzie mieszkała!

Glenys, która chętnie przyjęła pomoc Klary podczas ceremonii zaślubin wczesnym latem, teraz zadowolona z siebie przyglądała spódnicę okrywającą nowo zaokrąglony brzuch.

– Kiedy nadejdzie mój czas, wezwę Alys, żeby pomogła mi w porodzie – oznajmiła, odrzucając włosy. – Ale jej nie chcę.



Wysoki Andras odwrócił się na jej widok ze stężałą, surową twarzą.

– Czy coś się stało? – spytała Klara, zaskoczona chłodnym przyjęciem. Zawsze dotąd traktował ją bardzo przyjaźnie.

– To prawda, co mówią?

– Kto? I co takiego mówią?

– Wszyscy. Że miałaś dziecko. Bez męża.

Klara zapatrzyła się w niego. Jej samej świadomość ta wciąż wydawała się tak nowa, że niemal sekretna. Nie zdążyła jeszcze wszystkiego przemyśleć, część wciąż pozostała fragmentaryczna, choć opisał go Alys, pamiętała już chwilę porodu wyraźnie i ze zgrozą. Ale dziecko? Jak dotąd nie czuła jeszcze dziecka. Tylko coś małego, nowo narodzonego.

– Tam, gdzie mieszkałam, było inaczej. Nie mieliśmy ślubów. I owszem, urodziłam. –

Odkryła, że mówi z napięciem, szorstko. Czowała gniew. – Ty nie rozumiesz. Wybrano mnie do rodzenia. To był zaszczyt. Nazywano mnie rodzicielką.

Zadarł wysoko brodę, patrząc na nią z wyraźną pogardą.

– Teraz mieszkasz tutaj. I jesteś splamiona.

– Splamiona? O czym ty mówisz?

– Kobiety, które spółkują w polu, jak zwierzęta. Noszą na sobie plamy. Potem nikt ich nie chce.

Ach. Teraz zrozumiała jego słowa. Oglądała spółkowanie owiec. Einar musiał jej wyjaśnić, jak powstają jagnięta. Śmiał się zadziwiony, że nie miała pojęcia o całym procesie.

– To nie ma nic wspólnego ze mną – oznajmiła Andrasowi wyzywającym tonem.

– Ani ze mną – odparł zimno.

Odwrócił się do niej plecami i zajął układaniem drewna. Klara patrzyła przez moment, po czym ruszyła dalej, lecz spotkanie rzuciło cień na cały poranek. Później, poruszona, opowiedziała o nim Alys podczas obiadu.

– Tak już tu jest – wyjaśniła staruszka. – Może to głupota, ale zawsze tak było. Dziewczęta muszą stawać do zaślubin nietknięte albo takie udawać, inaczej...

– Inaczej nikt ich nie zechce?

Alys wzruszyła ramionami i zachichotała.

– Ludzie uczą się przymykać oczy. Wygląda to dla mnie, jakby Andras miał nadzieję cię dostać. Z czasem, jeśli nie będziesz mu przypominać, przymknie oko.

– Hmm. – Klara wstała, podsunęła kawałek szpinaku Żółtoskrzydłemu, radośnie podskakującemu na żerdzi, a potem zeskrobała resztki z talerzy do kubła. – Nie obchodzi mnie Andras. I nigdy nie chcę wyjść za męża. Ty nie wyszłaś – przypomniała.

Alys uśmiechnęła się szeroko.

– Byłam kapryśnicą – rzekła.

– Kapryśnicą?

– Niektórzy mówią, że szalona. – Teraz Alys roześmiała się głośno. – I rozpustna.

Klara odkryła, że śmiech przegania także jej własny gniew. Patrząc na Alys, pomarszczoną i zgarbioną, trudno było wyobrazić sobie w niej szaloną, kapryśną dziewczynę. Ale w niepohamowanym śmiechu Klara słyszała ślad beztroskiej istoty, którą niegdyś była Alys.

Dzieci, zaciekawione tajemnicą (bo ludzie mówili o tym szeptem), lecz zbyt młode, by ją osądzać, otwarcie zadawały Klarze pytania. Krążyły po plaży, zbierając wyrzucone przez morze drewno, by wysuszyć je na opał. Wiał ostry wiatr, szarpiąc spódnicę Klary.

– Czy wyrosło ci w brzuchu jak u mamy? – spytała Bethan.

Klara przytaknęła, niechętnie godząc się z tym, że wiedzą. Dołożyła do sterty krzywy patyk.

– Czy to był chłopiec? – Delwyth patrzyła na nią okrągłymi oczami.

Klara znów pokiwała głową.

– Tak – rzekła. – Płci męskiej.

Jej słowa zaskoczyły ją samą. Dlaczego go tak nazwała? Wszyscy wiedzieli, że dzieci to albo dziewczynka, jak nowa siostra Bethan, albo chłopczyk. Czemu wymówiła te dziwne słowa? „Płci męskiej”, jakby urodziła stworzenie z lasu czy pól.

– I gdzie się podział twój syn płci męskiej? – Poważna Eira wydawała się zmartwiona.

– Kto go zabrał?

Klara uśmiechnęła się, by uspokoić dziecko.

– Ktoś inny go potrzebował – wyjaśniła. – Tak jak twoja mama potrzebuje kawałków drewna! Przyciągnijmy większe, o tam, i zobaczymy, czy starczy nam sił, by je połamać, dobrze?

– Ja jestem silna!

– Popatrz na mnie, jaka jestem silna!

– Silna jak chłopiec? Płci męskiej!

Dzieci popisowały się i wykrzykiwały, biegając po mokrym piasku. Klara zerknęła w górę na niewysoki brzeg graniczący z plażą i dostrzegła patrzącego na nią Einara. Na ramiona założył drewniane nosidło z przyczepionymi u boków dwoma wiadrami. Wracał właśnie od źródła, skąd czerpał świeżą wodę. Ponieważ brzemień spoczywało na ramionach, nadal mógł wspierać się na swych kijach. Teraz, dostrzegłszy, że go zauważyła, uniósł rękę i pomachał do niej.

Klara odpowiedziała tym samym i uśmiechnęła się. *A zatem, pomyślała, choć jeden młody mężczyzna nie uważa mnie za splamioną? A może to dlatego, że jestem teraz bez wartości, tak jak on?*

Patrzyła, jak kuśtyka ścieżką, powłócząc nogami, jedną za drugą. Za nią na piasku roześmiane dzieci naśladowały Einara, wlokąc stopy i kulejąc dramatycznie. A potem patrzyły, jak pozostawione przez nie ślady na piasku wypełniają się morską wodą i znikają.



Zima nadeszła nagle, a wraz z nią przeszywający do szpiku kości chłód. Znad oceanu wiał wilgotny, ostry wiatr, przenikając przez szczeliny w ścianach chaty. Poruszony ogień migotał i syczał. Klara miała na sobie grubą futrzaną kamizelę, którą Alys uszyła jej ze zwierzęcych skór, i ciepłe buty z tego samego materiału, zasnurowane ścięgnami.

Pewnego ranka towarzyszyła Alys do domku Bryn, gdzie młodsza dziewczynka, nazwana Elen, leżała spowita w wiele warstw tkanin i rozgrzana w kołysce wypełnionej owiniętymi ochronnym materiałem kamieniami wyciągniętymi z ogniska. Słuchając ostrych krzyków niemowlęcia, Alys roześmiała się.

– Letnie dzieci radzą sobie lepiej – rzekła do Bryn. – Ale ta będzie silna.

Bryn napełniła herbatą grube kubki. Na zewnątrz wiał wiatr, a na podłodze przy ogniu mała Bethan, nucąc bezdźwięcznie, rozdzielała żołędzie na rodziny. Klara przeprosiła i wymknęła się.

Na podwórku otuliła ciasno szalem futrzaną kamizelę i naciągnęła głębiej grubą wełnianą czapkę, chroniąc uszy. Ruszyła na wzgórze, podążając bezludną ścieżką wijącą się pośród rozkołysanych drzew. W pobliżu nie było nikogo: mróz zapędził ludzi do domów. Może jednak, pomyślała, znajdzie Einara na łące wśród jego stworzeń i ucieszy go jej towarzystwo. Wspinając się, uniosła do ust dłoń w rękawiczkach i chuchnięciem spróbowała je ogrzać. Od czasu do czasu stopy ślizgały jej się po zamarzniętym na lód błocie.



Klarze trudno było zrozumieć pory roku. W powracających wspomnieniach nie znalazła tego, jak liście latem pokazują swe spody przed nadejściem burzy, a potem usychają i opadają, gdy noce stają się chłodne. Teraz panował mróz, a ona go nie pamiętała. Nigdy wcześniej nie miała płaszcza ani szala, tego była pewna. A deszcz! Latem stanowił dla niej nowość, a teraz, podczas mrozu, mieszał się z drobinkami lodu. I kto wie, co może przyjść po nim! Każdy dzień stanowił niespodziankę, choć Alys, dostrzegając, co się dzieje, próbowała ją przygotować i wyjaśnić.

Klara zastukała do drzwi szopy z desek, w której mieszkał Kulawy Einar, nikt jednak nie odpowiedział. Otworzyła je pchnięciem, zajrzała do środka i przekonała się, że popiół na palenisku nie zdążył jeszcze ostygnąć; z komina wlatywały smużki dymu porywane przez wiatr w szarość nieba. Wiedziała, że znajdzie Einara na polu. Starannie zamknęła drzwi, owinęła się ciasniej szalem i ruszyła dalej stromą ścieżką.

Kiedy go dogoniła, wcierał właśnie maść w nogę owcy, która zaplątała się w ciernisty krzak.

– Chodź, przytrzymaj ją, dobrze? Wciąż się odsuwa.

Klara oplótła ramiona wokół szyi niecierpliwego stworzenia, próbując je uspokoić bezsensownym mamrotaniem.

– Cii, cii, ciiii – powtarzała, bo słyszała, jak Bryn szepcze tak do płaczącego dziecka.

Oparła głowę o splątane runo na szyi owcy. Przypominało poduszkę, choć bardzo mocno cuchnęło.

– No już.

Einar wypuścił nogę, a owca otrząsnęła się i wyrwała z objęć Klary. Potem odbiegła w wysoką suchą trawę; Klara słyszała nosowe powitalne beczenie stada.

Spojrzał na nią.

– Zmarzłaś – zauważył.

Klara roześmiała się, bo uznała to za oczywiste. Cała dygotała i znów chuchała w złożone, okryte rękawiczkami dłonie.

– Chodź do mojej szopy – zaproponował.

Obejrzał się na stado; stwierdził, że zbite w ciasną gromadkę kuli się z pochylonymi nisko głowami, osłonięte przed mroźnym deszczem. A potem ruszył ścieżką. Klara podreptała za nim.

Usiadła na stercie futer służącej mu za posłanie, on tymczasem trącił popiół, który wkrótce zamienił się w czerwony żar, i dołożył do niego gruby kawał dębowego konara. Czują, jak promieniuje ciepłem.

– Powiedz mi, po co przyszłaś tu w tak paskudny dzień.

Zawahała się, niepewna, jak zareaguje gospodarz.

– Powiedzieli mi, że kiedyś się wspiąłeś – rzekła w końcu ostrożnie.

Zerknął na nią, potem znów skupił uwagę na ogniu, poprawiając go lekko, choć Klarze wydało się to niepotrzebne. Uznała, że po prostu wolał odwrócić wzrok.

– Owszem – potwierdził. – Chcesz wiedzieć dlaczego?

– Jak. Chcę wiedzieć jak. Patrzę na urwisko i wznosi się nade mną, nie do zdobycia.

Einar westchnął. Wstał z wysiłkiem z klęczek i usiadł obok niej na futrach. Oboje wbijali wzrok w ogień.

– Najlepiej najpierw powiem ci dlaczego, żebyś zrozumiała.

Klara przytaknęła, wiedząc, że kiedy nadejdzie czas, sama będzie musiała podać mu własne powody.

Marznące krople bębniły o dach szopy, ale w środku było ciepło.

– Nigdy nie poznałem mamy – zaczął. – Umarła przy moich narodzinach. Ludzie mówią, że Alys przyszła i pomogła, ale byłem wielki, zbyt długo to trwało, mama zaczęła krwawić i umarła. Czasami tak bywa.

Klara pokiwała głową; Alys wspominała jej o tym. Przypomniała sobie, z jak wielkim zainteresowaniem staruszka słuchała jej własnej historii o wycięciu dziecka. „Tu jest inaczej”, rzekła.

– Mój ojciec był rybakim. Wypłynął na jednej z łodzi; działo się to o tej porze roku, przy mrozie i wietrze. Pewnie jemu też nie szło najlepiej, ale twardy był to człowiek, ten mój ojciec. Silny. Przywykł do złej pogody. – Wzruszył ramionami. – I ja także – dodał.

– Ty nie jesteś twardy, Einarze.

– Zahartowany, owszem. Muszę być, żeby móc się zajmować stworzeniami.

Wiedziała, że ma na myśli stado owiec.

– Nie odczuwam mrozu tak jak ty – dodał.

– Zawsze tu byłeś. Nauczyłeś się z nim żyć.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, potem znów zaczął mówić.

– Powiadają, że tego wieczoru wrócił z morza, opróżnił sieci i uwiązał łódź. Wszyscy, którzy go widzieli, milkli, bo nikt nie chciał być pierwszym, kto powie mu, że jego syn urodził się zdrowy, ale żona już sztywnieje, gotowa do trumny.

Odwrócił wzrok.

– Podobno pragnął syna. Ale nie takiego, który odbierze mu żonę.

Na zewnątrz gałąź pękła pod naporem wiatru, przesunęła się po progu szopy i uderzyła o ścianę. Klara wyobrazila sobie rybaka wracającego do domu w taką pogodę i widzącego zapłakane dziecko i siną, martwą żonę.

– To Alys powstrzymała go przed ciśnięciem mnie w ogień. Potem przyszli inni, przytrzymali go. Ponoć wrzeszczał całą noc, przeklinając ciało, wiatr i bogów, a nawet morze, z którego żył.

Mówią, że od początku był twardym człowiekiem. Przy mojej mamie trochę złagodniał, ale kiedy odeszła, zamienił się w kamień. A kamień ów miał ostrą krawędź zwróconą przeciw mnie, bo to ja ją zabiłem.

– Ale to nie... – zaczęła Klara i umilkła. Nie usłyszał jej.

– Inni mnie wychowali. Kobiety ze wsi. Potem, gdy byłem dość duży, zabrał mnie do siebie. Oznajmił, że czas, żebym zapłacił za to, co zrobiłem.

– Co to znaczy „dość duży”? Ile miałeś lat?

Zastanowił się chwilę.

– Może sześć? Wypadły mi przednie zęby.

Zadrżała na myśl o małym chłopcu mającym odpokutować za śmierć matki.

– Nie znałem go. Zupełnie jakby zabrał mnie ktoś obcy. Poszedłem do jego domu, bo powiedzieli, że muszę; tej nocy dał mi jeść i pić, a także koc, żebym się okrył, kiedy poszedłem spać na stercie słomy. Rano, przed świtem, obudził mnie kopniakiem i oznajmił, że robi ze mnie rybaka, bo jestem mu to winien. Potem każdego dnia, póki nie dorosłem, szedłem z nim do łodzi i wypływaliśmy w morze. Nigdy nie miał dla mnie dobrego słowa, nie opowiadał o rodzajach liści, o stworzeniach, nie pokazywał gwiazd na niebie. Nigdy nie zaśpiewał mi piosenki ani nie trzymał za rękę. Tylko kopał po pokładzie, jeśli zrobiłem coś niezgrabnie, śmiał się, gdy zaplątałem się w liny i ześliznąłem do lodowatej wody, która zalała pokład. Gdy morze było wzburzone i rzygałem za burtę, tłukł mnie po głowie. Miał nadzieję, że fala mnie zmyje i utonę. Sam mi powiedział.

Kazał mi wspinać się na maszt i rozplątywać liny, i śmiał się, kiedy ręce zsuwały mi się ze słonego drewna i spadałem na pokład. Gdy złamałem rękę, cały dzień trzymał mnie na morzu, każąc wyciągać sieci. Potem wieczorem posłał po Alys i kazał jej naprawić rękę do rana, bo inaczej złamie mi drugą.

– Trzeba go było zabić – rzuciła cicho Klara.

Einar przez chwilę milczał.

– Zabiłem już matkę – rzekł w końcu.

Nagle wstał wsparty na kij, podszedł do drzwi, uchylił je lekko i wciągnął w płuca

wiatr. Bała się, że wyjdzie na mróz, że opowiedziawszy jej o przeszłości, czuł potrzebę, by się jakoś ukarać. Ale po chwili znów zatrzasnął je i wrócił. Usiadł, odstawiając kij pod ścianę, i kilka razy odetchnął głęboko.

– Wyrosłem bardzo silny – oznajmił.

– Wiem.

– Wyższy od ojca i tak silny, że mogłem go podnieść i cisnąć w morze. Ale nigdy nie przyszło mi to do głowy. Milczałem. Słuchałem go. Gotowałem dla niego jak żona, prałem mu ubrania, byłem też żoną na inne sposoby, zbyt okropne, by o nich wspominać. Sam zamieniłem się w kamień. Nakazywałem sobie być głuchym, kiedy mnie przeklinał, i ślepy na wyraz nienawiści w jego oczach. Czekałem.

– Na co czekałeś?

– By być dość duży, dość silny, dość odważny, aby odejść. Wspiąć się.

– Co poszło nie tak? – spytała.

– We wspinaczce nic. Szykowałem się do niej. Byłem gotów. Wiedziałem, że mi się uda, i się udało. Źle poszło potem. – Einar przesunął lekko kaleką stopę, wpatrując się w nią; w jego głosie dźwięczała gorycz. Potem zmienił się, złagodniał. – Czemu mnie o to pytasz? – zainteresował się.

– Bo muszę spróbować – wyjaśniła Klara. – Muszę spróbować się wspiąć.

Patrzył na nią chwilę.

– Żadna kobieta tego nie dokonała.

– Ja muszę. Mam tam dziecko. Syna. Muszę go znaleźć.

Wiedziała, że nie potraktuje jej z pogardą, bo nie leżała w jego naturze. Obawiała się jednak, że mógłby wyśmiać ten niemożliwy plan. Ale nie. I zrozumiała, że wiedział już o dziecku, że słyszał plotki.

Przez chwilę przyglądał jej się z namysłem.

– Popchnij ją – polecił w końcu, wyciągając ku niej rękę. Uniósł dłoń pionowo, jakby chciał coś odsunąć.

– Tak? – Klara przyłożyła do niej rękę.

Skinął głową.

– Pchnij.

Posłuchała, przywołując całą swą siłę, by spróbować przesunąć jego dłoń, wygiąć rękę. Ta jednak tkwiła nieruchomo. Sztywno. Niewzruszona. Jej własna ręka dygotała z wysiłku. W końcu Klara poddała się, opuszczając dłoń na kolana. Bolała.

Einar pokiwał głową.

– Jesteś silna, przynajmniej w rękach. Umiesz się wspiąć?

Wyobraziła sobie pionowe skalne urwisko wiszące nad wioską i na pół dnia przesłaniające słońce. Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Wdrapuję się ścieżką na łąkę, tam gdzie trzymasz owce; często widywałeś, jak to robię. I czasem, zbierając zioła, chodzę aż do lasu przy wodospadzie. Nigdy się nie męczę. A tam jest stromo. Ale wiem, że nie o to ci chodzi.

– Musisz zacząć się hartować. Pokażę ci. Nie będzie łatwo. Musisz tego pragnąć.

– Pragnę – oznajmiła Klara i głos jej się załamał. – Pragnę jego.

Einar zawahał się z namysłem.

– Chyba lepiej jest wspiąć się w poszukiwaniu czegoś, zamiast nienawidząc tego, co się porzuca. To potrwa bardzo długo – dodał – nim cię przygotuję.

- Wiem.
 - Nie dni ani tygodnie – uprzedził.
 - Wiem.
 - Może nawet lata – rzekł. – U mnie to trwało lata.
 - Lata?
- Przytaknął.
- Od czego mam zacząć? – spytała Klara.



Einar twierdzi, że muszę to robić codziennie. W ten sposób wzmocnię brzuch w miejscu, gdzie mam bliznę. Zobacz.

Alys zerknęła znad ognia, nad którym mieszała w garnku zupę cebulową. Przez chwilę patrzyła, jak Klara, leżąc na podłodze chaty, wsuwa stopy pod kamień sterczący z podstawy ściany i podnosi górną połowę ciała do napiętej, ukośnej pozycji, a potem powoli opuszcza się i oddycha głęboko.

– Nie pokazałaś chyba chłopakowi blizny?

– Oczywiście, że nie. Ale opowiedziałam mu o niej. – Klara zagryzła wargę, wstrzymała oddech i znów się podniosła, potem opuściła powoli na podłogę, i jeszcze raz. – No już – wysapała po kilku chwilach. – Mówił, żebym robiła to codziennie dziesięć razy.

– Masz, zjedz trochę zupy i chleba – powiedziała Alys. – Zacznę też szykować dla ciebie mikstury wzmacniające. – Zerknęła na schnące zioła, zwisające z belek podtrzymujących dach chaty. Klara słyszała, jak mamrocze nazwy – biała wierzba, pokrzywa, wiązówka, gorzknik – i wiedziała, że zastanawia się nad najlepszym połączeniem.

Opowiedziała Alys o swych planach. Poza nią nie wspomniała nikomu.

Klara uważała staruszkę za najspokojniejszą ze znanych jej osób, kogoś, kto w czasie długiego życia oglądał już najgorsze i niczemu się nie dziwi. Patrzyła, jak Alys zszywa ciało i owija obkurczającym okładem nogę chłopczyka, rozdartą po upadku na śliskich skałach, jak swym kojącym głosem uspokaja zarówno przerażoną matkę, jak i dziecko. Widziała, jak spokojna, władca dogląda nawet najtrudniejszych porodów, dzieci odwróconych nogami do przodu albo bokiem, matek błagających o śmierć, ojców rzygających w drzwiach. Klara oglądała też śmierć – matki Andrasa, zabitej przez gorączkę i kaszel, rybaka o czaszce zmiażdżonej przez złamany maszt, chłopczyka wstrząsanego drgawkami od dnia narodzin i w końcu w wieku lat pięciu zmarłego z pianą na ustach i wywróconymi białymi oczami. Alys zajmowała się nimi i ich rodzinami, obciążała powieki, splatała ręce, a potem wracała do chaty, by umyć narzędzia, przyrządzić kolację i poczekać, aż następny rozgorączkowany wieśniak stanie w drzwiach, błagając o pomoc.

Nic jej nie poruszało – aż do dnia, kiedy Einar i Klara oznajmili, że Klara musi się wspiąć.

– To nie może być! – rzekła głośno i zaczęła kołysać się w przód i w tył w swym fotelu, jakby próbując uciszyć przejmujący ból. – O nie, to nie może być. Zginiesz! – Odwróciła się gwałtownie do Klary. – Umrzesz na tym urwisku, spadniesz i połamiesz

się na kawałki! Widziałam innych w takim stanie! I spójrz na niego! Kiedyś był zręczny i chyżostopy. Popatrz teraz, wspinaczka go zniszczyła! Wybacz, Einarze, dobry z ciebie chłopiec i kochałam twoją mamę, ale ta góra zrujnowała ci zdrowie i nie pozwolę, byś zrobił to samo z moją dziewczynką!

– To nie góra mnie zniszczyła, Alys – odparł stanowczo Einar. Klara, zasłuchana, zdumiała się, dostrzegając w nim nagłą pewność siebie. Zawsze był taki nieśmiały, przemawiał z wahaniem. Teraz jednak w jego głosie dźwięczał stanowczy ton. – Zahartowałem się, przygotowałem i dokonałem tego. Wspiąłem się. To było potem. I tego też ją nauczę. Ale najpierw uczynię ją silną, od tego zaczniemy i potrzebujemy twojej pomocy, Alys, bo ona chce odzyskać syna i musi znaleźć sposób, by go odszukać.

– Łódź – jęknęła Alys. – Może przecież popłynąć morzem, skoro musi odejść.

– Nie. Nie morzem. Nigdy.

Choć Klara obawiała się urwiska i wspinaczki, której musiała się nauczyć, jeszcze bardziej bała się morza.

– Teraz jest zima. – Alys ustąpiła odrobinę. – Może wiosną zdołamy ją zahartować. Słońce, powietrze dobrze zrobią jej sile.

Einar roześmiał się.

– Zaczniemy od razu, Alys – uciął – a wiosna nadejdzie, nim się zorientujemy. Zawsze tak jest.



I rzeczywiście nadeszła wiosna. Przez wszystkie zimowe miesiące Klara co dzień kładła się na ziemi, unosiła ręce za głowę i dźwigała się. Przecięty blizną brzuch stał się twardy i gładki, nie dyszała już ciężko z wysiłku.

– Jestem gotowa – poinformowała Einara.

Roześmiał się tylko. Stali przy drzwiach chaty. Kazał jej wbiec ścieżką na wzgórze aż do wodospadu i wrócić do niego.

Od tygodnia padał drobny deszcz. Ścieżka zamieniła się w wiosenne błoto; Klara skrzywiła się.

– Jest za ślisko.

– W porównaniu z górami jest twardo i sucho.

– No tak, ale...

– Biegnij. Chwytaj ziemię stopami.

Klara zerknęła na własne stopy opatulone w grube wełniane skarpety pod prostymi, skórzanymi sandałami.

– Zdejmij je – polecił Einar.

Westchnęła i posłusznie zsunęła sandały i skarpety. Ziemia wciąż była bardzo zimna, wiosna dopiero nadeszła, deszcz mroził jej ciało. Pokiwała palcami w zimnej, mokrej ziemi, by uchwycić się lepiej, i zaczęła biec.

Ścieżka stopniowo stawała się coraz bardziej stroma i Klara pośliznęła się, ocierając kolano o kamień. Natychmiast wstała. Ręce lepiły jej się od błota, po nodze ściekała wąska czerwona strużka krwi. Chwyając oddech, przyjrzała się mokrej ścieżce w górze, potem westchnęła i ruszyła dalej. „Biegnij”, rozkazał Einar. Wcześniej często wdrapywała się tą ścieżką, ale zawsze powoli, ostrożnie stawiając stopy. Teraz biegła.

Próbowała wbijać palce w ziemię, ale ślizgały się i znów upadła, i wstała. Nim dotarła na szczyt wzgórza i stanęła przy szumiącym wodospadzie, odkryła, że płacze. Cała była ubłocona, dygotała z zimna, kolano spuchło jej i bolało. Ze swego miejsca widziała go w dole, obserwował ją. Miała nadzieję, że nie widzi jej łez.

– A teraz na dół! – zawołał.

Ślizgając się i przytrzymując korzeni drzew, by nie upaść, dotarła na dół zdradliwą ścieżką. Ubłoconymi dłońmi otarła mokrą od łez twarz i pospieszyła w miejsce, gdzie czekał Einar.

– Dobrze – powiedział. – I jeszcze raz.



Przez całe lato co dzień wbiegała na wzgórze. W pogodne dni wśród mgieł błyskały tęcze i dotarłszy do celu, Klara zaczęła się uśmiechać, nie płakać jak za pierwszym razem. Powoli zadanie stawało się może nie łatwe, ale wykonalne. Zaczęła wracać uśmiechnięta i dumna.

Einar witał ją uśmiechem.

– Robisz się silna – rzekł, po czym dodał: – Jak na dziewczynę.

Zerknęła na niego i zrozumiała, że żartuje; patrzył na nią z czułością. Szybko odwrócił wzrok, usiłując to ukryć, ale Klara to dostrzegła. Widywała, jak tak samo spoglądał na młode jagnięta brykające na łące w letnie popołudnia i podziwiał ich zręczność i urok. Widywała też, jak spoglądał na nią w ten sposób, i wiedziała, że w jego wzroku kryje się tęsknota.

Kiedy uznał, że opanowała ścieżkę, utrudnił jej zadanie. Zaczął wiązać jej ręce, by nie mogła się nimi podeprzeć. Gdy wiosenna wilgoć wyschła, ścieżka stała się twarda i zdradliwa w inny sposób – Klara nie mogła chwycić jej palcami stóp. Kiedy potknęła się i boleśnie stłukła ramię, bo nie mogła złagodzić upadku związanymi rękami, wyśmiał ją. Kiedy płakała, nie zwracał na nią uwagi. Otarła łzy i pobiegła.

Pewnego popołudnia Bryn z dzieckiem w chuście na piersi zatrzymała się w chacie, prosząc o lek na ukąszenie pająka w kostkę. Alys i Klara obejrzały gorące spuchnięte miejsce.

– Olejek z korzenia żywokostu – oznajmiła Alys. – Mam go tutaj, zaczekaj, aż zagrzeję.

Bryn oddała Klarze małą Elen.

– Zabiorę ją na dwór – oznajmiła Klara i zaniósła mocną dziewczynkę o kręconych włosach do drzwi, by pokazać jej kwitnące margerytki.

Zjawił się Einar. Teraz przychodził codziennie, jeśli Klara nie wbiegła na stromą łąkę i nie spotkała się tam z nim.

– Dziecko Bryn. – Pokazała mu. – Czyż nie słodkie? – Podawała Elen zerwany kwiat; dziewczynka chwyciła go w piąstkę i pomachała nim w powietrzu.

– Pobiegnij z nią – podsunął Einar.

Klarę zaskoczyło to, ale roześmiała się głośno. A potem, trzymając dziecko, zaczęła biegać po niewielkim podwórku. Elen z zachwytem wymachiwała rękami.

– Pokaż mi jej ciężar. – Einar odebrał Klarze niemowlę. Widziała, że nie ma doświadczenia z ludzkimi dziećmi, choć pewnie i zręcznie radził sobie z jagniętami.

Patrzyła, jak wsunawszy wielkie dłonie pod małą Elen, Einar oceniał jej wagę.

– Musisz zacząć biegać z obciążeniem – oznajmił, oddając jej dziecko. – Jutro je przyniosę.

Następnego dnia wrócił z prostym skórzanym workiem do połowy wypełnionym kamieniami. Przywiązał go Klarze do pleców i kazał pobiec ścieżką na wzgórze. Posłuchała i do wodospadu dotarła zdyszana. Miała ochotę wyrzucić kilka kamieni do rwącej wody, by przed drugą częścią biegu zmniejszyć obciążające ją brzemię. Ale nie zrobiła tego. Pobiegła z ciężarem, a potem znowu, i odkryła, że jej oddech się zmienia. Przywyka do worka. Po kilku rundach dłuższe oddechy, których potrzebowała, zaczęły pojawiać się naturalnie, zupełnie jakby zawsze coś nosiła. Alys oznajmiła, że tak właśnie dzieje się z kobietami: dźwigają noworodka i przywykają do niego, w miarę jak rośnie, aż w końcu, gdy dziecko staje się pulchne i ciężkie, waga nie ma już znaczenia. Einar ułożył przy ścieżce stos kamieni i kazał jej co dzień dorzucać do worka jeden.

Nogi Klary stały się twarde i umięśnione. Któregoś dnia pokazała mu, jakie są silne i pewne. Pomacał zademonstrowane miejsce, przyciskając wielką dłoń do napiętej, gładkiej skóry nad kostką, i przytaknął. A potem zostawił tam dłoń, obejmując nogę, i przez chwilę patrzyli na siebie. W końcu Einar cofnął rękę; znów dostrzegła w nim czułość, a także własną do niego i daremność owych uczuć. Nie mogła tu zostać.

Pewnego ranka Einar położył na ziemi grubą kłodę. Sięgała jej do kolan.

– Wejdz na nią – polecił.

Sięgnęła po jego dłoń, szukając wsparcia, ale cofnął się. Klara sprawdziła, czy pień leży pewnie na ziemi, potem odmierzyła wzrokiem jego wysokość, uniosła stopę, postawiła na szczycie kłody, przeniosła ciężar i zabrała drugą nogę. Wówczas jednak straciła równowagę i spadła.

– Jeszcze raz.

Całe popołudnie wchodziła i schodziła z pnia. Z początku szeroko rozkładała ręce, bo pomagały jej utrzymać równowagę. Potem Einar podszedł z szorstkim sznurem, którym krępował ją na stromej ścieżce.

– Zaczekaj – rzuciła – nie musisz mi wiązać rąk. – Opuściła je do boków i przytrzymała. Z początku chwiejnie, raz po raz poddawała się próbie, aż wreszcie nie poruszając rękami, zdołała utrzymać równowagę na pniu.

– Świetnie – orzekł Einar.

Następnego dnia przyniósł wyższą i węższą kłodę.



Nadeszła zima. Klara biegała na dworze i wdrapywała się na lód. Einar zaczął ją uczyć posługiwania się liną, wiązania, zamachów i rzucania tak, by zaczepiła się o kamień bądź gałąź. Z początku trafiała w przypadkowe przedmioty, potem, po jakimś czasie, Klara odkryła, że może wycelować pętlą na końcu, wybrać odpowiedni pień bądź krzak i najczęściej dokładnie trafić w cel. Wówczas Einar zmniejszył pętlę i kazał jej chwycić mniejsze przedmioty: młodą sosenkę wystającą ze skalnej szczeliny, kamień leżący na pniu drzewa. Zabrał gruby, szorstki sznur i wręczył jej cienki, pleciony, który ze świstem przecinał mroźne powietrze, opadając bez trudu na gałązkę.

W chacie, w kącie, który uprzętnęła dla niej Alys, Klara spacerowała w tę i we w tę

po kawałku liny rozciągniętym między dwoma słupkami, chwytając ją palcami stóp, oddychając miarowo, skupiając wzrok. Z początku unosiła ręce dla równowagi, a potem, wraz z nadejściem wiosny, zaczęła je opuszczać, poruszając się w sposób spokojny, kontrolowany. Chodziła po linie tam i z powrotem, stała na niej nieruchoma jak słup: na jednej nodze, potem drugiej. Powoli ugięła ją w kolanie, opuściła się, utrzymując równowagę, i znów podniosła.

Żółtoskrzydły świergotał, tańcząc na swej żerdzi, podekscytowany jej widokiem. Alys wstrzymywała oddech i sapała przy każdym nowym ruchu.

Ale Klara zachowywała spokój. Czuła się silna. Gotowa.

– Teraz? – spytała Einara.

Pokręcił przecząco głową.

– Teraz zaczniemy wzmacniać twoje ręce – rzekł.



Następnej wiosny córeczka Bryn, Elen, nauczyła się już chodzić. Kobieta oczekiwała kolejnego dziecka, miała nadzieję, że to będzie chłopiec. Bethan, Delwyth i Eira urosły wysoko, miały długie nogi i szeptane sekrety, od których chichotały głośno.

Większość mieszkańców wioski przestała interesować się Klarą. Nie była już nowa i tajemnicza. Zapomnieli o skandalu z dzieckiem, bo pojawiły się nowe, ciekawsze – kobieta, która uwiodła męża siostry, rybak przyłapany na okradaniu własnego brata. Wieśniacy nie zwracali uwagi na dziwne nowe hobby Klary: nie widzieli ścieżek na wzgórzu, a chata Alys stała na uboczu.

Klara nie zaniedbywała obowiązków, co dzień pomagała zbierać zioła, towarzyszyła Alys przy narodzinach i śmierciach. Czasami Alys posyłała ją samą, by zajęła się prostym kaszlem, gorączką bądź wysypką. Stara kobieta garbiła się coraz mocniej, teraz chodziła bardzo powoli. Osłabł jej wzrok. Potrzebowała więcej odpoczynku.

Klara żartowała z niej łagodnie, mówiąc, że też powinna wyszkolić się i wspiać.

– Spójrz, jaka jestem silna dzięki Einarowi! – rzekła i z dumą napięła mięśnie odsłoniętego ramienia.

Każdego wieczoru, gdy uprzątnęła już naczynia po kolacji i kiedy Alys siedziała w fotelu i robiła na drutach, Klara układała się na boku na macie przy ścianie i oddychała głęboko. Potem z prostymi nogami podnosiła ciało na jednej ręce, przytrzymywała, trwając tak bez ruchu, i powoli się opuszczała. Raz po raz. Najpierw jedną ręką. Potem drugą.

Worek z kamieniami był już tak ciężki, że zwykły człowiek jęczał, próbując go dźwignąć. Ale Klarze przychodziło to z łatwością – co dzień zarzucała go na plecy i nosiła, pielęgnując ogród i zbierając zioła. Biegała tam i z powrotem ścieżką z workiem na grzbiecie i kolejnym w ramionach. Stroma, zryta, nierówna dróżka, na której kiedyś potykała się i ślizgała, stała się teraz znajoma i łatwa.

Einar kazał jej biegać nocą. Po ciemku wszystko wyglądało inaczej; uczyła swe stopy i dłonie rozpoznawać kształty rzeczy, umysł – wyczuwać, że zbliża się do krawędzi i musi cofnąć, by nie upaść.

Chciał zawiązać jej oczy, by mogła ćwiczyć po ciemku za dnia, ale odmówiła.

– Będę to robić w nocy, nawet w środku nocy, kiedy nie świeci księżyc i jest bardzo

zimno. Ale nie mogę niczym zakryć oczu. To coś jak morze: straszne wspomnienie, którego nie umiem...

Odwróciła wzrok, niezdolna dokończyć. On jednak najwyraźniej zrozumiał.

– Ale musisz nauczyć się ciemności – powiedział. – Część wspinaczki odbędziesz po ciemku, zaczniesz jeszcze przed wschodem słońca.

– Dlaczego?

– To zbyt długa wspinaczka, by skończyć za dnia. Jeśli zaczekasz do wschodu słońca, wówczas ciemność zastanie cię przed szczytem. Będziesz wdrapywać się i omijać miejsca, w których jeden błąd oznacza śmierć. Nauczę cię wymacywać drogę stopami, ale mimo to przed szczytem będziesz potrzebować oczu.

Razem spojrzeli na pogrążone w cieniu urwisko. Klara musiała się odchylić, by dostrzec wierzchołek – snuła się tam mgła; widziała też krążące jastrzębie.

Einar zapowiedział, że nauczy ją wymacywać drogę stopami, i po jakimś czasie uświadomiła sobie z rozbawieniem, że nawet jej palce u stóp zyskały siłę. Ze zdumieniem pojęła, że wyczuwa nawet najmniejsze kamyki – i w razie potrzeby może je podnieść poszczególnymi palcami. Umiała chwycić gałązkę między trzeci a czwarty palec lewej stopy i ostrożnie odnaleźć drogę wokół ostrej krawędzi płaskiego głazu paluchem prawej, równie wrażliwym jak dłoń.

Z radością poinformowała o tym Einara.

– Wyobraź sobie tylko – rzuciła. – Palce u nóg! – Pokiwał głową, ale wzrok miał smutny. – Co się stało? – spytała.

On jednak bez słowa odwrócił głowę. Z nagłym poczuciem winy pojęła, jakie to okrucieństwo przechwalać się siłą i zwinnością własnych stóp przed kimś, kto swoją stracił.



Bliźniacy! Dwaj chłopcy o ogniste rudyh włosach. Bryn, choć wyczerpana, leżąc, śmiała się z niespodzianki i z nich samych. Klara trzymała po jednym na każdej ręce, a potem sama wybuchnęła śmiechem, uświadamiając sobie, że lekko unosi ich i opuszcza w ten sam sposób, w jaki Einar kazał jej podnosić i opuszczać ciężkie kamienie, by wzmocnić przedramiona.

Zbliżała się kolejna zima. Przeniosła do domu klatkę Żółtoskrzydłego. Całe lato i jesień wisiała na gałęzi drzewa na podwórku, teraz w ciepłe ptak trzepotał skrzydłami i świergotał. Była tam Bethan i Elen. Ich matka potrzebowała spokoju, by zająć się dwoma nowymi chłopcami, toteż odesłała córki, aby same się pobawiły. Mała Elen, przykucnięta na podłodze, wyginała gałązki na kształt ptaka, udając, że zrobiła Żółtoskrzydłemu żonę. Bethan krzątała się, pomagając Alys w rozdzieleniu ususzonych ziół, które następnie miały zostać spakowane w torby i schowane. Klara, patrząc na nie, zorientowała się, że Alys zaczyna uczyć dziewczynkę tak samo, jak przez ostatnie lata uczyła ją. Wioska będzie potrzebowała kogoś na miejsce zielarki, a niewątpliwie nie mogła to być Klara.

Chwyciła dłońmi grubą gałąź, którą Einar obdarł z kory i osadził mocno w miejscu nad drzwiami. Podciągnęła się tak, że jej broda zrównała się z nagim kawałkiem drewna. Wisiała napięta, licząc do dziesięciu, a potem powoli się opuściła. Gdy to robiła, wciąż czuła ból. To oznaczało, że potrzebuje tych ćwiczeń, musi powtarzać je co dzień, aż przestanie boleć. Wiedziała, że wówczas Einar każe jej założyć na plecy worek z kamieniami i zacząć od nowa.

W dniu, w którym czuła wyjątkowe zmęczenie, przelotnie pomyślała z irytacją o Einarze, o tym, jak bardzo był wymagający, jak niestrudzenie zmuszała się do ciągłego powtarzania zaleconych ćwiczeń. A potem przypomniała sobie, jak ją obserwował, oceniał i podziwiał jej siłę, i wiedziała, że to także spojrzenie kogoś, kto ją kocha.

Wysoki Andras ożenił się w letnie święto ze skłoną do uśmiechu młodą dziewczyną imieniem Maryn, o świeżej twarzy. Stojąc podczas ceremonii, Klara nie czuła smutku: nigdy nie pragnęła zostać jego żoną. On jednak kiedyś na to liczył, a teraz zapomniał o niej i sprawiał wrażenie szczęśliwego. Pomyślała ze smutkiem o Einarze, samotnym w chacie na wzgórzu, i wiedziała, że jakaś część życia omija ich oboje.

– Wkrótce? – spytała Einara, gdy pokazała mu, że może utrzymać się w górze na gałęzi na napiętych, nieruchomych rękach, nawet dźwigając worek z najcięższymi kamieniami. Puścił jej pytanie mimo uszu.

– Teraz jedną ręką – polecił.

Patrzył, jak z trudem podciąga się na jednej ręce. Chciał, by obie miała równie silne,

tak samo jak nogi – na każdej mogła wskoczyć na głaz porośnięty śliskim, mokrym mchem i stać tak, utrzymując równowagę z drugą zgiętą, niczym wodny ptak. Po deszczu potrafiła zjechać na jednej nodze po stromej, błotnistej ścieżce i zatrzymać się w dowolnym miejscu, napierając piętą bądź palcami.

Umiała utrzymać kamyk na uniesionej stopie, a potem, skupiwszy się, przesunąć go pomiędzy dwa palce i pod nie. Stamtąd przekładała go z palca na palec, z góry i z dołu. Na ten widok mała Elen zaśmiewała się wniebogłosy i próbowała powtórzyć ten sam wyczyn własną pulchną stópką.

– Po co mam marnować czas na naukę niemądrych sztuczek? – spytała Einara Klara.
– To do niczego mi się nie przyda.

– Ależ przyda. To ważne. Zobaczysz.

Niecierpliwie wyglądała dnia wspinaczki. Tak długo już czekała.

Ale nauczyła się bez zastrzeżeń ufać Einarowi, jego trosce i mądrości. Westchnęła zatem i skinęła głową.



W zimie sypiała obok Alys. Gdy pewnej nocy ogień zgasł, a na dworze zawodził wiatr, stara kobieta zadrżała i Klara objęła ją, próbując przelać ciepło z własnego ciała do kruchych kończyn niemogących już go utrzymać.

– Dobra z ciebie dziewczyna – wymamrotała Alys. – Twoja mama musi okropnie za tobą tęsknić.

Klarę zdumiały te słowa. Gdy w odpowiedzi spróbowała przywołać w myślach matkę, zobaczyła niewiele. Rodzice. Tak. Miała rodziców. Pamiętała ich twarze, umiała nawet odtworzyć brzmienie głosów. Ale niewiele więcej.

– Nie – rzekła do Alys. – Nie sądzę, by mnie kochała.

Alys odwróciła się w łóżku i w słabym świetle dogasającego na palenisku żaru Klara ujrzała, że jasne oczy staruszki rozszerzyły się w zdumieniu.

– Jak to możliwe, dziecko?

Klara zaśmiała się i objęła ją.

– Nie jestem już dzieckiem, Alys. Może byłam nim, gdy mnie znalazłaś, taką młodą. Ale minęło mnóstwo czasu. Teraz jestem kobietą.

– Dla mnie wciąż pozostajesz dzieckiem. A mama zawsze kocha swe dziecko.

– Tak powinno być, prawda? Ale coś temu przeszkadzało. Myślę, że to... nazywali to pigułkami. Matki łykały pigułki.

– Pigułki?

– Coś jak mikstury.

– Aha. – To Alys rozumiała. – Ale mikstura ma poprawiać stan chorego.

Klara ziewnęła. Wszystko ją bolało, czuła ogromne zmęczenie.

– Moi ludzie (Moi ludzie? Co to właściwie znaczyło? Sama nie wiedziała...) uważali, że brak uczuć takich jak miłość wiele poprawia.

– Głupcy – mruknęła Alys. Teraz i ona ziewnęła. – Ale ty kochałaś swojego synka. Dlatego właśnie wkrótce zamierzasz się wspiąć.

Klara zamknęła oczy i poklepała staruszkę po plecach.

– To prawda – przyznała. – Kochałam synka. I wciąż go Kocham.



Późną wiosną Wysokiemu Andrasowi urodził się pulchny syn, a na wysokiej łące brykały jagnięta o miękkim runie rozgrzanym w promieniach coraz jaśniejszego słońca. Kwitły wczesne kwiaty, lawendowe motyle o koronkowych skrzydełkach przemykały z jednego na drugi. Bliźniacy Bryn uśmiechali się, demonstrując po dwa zęby każdy. Rybacy składali świeżo uplecione sieci, nareperowane zimą, podczas gdy ich żony przy kominkach robiły swetry, które mieli nosić na łodziach.

Nawet wiatr wydawał się nowy, nie przypominał brutalnej zimowej wichury, która zerwała strzechę z dachu, zasypując dom śniegiem. Teraz porywał z kamieni ciepły zapach obmytych w słonej wodzie jeżowców, omułek i wodorostów i niósł go łagodnie po plaży i dalej, na wzgórze. Unosił długie loki Klary, która klęczała, napełniając koszyk pokrzywami. Sztywne łodygi i liście w kształcie serca były porośnięte krótkimi włoskami sprawiającymi ból. Ale ona nosiła specjalne ochronne rękawiczki, zrobione przez Alys. Roślina posłużyła za cenny środek przeciwbólowy dla Starego Benedikta, cierpiącego na podagrę.

– Nie dotykaj – ostrzegła Bethan, która przyszła z nią i chciała pomóc. – Pokrzywa kłuje. Ty zbierz korę z czarnego bzu, o tam. Twoja mama potrzebuje jej dla braci.

Bethan zdarła pasma kory i dołożyła do koszyka. Bliźniacy ząbkowali i marudzili bez przerwy.

– Kiedy odejdę, sama będziesz musiała zająć się zbieraniem. Alys i dla ciebie zrobi rękawiczki. Z pokrzywami musisz uważać. – Bethan zwiesiła głowę. – Myślisz, że nie dasz rady? Tak wiele się nauczyłaś – pocieszyła ją Klara.

– Dam radę. Ale nie chcę, żebyś odchodziła.

– Ach, Bethy. – Klara objęła smukłą dziewczynę. – Wiesz, dlaczego muszę iść.

– Znaleźć dziecko. – Bethan westchnęła. – Tak, wiem.

– Już nie takie małe dziecko. Teraz to duży chłopiec. I jeśli wkrótce nie wyruszę, stanie się mężczyzną!

– Boję się o ciebie, Klaro. – Bethan zniżyła głos.

– Ale dlaczego? Wiesz, jaka jestem silna. Spójrz! – Klara wyciągnęła rękę i chwyciła gałąź czarnego bzu, uniosła się i zawisła bez ruchu na jednym muskularnym ramieniu. Potem powoli opuściła się na ziemię. – Nawet twój tata tego nie potrafi, prawda?

Bethan uśmiechnęła się lekko.

– Nie, i zaczyna też tyć. Tak mówi mama.

– Nie bój się o mnie. Widzisz, że jestem silna i szybka, i...

– Sprytna i skromna, i... – Bethan zachichotała. Często zabawiały się w tę grę w słówka.

- I słodka!
- I senna!
- I swarliwa!
- I smagłozada!

I jak zawsze ich słowna gra pomknęła na wyżyny nonsensu, a one zaśmiewały się głośno, znosząc koszyk ze wzgórza.



Teraz czas płynął bardzo szybko. Pory roku zlewały się; Klary nie dziwiły już nadchodzące zmiany: jak inni wieśniacy ubierała się ciepło, gdy zaczynały się chłody zwiastujące nadejście kolejnej zimy, i witała każdą wiosnę. To dzieci najlepiej świadczyły o upływie czasu. Bethan i jej towarzyszkę nie przypominały już chichoczących, wesołych dziewczynek, wyrosły wysoko, uspokoiły się i szykowały na nadejście kobiecości. Elen, mała łobuziara, jak kiedyś siostra bawiła się w wyimaginowane gry. Rudowłosi bliźniacy uganiali się razem, a Bryn, ich matka, martwiła się ich psotami i śmiała z szalonych przygód.

Każdej wiosny śniegi topniały i Klara wynosiła na dwór klatkę Żółtoskrzydłego, raz jeszcze wieszając ją na gałęzi. Każdej jesieni, kiedy wiatr znad morza zaściewał ziemię szeleszczącymi liśćmi, ponownie zabierała swego pierzastego towarzysza do chaty.

– Jak długo on pożyje? – spytała pewnego dnia Einara, karmiąc ptaka. Nagle uświadomiła sobie, że każde życie ma swój początek i koniec.

– Ptaki żyją bardzo długo. Kiedy odejdziesz, pozostanie tu, dotrzymując Alys towarzystwa.

Klara zerknęła na niego. Od dawna nie wspominał o jej odejściu. Nadal sprawdzał jej siłę i kazał nad nią pracować, ale od wielu miesięcy nie mówił o wspinaczce. Od dnia gdy ludzie wynieśli ją z morza, minęło sześć lat, pięć od owego ranka, gdy narodziny Elen przywróciły jej pamięć o synu. Żył tam gdzieś, na wpół wyrosnięty chłopak: biegał, krzyczał, bawił się.

Einar dostrzegł jej pytające spojrzenie.

– Wkrótce – zapowiedział.

Zbliżało się lato i rośliny zaczęły kwitnąć, a ponieważ Alys potrzebowała coraz więcej pomocy, bo sama traciła siły, Klara miała mnóstwo pracy. Codzienne ćwiczenia od dawna stanowiły część rozkładu dnia. Wstawała co dzień przed świtem i wiele razy każdą ręką podnosiła worki obciążone kamieniami. Dopiero potem wieszała kociołek z wodą nad ogniem. Następnie, czekając, aż się zagotuje, kładła się na ziemi i ćwiczyła podnoszenie nóg i górnej części ciała. Przychodziło jej to z wielką łatwością; śmiała się na wspomnienie tego, z jakim trudem z początku powtarzała ćwiczenia. Teraz przywiązywała sobie do kostek i przegubów ciężkie kamienie i wciąż bez wysiłku odtwarzała znajome ruchy.

Jak co rano uprzątnęła klatkę Żółtoskrzydłego. Od kilku dni padał deszcz, ale tego ranka ucichł; zapowiadał się pochmurny wiosenny dzień. Wyniosła na dwór klatkę i powiesiła na wierzbie obok chaty. Zagwizdała i zaćwierkała do ptaka podnieconego wystawieniem na zewnątrz. Nagle usłyszała w odpowiedzi znajomy gwizd. Odwróciwszy się, powitała Einara nadchodzącego ścieżką z łąki.

– Alys piekła wczoraj chleb – oznajmiła pogodnie Klara. – I zrobiła trochę więcej. Mamy dla ciebie bochenek.

– Spójrz w niebo – polecił Einar.

Posłuchała. Wiszące na niebie nad wyniosłym urwiskiem blade skłębione obłoki skojarzyły jej się z owcami Einara. Po roztopach wciąż zbijały się ciasno w poszukiwaniu ciepła, ale potem rozchodziły po łące, skubiąc młode źdźbła trawy. W jakiś sposób jednak zorientowała się, że nie o to mu chodzi.

– Na co?

– Za chmurami widać słońce. Deszcz ustał na jakiś czas.

Ci, którzy pilnowali stad jak Einar albo uprawiali rolę jak Andras, czy wszyscy rybacy z wioski, znali się na niebie. Klara radośnie pokiwała głową.

– To świetnie! Mogę zrobić pranie i rozwiesić na krzakach.

– Nie – odparł Einar – koniec z praniem. Czas się wspiąć.



Na nocnym niebie wciąż lśniły gwiazdy, skrawek wiosennego księżyca wisiał nisko, tuż nad spokojnym falującym morzem. Na łące zbite w stadko owce milczały, ciszę zakłócał tylko szum wodospadu w górze i strumienia płynące przez las.

Stali razem bez ruchu. To Klara odezwała się pierwsza.

– Przykro mi z powodu tego, co cię spotkało.

– Tak. Wiem.

W końcu opowiedział jej, jak został ranny – było to gorsze, niż mogła sobie wyobrazić, ale wiedziała, że teraz nie powinna o tym myśleć. Przyjdzie na to czas, kiedy dotrze na szczyt. Musi wszystko zaplanować, a to, co jej ujawnił, stanie się częścią owego planu. Na razie jednak skupi się wyłącznie na wspinaczce.

– Myślisz, że będzie tam na szczycie?

– Nie od razu. Zaczekaj tam, a się zjawi. Nie myśl teraz o tym.

– Ale czy ja go poznam?

– O tak. Poznasz.

– Sądzisz, że mi się uda, Einarze?

– Uda się. – Ze śmiechem dotknął jej policzka. – Dałem ci to, co dręczyło mnie przez te wszystkie lata, odkąd sam się wspiałem. Każdej nocy powtarzałem tę wspinaczkę, raz po raz wymacywałem każdy kamień, każdy strzępek mchu, każdą gałązkę, zagłębienie, szczelinę i zakręt. Nocą, gdy inni mężczyźni naprawiają sieci, ostrzą narzędzia albo kochają się ze swymi kobietami, ja wspominałem wspinaczkę. W głowie mam całą mapę. Dałem ci ją i będziesz bezpieczna. – Zaśmiał się i objął ją. – Musisz być, bo jeśli nie, zrobisz ze mnie durnia. To przecież ja pomagałem ci się wzmocnić! Teraz pokaż mi swój worek, trzeba go mocno przypiąć.

Klara uklękła na ścieżce u podstawy urwiska, Einar oparł o skałę swoje kije i poprawił jej worek na plecach.

– Nóż? – spytał.

Pokazała mu, że tkwi mocno przywiązany do sznurka na jej szyi.

– Lina?

Zwinęła ją starannie i przewiesiła przez ramiona.

– Tykwę z wodą masz w worku. Nie próbuj do niej sięgnąć, gdy będziesz na skale, nawet gdyby doskwierało ci pragnienie. Są tam miejsca, w których możesz zatrzymać się i odpocząć. Nazywają je półkami. Jeśli będziesz wspinąć się szybko, do pierwszej dotrzesz w południe. Tam będziesz mogła się napić.

– Tak, wiem. Mówiłeś mi.

– A to co? – Obmacywał worek. – Głęboko, obok tykwy, z rękawiczkami.

– Alys ją tam wsadziła. Maść ziołowa na obrażenia.

– O tak, to dobre, możliwe, że trzymając linę, nawet w rękawiczkach obetrzesz sobie dłoń. Jeśli zjedziesz na niej, zerwie ci skórę. Ale nie puszczaj.

– Nie puszczę. Wiesz, że nie.

– Ale nie zakładaj rękawiczek, bo pozbawią cię wyczucia. Musisz czuć linę każdym palcem.

– Einarze?

– Co?

Pokazała mu.

– Alys to zrobiła. Nie widzisz, bo jest za ciemno, ale pomacaj.

Podowała mu płaski okrągły przedmiot i odczekała chwilę.

– To zwykły kamyk. Ale Alys obszyła go kawałkiem tkaniny. Ma jaskrawoczerwony kolor. Pochodzi z wełnianej czapki, którą nosiłam zeszłej zimy.

– Ale po co?

– Kiedy dotrę na szczyt. Mówiłeś, że tuż przed nim znajdę bardzo strome miejsce. Miejsce, w którym muszę być szczególnie ostrożna...

– Tak, skalne stopnie. Nie patrz w dół.

– Nie będę. Zrobię tak, jak mówiłeś, wymacując każdy stopień bardzo ostrożnie, nie patrząc w dół, nie ciesząc się, że to już szczyt.

– Co zatem?

– Kiedy skończę wspinać się na stopnie, znajdę na górze i wyczuję stopami twardą ziemię. Wtedy cisnę ten kamień w powietrze i w dół.

– Słońce będzie zachodzić.

– Tak. Rzucę go prosto w zachodzące słońce. Poszukaj jutro. Patrz na ziemię tu, w dole, wypatrując jaskrawej czerwieni. Wówczas będziesz wiedział, że mi się udało. Że się wspierałam.

– Zgoda. Poszukam. To będzie znak.

Dotknął jej policzka i przez chwilę nie odrywał czulej dłoni.

– Będę za tobą tęsknił, Wodna Klaro – powiedział.

– Nigdy cię nie zapomnę, Groźny Einarze – odparła.

Oboje uśmiechnęli się na dźwięk swych dawnych przydomków. A potem pocałował ją, odwrócił się i sięgnął po swe kije. Nigdy go już nie zobaczy. Czas ruszać.



Podstawę urwiska tworzyły wielkie głazy, niektóre śliskie od mokrego mchu porastającego zacienione strony. Łatwo było się na nie wdrapać: od czasu do czasu ćwiczyła tu po zmroku, toteż jej stopy (bose, choć w worku miała sandały, na później) znały ich kształt i powierzchnię. Ale zbyt łatwo przyszłoby zlekceważyć niebezpieczeństwo, nawet w tym znajomym miejscu. Jedno poślizgnięcie na mchu, błędny krok, skręcona kostka, i misja zakończyłaby się, nim jeszcze się zaczęła. Klara upominała się zatem w duchu, by zachować czujność. Skoncentrowana na każdym ruchu starannie stawiała stopy, wymacując powierzchnię palcami, oceniając jej fakturę, przenosząc ciężar przed kolejnym krokiem. Raz potrafiła niewielki kamień i posłała na dół deszcz żwiru. Upomniała się za to. To tylko drobna pomyłka, nic złego. Ale tego dnia

nie mogła sobie pozwolić nawet na jeden błąd.

Einar poradził jej nie myśleć podczas wspinaczki o niczym oprócz samej wspinaczki. Od czasu do czasu jednak w trakcie pierwszego, łatwego etapu, który pokonywała bez trudu, odkrywała, że jej myśli oddaliły się od urwiska. *Gdybym tylko*, szeptał głos w jej głowie. *Gdybym*.

Gdybym tylko zabrała tamtego dnia dziecko. Gdybym przywiozła tu mojego synka, mógłby dorastać z Einarem, który uczyłby go o ptakach i jagniętach...

Zginąłby w morzu. Na tę myśl zadrżała.

Gdyby Einar nie próbował się wspiąć, gdyby pozostał cały... Wówczas moglibyśmy odejść razem, znaleźć mojego syna i...

Zmusiła się, by powstrzymać myśli. *Skup się*, powtarzała w duchu. *Skup się wyłącznie na urwisku. Na wspinaczce.*

Nawet tu w miejscach, gdzie niesione z wiatrem nasiona utkwily w skalnych szczelinach, rosły rośliny, podlewane topniejącym śniegiem; teraz kiełkowały wczesną wiosną, wyciągając ku górze łodyżki. O świcie może zobaczy, jak poruszają się, szukając słońca; teraz, w ciemności, tylko je czuła, delikatne wypustki muskające gołe nogi. Starła się nie zdeptać kruchych roślinek.

Ach. Tutaj. To dlatego Einar mówił, by nie pozwalala myślom błądzić. Oto miejsce, które jej opisał, gdzie nagle pośród masy głazów pojawia się szczelina, głęboka wyrwa w skałach, miejsce, gdzie musi przeskoczyć na następny uchwyt. Wiedział, że kiedy tam dotrze, wciąż będzie ciemno.

„Może pójdziemy tam teraz, za dnia, tylko żeby poćwiczyć? – spytała kiedyś. – Dzięki temu zorientuję się dokładnie, jak długiego trzeba skoku, i... Och!” Nagle umilkła, pojmując, że dla niego byłoby to niewykonalne. Każdego dnia zmagał się ze swym kalectwem, z trudem schodząc ze stromego pastwiska, by ją uczyć i jej pomagać. Nie zdołałby się wgramolić na masyw nierównych głazów.

Ale pomógł jej stworzyć miejsce do ćwiczeń, odmierzył odległość i wysokość. Potem ulepili kształt z gliny i poczekali, aż stwardnieje. Wskakiwała nań raz po raz. Okazało się to nietrudne. Musiała przeskoczyć ze szczytu nierównego ostrego kamienia nad szczeliną i wylądować na płaskiej, granitowej powierzchni. Kazał powtarzać jej to wielokrotnie w bezksiężycowe noce, by niczego nie widziała, i w końcu zaczęła tak dokładnie wyczuwać odległość, że jej stopy za każdym razem odnajdywały to samo miejsce lądowania.

– Dotrzesz do miejsca, gdzie będziesz musiała precyzyjnie się między dwiema sięgającymi do ramion skałami. Dwiema do pary. Identycznymi jak synowie Bryn – oznajmił. – Kiedy już przejdiesz – tylko uważaj, żeby nie stracić worka – idź w górę, na szczyt następnej skały. Jest ukośna, poczujesz ostrą krawędź. Tam właśnie zatrzymaj się i skocz naprzód i w dół.

Poszło dokładnie tak, jak opisał. Bliźniacze skały sięgały jej do brody, a między nimi pozostało ciasne przejście. Ostrożnie obmacała dłońmi ich powierzchnię aż do ziemi, by mieć pewność, że nic ostrego nie skaleczy jej i nie zrani, gdy będzie precyskać się w ciemności. A potem, wyginając plecy, by zrobić miejsce dla pełnego worka – gdyby zgmiotła tykwę z wodą, to byłaby katastrofa – prześliznęła się.

Następny głaz był tym, którego oczekiwała, stromą ukośną skałą z ostrą krawędzią. Wspięła się na niego cal za cal, unikając ostrych jak brzytwa miejsc, które mogłyby

rozciąć jej podeszwy. Wyszkolonymi palcami u stóp posługiwała się jak tymi u dłoni, wymacując drogę. Posuwała się powoli, bo bardzo uważała – tego przecież nauczył ją Einar.

W końcu dotarła na szczyt, ostrą krawędź, na której polecił jej zaprzeć stopy przed skokiem. Balansując tam, odetchnęła głęboko, przywołała w myślach odległość do pokonania, a potem pewnym ruchem skoczyła prosto w ciemność. Wylądowała na płaskim granicie, idealnie utrzymując równowagę. To było dopiero pierwsze wyzwanie, i to drobne. Ale nawet te pomniejszych mogły okazać się katastrofalne, gdyby coś poszło nie tak, i z satysfakcją zostawiła je za sobą. Wyjęła z worka tykwę, pociągnęła łyk i odpoczęła chwilę, myśląc o następnym etapie wspinaczki. Na horyzoncie nad morzem widziała cienką, różową łunę świtu.



W południe słońce świeciło dokładnie nad głową Klary. Widziała, jak w dole czubki drzew kołyszą się lekko. A zatem wiał wietrzyk. Tu jednak nie sięgał. Otarła pot z czoła i odgarnęła z niego mokre włosy. Ponownie związała je sznurkiem na karku, a potem starannie wytarła spocone dłonie o materiał ubrania. Nie mogła sobie pozwolić na to, by jej palce ześliznęły się ze skalnej ściany urwiska. Wcześniej, znacznie niżej, może doszłaby do siebie po potknięciu lub błędzie. Może nawet skończyłaby tylko ze skręconą kostką i mogła wdrapywać się dalej. Ale tu jedno błędne podparcie stopy bądź ześlizgnięcie palców z uchwytu oznaczało pewną śmierć. Dmuchnęła w dłonie, ponownie je osuszając.

Stała teraz, balansując na wąskiej półce. Einar uprzedził ją, że powinna dotrzeć tu w południe i że będzie mogła bezpiecznie zatrzymać się, by odpocząć i pociągnąć łyk wody z tykwy. Raz już to zrobiła o świcie, na niższych skałach, gdzie wciąż łatwo było stać i przeszukać worek. Tu okazało się to znacznie trudniejsze. Godziny ćwiczeń z utrzymywania równowagi bardzo się teraz przydały. Stojąc bokiem na półce nie szerszej niż dwie złączone stopy, powoli przekręciła worek, by móc sięgnąć do środka i wyciągnąć tykwę. Pijąc, trzymała ją ostrożnie oburącz, a potem schowała z powrotem i wyjęła z worka rękawiczki. Teraz będzie ich potrzebować.

Gdyby utrzymanie równowagi na wąskiej krawędzi wymagało rąk, nie zdołałaby się napić. Ale jej ciało potrzebowało wody, a Einar dobrze ją przygotował. Przekręciwszy worek z powrotem między łopatki, stanęła mocno i pewnie i naciągnęła rękawiczki. Potem powoli rozwinęła linę.

To doprawdy zdumiewające, że tylko raz pokonawszy tę drogę – a potem w dół, więc może można to liczyć jako dwa razy, wówczas jednak był ranny i raczej z trudem zapamiętywał półki i uchwyty – Einar zdołał odtworzyć ją dla Klary. Wyobraziła go sobie siedzącego samotnie w chacie przez te wszystkie lata, raz po raz wdrapującego się w myślach, każdej nocy tworzącego mapę urwiska.

„Tu musisz zatrzymać się i popatrzeć uważnie przed siebie i lekko w górę w poszukiwaniu następnego uchwytu”.

„W tym miejscu natrafisz na obłuzowany kamień. Zwodzi oko. Nie stawiaj stopy na półce. Nie utrzyma cię”.

„Tutaj gniazdowała mewa. Pomacaj pod gniazdem przez gałązki, znajdziesz tam uchwyt”.

„Tu użyj liny”.

„Teraz wymacaj skałę stopami”.

„Nie patrz w dół”.

Znajdowała się na wysokości, na której kazał użyć liny. Musiała odszukać miejsce przed sobą i w górze, w którym ze szpary w skalnej ścianie sterczy karłowate drzewko. Pod nim leży półka. Między miejscem, w którym stała, balansując na krawędzi, a tym pod drzewem nie ma żadnego uchwytu ani wsparcia. Musiała zatem zarzucić na drzewo pętlę z liny i za jej pomocą pokonać szeroki kawał pionowej skały.

Zręcznie zawiązała pętlę. Przed sobą w górze ujrzała karłowate drzewo; zmierzyła je wzrokiem, oceniając, jak duża musi być pętla. Einar uprzedzał, że przez te lata drzewo mogło urosnąć, możliwe, że potrzebny będzie dłuższy kawałek liny, by przesunąć ją nad pokrzywionymi gałęziami i zacisnąć wokół poskręcane go pnia.

Klara widziała jednak, że drzewo w ogóle nie urosło, zamiast tego poczerniało, jedna z gałęzi zwisała krzywo, martwa, odszczepiona od pnia. *Piorun*, pomyślała Klara. *Musiał w nie trafić piorun.*

Usiłowała sprawdzić miejsce, w którym korzenie wyłaniały się ze skały. Czy one też się rozszczepiły? Czy wytrzymają? Lecz gruby węzeł pnia ukrywał je przed jej wzrokiem.

Einar uprzedzał, by nie patrzyła w dół. Czowała pokusę, by to zrobić, sprawdzić, co się stanie, jeśli drzewo ją zawiedzie, jeżeli złamie się pod jej ciężarem, posyłając ją w przepaść. Ale usłyszała w głowie jego głos: „Myśl tylko o wspinaczce. Myśl o tym, nad czym możesz zapanować”.

Nie mogła zapanować nad drzewem ani poczerniałym, rozszczepionym pniem. Nie mogła zapanować nad mocą skłębionych korzeni, łączących je z urwiskiem.

Nauczył ją natomiast panować nad własnym ciałem: ramionami, dłońmi, palcami, stopami i nogami. Za ich pomocą mogła kontrolować linę. Odmierzyła ją, przesuwając w okrytych rękawiczkami rękach, aż w końcu uznała, że wystarczy. Potem zaczęła splatać pętlę. Jakże często ćwiczyła to z Einarem!

Teraz. Cisnęła ją i zwoje zaczęły rozwijać się między jej dłońmi. Lina wystrzeliła naprzód niczym wąż. Klara widziała kiedyś, jak łapał mysz zastygłą ze zgrozy. Wąż zabił ją w ułamku sekundy. Sama rzuciła równie celnie, ale zrobiła za małą pętlę, która utknęła na końcu drzewka, ale nie owinęła się całkiem wokół niego; zaczepiła się w rozwidleniu niewielkiej gałęzi.

Klara szarpnęła linę i ku jej uldze gałązka, o którą zahaczyła, trzasnęła, uwalniając pętlę. Szybko zebrała z powrotem linę i znów luźno zwinęła. Ponownie zawiązała pętlę, tym razem nieco większą, i raz jeszcze okręciła w palcach.

W myślach przywołała obraz węża: jego oczy, celność, błyskawiczny, trafiony cios. Ponownie zakręciła liną i rzuciła, tym razem precyzyjnie jak wąż. Pętla opasała pień.

Klara zacisnęła ją, zaciągając wokół drzewa u podstawy, przy skale. Potem, wciąż balansując na wąziutkiej półce, obwiązała się liną w pasie. Teraz będzie musiała zejść z półki, utrzymać równowagę dzięki napiętej linie i przejść po pionowym, żyłkowanym granicie, wymacując drobne nierówności i chwytając je bosymi palcami stóp. Jeśli drzewo nie wytrzyma, jeżeli wyrwie je z korzeniami, spadnie wraz z nim i się zabije.

Myśl tylko o zadaniu. O wspinaczce.

Wyciągnęła nogę, przycisnęła stopę do ściany i wsparła mocno. Zacieśniając chwyt na linie, oderwała od półki drugą nogę. Przez jedną oszalałającą chwilę dyndała tak w powietrzu. Potem oparła stopę o skałę i stanęła pewnie. Drzewo wytrzymało. Przesunęła jedną stopę o cal, potem drugą. Drzewo wciąż się trzymało. Klara napięła

mocniej linę, przesunęła drugą stopę, a potem znów pierwszą. Powoli wędrując w bok, zbierała sznur w chronionych rękawiczkami dłoniach. Kiedy w końcu dotarła na wąską półkę pod drzewem i stanęła na niej mocno, odetchnęła głęboko. Stąd będzie szła w górę ukośną szczeliną, ale znajdzie w niej podpory dla stóp – widziała pierwszą tuż przed sobą – a na szczycie kolejne miejsce do odpoczynku. Z trudem zdjęła linę z drzewa i zwinęła. W tym niebezpiecznym miejscu nie zdołałyby schować rękawiczek do worka, wcisnęła je zatem pod linę na ramieniu, następnie sięgnęła ku pierwszemu skalnemu klinowi i na jednej ręce podciągnęła się do szczeliny.

Tutaj w cieniu było chłodniej. Klara zorientowała się, że zaczyna czuć zmęczenie. A było dopiero wczesne popołudnie. Wciąż czekała ją długa droga.



Pokonanie wąskiego, cienistego tunelu utworzonego przez szczelinę zabrało Klarze więcej czasu, niż przypuszczała. Tu nie groziła jej śmierć, w odróżnieniu od przeprawy na linie przez skalną ścianę. Pod stopami nie otwierała się przepaść. Klara przesuwiała się w górę ukośną szparą między dwiema skałami. Zalegający tu chłód pomagał, bo na urwisku panował straszny upał, a czasem słońce atakowało oczy, tak że widziała tylko błyski na granicy. Tu miała odwrotne problemy z widzeniem: gęsty mrok, któremu zawdzięczała chłód. Ale przypominało to nocną wspinaczkę w dole. Kierowała się dotykiem.

Zimno wiązało się także z wilgocią. Roztopiony śnieg ściekał do skalnego tunelu, a niewielki wylot nie pozwalał słońcu wysuszyć wody. Skalne ściany zatem były mokre i śliskie, dwa razy palce Klary zsunęły się z uchwytów i zjechała do tyłu, ześlizgując się w miejsce, przez które właśnie przeszła. Co chwila wycierała mocno dłonie o ubranie, ale materiał też nasiąknął wodą. W końcu uznała, że musi włożyć rękawiczki, wcisnięte pod zwój liny. Kiedy jednak je wyciągnęła, okazało się, że ma tylko jedną, druga wysliznęła się i gdzieś upadła. Na moment Klarę ogarnęła rozpacz, potem jednak w głowie zabrzmiały jej słowa Einara: kiedy coś pójdzie nie tak – a z pewnością tak się stanie – masz zatrzymać się i zastanowić, a potem znaleźć jakiś sposób.

Położyła się ukośnie w tunelu, zakotwiczona zapartymi o ściany nogami, i zaczęła myśleć. Potem wsunęła rękawiczkę na prawą dłoń, odwróciła się, złapała następny uchwyt, ten, z którego zjechała, i zawisała tam. Rękawiczka ułatwiała zadanie, była bowiem gruba i szorstka. Mimo wilgoci dobrze się trzymała – chwilowo Klara była bezpieczna. Zaczęła przesuwać stopy, cal za caliem po obu stronach, aż w końcu ją utrzymały.

Potem powoli, ostrożnie zdjęła rękawiczkę, nałożyła na drugą rękę i sięgnęła dalej, szukając następnego uchwytu. Przytrzymała się go i ponownie zaczęła przestawiać nogi. W ciemności obmacywała ścianę drugą ręką, próbując znaleźć następny uchwyt. Gdy nań natrafiła, ostrożnie znów przełożyła rękawiczkę, by móc się przytrzymać. Był to boleśnie powolny proces, ale przynajmniej przesuwała się w górę, zamiast zjeżdżać w dół. Daleko przed sobą widziała plamę słońca – otwór, przez który wyłoni się z powrotem na urwisko. To tam znajdzie duże gniazdo. Musi sięgnąć pod ciężką konstrukcję z gałązek i poszukać uchwytu. Stamtąd przejdzie na serię skalnych występów, tworzących coś jakby stopnie.

Gniazdo. Stopnie. Gniazdo. Stopnie. Zaczęła mamrotać raz po raz, nadając dwu słowom rytm, który pomagał jej przesuwać się w górę i naprzód. Pozwalał skupić się na czymś, gdy kontynuowała rozpaczliwie powolną wspinaczkę między ciemnymi, mokrymi ścianami.



Wyłoniwszy się z osłoniętej szczeliny w skalnej ścianie, Klara ponownie ujrzała przed sobą strome urwisko, pewną śmierć, gdyby z niego spadła. Ucieszyła się, widząc tuż przed sobą gniazdo, o którym opowiadał Einar. Wstrzymała oddech, potem pochyliła się, wyciągając rękę, i oderwała kilka zaschniętych wodorostów tworzących część konstrukcji. Wytarła o nie spocone ręce, potem wepchnęła do rękawa.

„Sięgnij pod gniazdo – poleciał Einar. – Jest tam uchwyt”.

Posłuszna instrukcjom pochyliła się naprzód. Gniazdo. Potem stopnie.

Atak nastąpił szybko, boleśnie, bez ostrzeżenia. Z tyłu i z góry opadło coś wielkiego, dźgając ją gwałtownie za uchem. Poczowała krew ściekającą po karku.

Z jękiem wycofała się do tunelu, przytrzymując się stopami zapartymi o skalne ściany. Przycisnęła do rany kłęb wodorostów, ale wciąż czuła pulsowanie krwi.

Natychmiast zrozumiała, z czym ma do czynienia. Einar wspinał się w zimie. Wówczas gniazdo było puste. Teraz musiały w nim siedzieć pisklęta. Tak. Wyteńczyła słuch i usłyszała ciche, piskliwe krzyki. Wyjrząwszy na zewnątrz, dostrzegła cień krążącej w górze mewy.

Góra koszuli nasiąknęła krwią, lecz powoli rana przestała krwawić. Klara ostrożnie uniosła zaimprovizowany opatrunek. Świetnie. Teraz wyciekało już tylko kilka kropel. Ostry ból złagodniał. Wiedziała, że później powróci ze zdwojoną siłą, ale teraz nie zamierzała się tym martwić. Przede wszystkim musiała wymyślić, jak sięgnąć pod gniazdo, wykorzystać jakże ważny uchwyt i dotrzeć na skalne występy, dzięki którym pokona ostatni odcinek do szczytu.

Sprawdziwszy nogi i zaparte o ściany stopy, by mieć pewność, że nie zjedzie w głąb tunelu, Klara sięgnęła do worka i wyjęła tykwę z wodą. Pociągnęła głęboki łyk. Potem przypomniała sobie maść, którą Alys wcisnęła na dno worka. Jeśli schowa tykwę, nie zdoła dosięgnąć do lekarstwa. Ale nie miała gdzie odłożyć pojemnika z wodą. Potrząsnęła nim i uświadomiła sobie, że zostało jej bardzo mało. W końcu wiedząc, że ryzykuje, osuszyła resztę płynu i wrzuciła pustą tykwę do tunelu, który właśnie pokonała. Słyszała, jak z głuchym łoskotem uderza o ściany; potem zapadła cisza.

Teraz mogła sięgnąć do worka. Najpierw wyciągnęła sandały, związane razem rzemieniami. Powiesiła je sobie na szyi i znalazła pojemnik z maścią. Łatwo się otworzył i szybko wysmarowała ranę grubą warstwą pasty. Potem schowała do pustego, dyndającego z ramion worka niewielki gliniany słój i kłęb zakrwawionych wodorostów.

Była gotowa do podjęcia kolejnej próby. Cień mewy przestał przepływać nad wylotem tunelu; miała nadzieję, że ptak odleciał nad morze i wróci dopiero z dziobem pełnym ryb dla piskląt. Klara uznała, że załatwi to szybko. Zaplanowała w umyśle

każdy ruch. Wychyli się z otworu, rzuci naprzód po stromej skale i szybko złapie uchwyt pod gniazdem. Stamtąd będzie musiała już tylko podciągnąć się i znaleźć pierwszy stopień po drugiej stronie. Einar mówił, że jest dość blisko. Łatwo go osiągnąć. Wszystko przemyślała.

Raz. Wynurzyć się prędko z wylotu tunelu.

Dwa. Sięgnąć lewą ręką, wyciągając ją wzdłuż skały, tuż pod gniazdo i mocno chwycić drobny występ.

Trzy. Odepchnąć się rękami, wisząc na jednej z nich (jakże teraz dziękowała Einarowi za wiele miesięcy wzmacniających ćwiczeń!), przesunąć się po urwisku, stopami wymacywać niewielkie występy – pomogą.

Cztery. Znaleźć pierwszy stopień, sięgnąć do niego prawą ręką. Wówczas będzie mogła zabrać lewą spod gniazda i zostawić za sobą miejsce, w którym mewa uzna ją za zagrożenie.

Czas zaczynać. Z przelotnego spojrzenia w niebo, gdy próbowała wcześniej sięgnąć do gniazda, tuż przed atakiem, oceniała, że jest już późno. Musi załatwić to jak najprędzej. Kiedy minie niebezpieczne miejsce, cel znajdzie się w zasięgu i zdoła dotrzeć do niego przed zmrokiem.

Ruszaj!

Klara dźwignęła się i uklękła w wylocie tunelu. Wyciągnęła szybko lewą rękę, zagłębiając ją w śmieci tworzące grubą podstawę gniazda. Znalazła wypukły uchwyt i złapała mocno. Ptasie piski zabrzmiały głośniejsze, maluchy szalały ze strachu.

Trzymając się kurczowo lewą dłonią i czując siłę w ręce, która przez moment miała stanowić jej jedyne oparcie, zaparła się stopami i odepchnęła wzdłuż skały.

Z nieba ze złożonymi czarnymi skrzydłami atakowała mewa, wezwana krzykami piskląt. Klara widziała różowe nogi przyciśnięte do białego pierzastego brzucha i czerwoną plamę na czubku ostrego jak brzytwa, żółtego dzioba. Trwało to zaledwie ułamek sekundy. Mewa przebiła jej rękę, szarpnęła, oderwała od uchwytu. Klara z krzykiem poleciała w głąb tunelu, instynktownie ponownie klinując się stopami między ścianami.

Mocno krwawiła. W sporej ranie zadanej przez ptaka, który wyrwał dziobem kawałek ciała, widziała kość przedramienia.

Rozdygotana pochyliła głowę jak najniżej, oddychając głęboko. Gdyby zemdlała, zsunęłaby się na koniec tunelu, którego pokonanie zabrało jej kilka godzin.

Nie pozwoli sobie na omdlenie.

Nie pozwoli, by zabił ją ptak.

Nagle zrozumiała, co musi zrobić.

Znów wyjęła z worka pojemnik maści, otworzyła i zaaplikowała grubą warstwę na rozciętą rękę. Użyła maści jako pasty, na której przykleiła do rany kłęb wodorostów. Mimo to nadal krwawiła. Słoiczek był już pusty, toteż upuściła go, słysząc, jak spada, podobnie jak wcześniej tykwa. Znów sięgnęła do worka; nie znalazła tam niczego prócz kamyka z czerwoną tkaniną, mającego posłużyć za sygnał, gdy dotrze na szczyt. Złapała go w zęby, nożem przecięła worek i zrobiła ze skóry pas. Przyłożyła płaski kamyk do wodorostów, przycisnęła mocno i przewiązała pasem skóry, okręcając nim ciasno zranione przedramię. Sprawdziła, jak wyszło, poruszając ręką na różne strony – opatrunek wytrzymał. Potem upuściła zniszczony worek w głąb tunelu, gdzie zniknął w

ciemności.

Teraz przesunęła się na samą górę. Mewa wciąż krążyła, czekała. Klara nie zwracała na nią uwagi, rozwinęła linę okręconą wokół ramienia. Zrobiła pętlę.

Potem raz jeszcze powtórzyła w głowie cały plan. Przećwiczyła go w myślach, krok po kroku: ten ruch, potem tamten. Wiedziała, że musi działać bardzo, bardzo szybko. Kolejny udany atak mewy siodłatej oznaczałby dla niej śmierć. Nie mogła na to pozwolić.

Kiedy była gotowa, pomyślała: *Teraz*. Wysunęła z wylotu tunelu górną część ciała, zakręciła pętlą i wypuściła linę. Odległość była niewielka, a rzut celny. Pętla owinęła się wokół gniazda i zacisnęła. Klara szarpnęła. Okazało się zaskakująco ciężkie jak na konstrukcję z patyków, wodorostów i trawy. Ale po chwili zgmiotło się, złożyło do środka i Klara oderwała je od skały, ciskając w powietrze. Przez chwilę patrzyła, jak wraz z piskletami spada w przepaść. Olbrzymia mewa pomknęła za nim z wrzaskiem. Wówczas Klara uniosła się, sięgnęła naprzód zdrową ręką i triumfalnie przeciągnęła się aż do stopni, które doprowadzają ją na szczyt.



Klara leżała, dysząc, na twardej ziemi. Było ciemno. Atak mewy kosztował ją sporo cennego czasu i gdy dotarła do stopni ostatniego etapu wspinaczki, zapadał już zmierzch. Einar uprzedzał: „Nie patrz w dół”, bo ów ostatni etap, choć stosunkowo łatwy dzięki osobliwym skalnym występom, dającym oparcie stopom, odbywał się nad pionową, głęboką przepaścią. Gdyby spojrziała i pojęła, jak daleko musiałyby spadać, z pewnością by się przeraziła. Utrata odwagi i determinacji na samym końcu wspinaczki – tego właśnie obawiał się Einar. Teraz jednak wstała i spojrziała z góry, widząc wyłącznie ciemność. Nad nią na niebie migotały niezliczone gwiazdy.

Pomacała ranę na szyi. Pokryta zaschniętą krwią bardzo bolała, ale Klara uznała, że to nic poważnego: widywała gorsze obrażenia u dzieci, które wywróciły się na kamieniach. Większy problem stanowiła ręka. Ostrożnie odwiązała ciasno zaciągnięty pas skóry i upuściła go. Płaski kamyk przylepił się do wodorostów – oderwała go delikatnie. Czerwony materiał miał stanowić znak, że Klara bezpiecznie dotarła do celu. Zastanawiała się, czy Einar dostrzeże na nim także plamę jej krwi. Na moment uniosła go do ust, próbując przekazać wiadomość: podziękowanie, pożegnanie; a potem rzuciła kamyk, najmocniej jak umiała, w noc poza krawędzią przepaści.

Zostawiła wodorosty na pulsującej ranie i ponownie obwiązała ją kawałkiem skóry, zaciągając węzeł zębami i prawą ręką. Potem nałożyła sandały. Einar mówił, że ma tu poczekać aż do świtu. O świcie zjawi się mężczyzna, dziwny człowiek w czarnym płaszczu. To on zaprowadzi ją do syna. Einar nie miał pojęcia jak, wiedział tylko, że ów człowiek dysponuje specjalną mocą. Przybywał do ludzi potrzebujących pomocy i ofiarowywał ją.

Klara miała odpowiedzieć twierdząco na jego pytanie. Poda jej cenę. Einar mówił, że musi zapłacić. Nie będzie miała wyboru. Odmowa spowodowałaby na nią straszliwą karę. Einar to wiedział. Mężczyzna podszedł do niego, ocenił, jak rozpaczliwie zmarzł podczas wspinaczki, dostrzegł, że palce ma białe od mrozu, i zaproponował – za cenę, którą uzgodnią – że zapewni mu ciepło, wygody i transport w dowolnie wybrane miejsce. Propozycja była kusząca, lecz Einar, wyniosły i dumny, odmówił.

„Nie potrzebuję cię – rzekł. – Jestem silny. Sam się wspiałem”.

Mężczyzna powtórzył propozycję.

„Ostatnia szansa – uprzedził. – Zapewniam, że możesz sobie pozwolić na zapłatę. Uczciwa wymiana”.

Ale Einar, nieufny, ponownie odmówił. Nagle, bez ostrzeżenia, spostrzegł, że leży na ziemi, powalony i osłabiony tajemniczą mocą przywołaną przez mężczyznę. Tkwił tam, nie mogąc się ruszyć, i patrzył ze zgrozą, jak tamten sięga pod płaszcz, wyciąga lśniąca

siekiere i odrąbuje mu pół prawej stopy. A potem odchodzi.

I na tego właśnie człowieka Klara miała zaczekać i zgodzić się na wymianę.



Ostrożnie odsunęła się od krawędzi, wymacując drogę w ciemności, aż dotarła na kępę mchu pod krzakami. Ułożyła się tam i wyczerpana zapadła w głęboki sen. Kiedy mężczyzna się zjawił, był ranek, a ona wciąż spała. Dotknął jej ręki i obudziła się.

– Cóż za nadobne oczy – rzekł, gdy je otworzyła.

Klara zamruwała. Spojrzała na niego. Nie wyglądał tak, jak się spodziewała. Był zupełnie zwyczajny. Z jakiegoś powodu oczekiwała kogoś potężnego. Rosłego. Przeróżającego. Zamiast tego mężczyzna miał wąskie ramiona, chudą sylwetkę, niezdrową żółtawą cerę i starannie przystrzyżone ciemne włosy. A jak na tak bezludne i ponure miejsce – rozejrzała się i widziała jedynie pustkowia – wybrał osobliwy strój, w nieznanym jej dotąd stylu. Poza płaszczem opisanym przez Einara nosił obcisły czarny garnitur, spodnie z ostrymi kantami, a na nogach wypolerowane do połysku buty z miękkiej skóry. Na dłoniach miał rękawiczki, nie robione na drutach jak te, do których przywykła zimą, ani szorstkie, pomagające uchwycić linę w czasie wspinaczki. Czarne rękawiczki mężczyzny uszyto z cienkiej, jedwabistej tkaniny, doskonale opinającej smukłe palce.

Jego dłonie w rękawiczkach przerażały Klarę. Sięgał po jej rękę i nie chciała, by jej dotykał owymi giętkimi palcami w jedwabiu. Cofnęła się i potarła oczy (Nadobne oczy? Co to w ogóle znaczyło?), a potem podniosła się bez pomocy i wstała.

Postąpił krok w tył, przyglądając się jej. Nagle się uklonił; wąskie usta wygięły się w pozbawionym wesołości uśmiechu.

– Jak sądzę, masz na imię Klara – rzekł – i może moja obecność cię zaskoczyła. Pozwól, że...

– Nie – przerwała mu. – Uprzedzono mnie, że tu będziesz.

Widziała, jak zirytowało go to, że nie pozwoliła mu skończyć, ale czuła się krucha i upokorzona, stojąc tak w poszarpanym ubraniu, krwawiąc z ran i potrzebując jego pomocy. W jakiś sposób chciała odzyskać inicjatywę.

– Istotnie. Pozostaję do usług, gotów wypełnić twoje życzenia za cenę, którą wynegocjujemy ku obopólnemu zadowoleniu.

Klara wyprostowała się.

– Rozumiem to – odparła i dostrzegła, jak znów zeszywniał z irytacji. Chciał, żeby była słaba, w potrzebie. Przysięgła sobie, że tak się nie stanie. – Zdajesz sobie sprawę – podjęła – że nie mam niczego cennego, co mogłabym ci dać.

– Pozwólmy, że ja to osądzę. – Teraz przemawiał złowieszczym szeptem.

– Jeśli chcesz – odparła Klara.

– Zatem zacznijmy. Podejmijmy negocjacje. Spróbujmy ustalić, cóż takiego pragniesz osiągnąć bądź zdobyć. Co mogę ci dostarczyć za jeszcze nieustaloną cenę.

Czuła, jak jej determinacja słabnie. Gdy wymówiła następne słowa, jej głos się załamał.

– Mam syna. Chcę znaleźć swojego syna.

– Syna! Jakież to słodkie, miłość matki to taka rozkoszna cecha. Nie pragniesz zatem

bogactw ani romansu, lecz jedynie... swojego syna? – Sposób, w jaki wymówił to słowo, z sykiem i drwiną, sprawił, że zrobiło jej się niedobrze.

– Słyszałam, że możesz mi pomóc.

– Właściwie cię poinformowano. Dokładnie i precyzyjnie. Ale! Musimy najpierw ustalić zapłatę, coś na wymianę. Syn w zamian za...

Postarała się mówić możliwie stanowczo.

– Niczego nie posiadam. Sam widzisz. Miałam nadzieję...

Ku jej zgrozie wyciągnął rękę i chwycił garść długich włosów Klary. Wzdrygnęła się.

– A to niby co? Masz piękne włosy. Rzekłbym: bujne sploty. Pachną tak słodko mimo niedawnych trudów. I to nazywasz niczym?

Wsunął twarz w jej włosy i wciągnął głęboko powietrze. Jego oddech cuchnął, Klara zmusiła się, by nie odskoczyć z obrzydzeniem. Wykręcał jej włosy w dłoni i zadawał ból, ale nie ustępowała. Czy tego właśnie pragnął? Tylko jej włosów? Bardzo proszę. Były brudne i potargane. *Chętnie się od nich uwolnię*, pomyślała.

On jednak rozprostował dłoń w rękawiczce, wypuścił garść loków i cofnął się, obserwując ją zmrużonymi, wąsko osadzonymi oczami. Kiedy ujrzała go po raz pierwszy, pomyślała: zwyczajny. Teraz widziała, że wcale nie jest zwyczajny, lecz mroczny i złowieszczy. Nie tylko jego oddech śmierdział; nagle spowił go ostry odór, tak gęsty, że niemal widoczny. Słowa zdawały się ściekać z pozbawionych warg ust.

– To niezbyt wygórowana cena, nie sądzisz? Głowa pełna miedzianych loków w zamian za żywego chłopca? Syna?

Czy wyobraziła to sobie, czy też jego język poruszał się bardzo szybko, jak u węża, gdy wysyczał to słowo?

– Nie – odparła Klara. – Nie wydaje się to uczciwą wymianą, ale jak mówiłam, nie mam nic.

– „Nic” to takie żalosne słowo. Ale też ty sama jesteś żalosna. Ubrana w łachmany, z ropiejącym strupem na szyi. Mimo wszystko... – zawahał się – moją misją, powołaniem, motywacją, powodem istnienia jest tworzenie wymian. Coś za coś! Wzajemność!

Język znów śmignął naprzód, gdy mężczyzna wypowiedział słowo „wzajemność”. Klara zadrżała, lecz nie dała się onieśmielić.

– Zatem pragniesz swojego chłopca. Swojego syna. Powiedz, jak ma na imię.

– Przykro mi, nie jestem pewna, częściowo straciłam pamięć. Chyba nazywał się Babi.

– Babi? – W jego głosie dźwięczała pogarda. Klara miała wrażenie, że nie przeszła próby.

– Zaczekaj! – rzuciła. – Może Abi! To było tak dawno temu, możliwe, że nazywał się Abi!

– Abi, Babi... – Mężczyzna zakołysał się cały, powtarzając śpiewnie te słowa. Potem umilkł, zbliżył się, pochylił i wyszeptał ostro: – Zaproponuję ci tę wymianę. Zrobię to tylko raz. Przyjmij ją albo nie. Gotowa?

Czekając ze zgrozą na to, co powie, Klara skinęła głową. Nie miała wyboru.

Upiornie gładką dłonią w rękawiczce chwycił ją za szyję, naciskając ranę tak, że ból przeszył ją całą, i przyciągnął do siebie twarz Klary. Znów poczuła cuchnący oddech.

– Chcę dostać twoją młodość – wyszeptał szorstko do jej ucha i jego ciepła ślina bryznęła na jej policzek. – Wymiana – wymamrotał, wciąż trzymając ją w upiornym

uścisku.

- Zgoda – wyszeptwała Klara.
- Powiedz to.
- Wymiana – oznajmiła głośno.
- Zrobione.

Wówczas ją wypuścił i odepchnął od siebie. Kiedy odwrócił się i odszedł, zrozumiała, że ma pójść za nim. Ku swemu zdumieniu odkryła, że idzie z trudem. Nogi miała słabe. Nie mogła łatwo się wyprostować. Czy naprawdę minęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny, odkąd musiała przeskoczyć z kamienia na kamień, wspinała się, chwytając i podciągała na pionowej skale?! Teraz zgarbiona szurała nogami i z trudem łapała oddech. Ledwie dotrzymywała kroku mężczyźnie maszerującemu szybko naprzód. Włosy opadły jej na twarz i kiedy sięgnęła, by je odgarnąć, dostrzegła, że jej dłoń się zmieniała, stała się żylasta i pokryta plamami; zauważyła też, że rozpuszczone włosy nie przypominają już gęstych, rudozłotych loków, które podziwiał parę minut temu. Teraz były rzadkie, szorstkie i siwe.

Mężczyzna przystanął, obejrzał się za siebie i uśmiechnął złośliwie, widząc jej zdumienie.

– Rusz się, stara wiedźmo – rzucił. – A przy okazji... – Patrzył na nią z pogardą, gdy szurając nogami, okrążała głaz na ścieżce. – Imię twojego syna to Gabi. A moje? Moje imię – dodał z wyniosłym wrogim uśmiechem – brzmi Handlomistrz.

Księga III



Poza



Stara kobieta pojawiała się często. Nagle była tam w gęstych sosnach nad rzeką, przyglądając mu się przy pracy. Gabi dostrzegał ją, widział ciemne, zgrzebne ubranie, pochyloną sylwetkę i przejmująco czułe spojrzenie. Potem jednak cofała się i znikła w ocienionym zagajniku. Kiedy obracał się i oglądał, już jej nie zauważał, nawet szepczącego poruszenia wśród iglastych gałęzi, między którymi przeszła. Po prostu znikła. Czasami miał ochotę ją zawołać, spytać, kim jest, dlaczego go obserwuje. Ale z jakichś powodów onieśmielała go.

Widywał ją też w Wiosce, lecz rzadziej, bo zwykle towarzyszyli mu koledzy. Wraz z innymi chłopcami, grupą, z którą mieszkał, siłowali się, żartowali, próbowali zasłużyć na miano najmądrzejszych bądź najsilniejszych, razem maszerując do szkoły lub z powrotem. Czasami mieszkańcy Wioski narzekali na nich i ich głośne zabawy, mówili, że hałasują, nie zważają na innych i są najgorszą bandą niedorostków, jaka kiedykolwiek żyła w chacie chłopców. Jedna sąsiadka nazwała ich łobuzami, gdy pozrywali śliwki z drzewa przy jej domku i rozgnietli na ścieżce.

Ta natomiast staruszka, choć często kręciła się w pobliżu, nigdy nie spoglądała gniewnie na grupkę chłopców, nie upominała ich za zachowanie. Po prostu patrzyła. Robiła to od bardzo dawna i Gabi odnosił wrażenie, że głównie przygląda się jemu. To go dziwiło.

Od czasu do czasu zastanawiał się, czy nie użyć swej mocy – no, nie wiedział do końca, jak to opisać, ale w duchu nazywał ją „zbaczaniem” – by dowiedzieć się więcej: kim jest, dlaczego mu się przygląda. Ale nigdy tego nie zrobił. Moc budziła w nim niepokój; zbaczanie było męczące, bolesne i nieco przerażające. Choć zatem wypróbowywał ją od czasu do czasu, sprawdzając, czy wciąż tam jest (i zawsze była, choć czasami bardzo tego żałował), próbując ją zrozumieć (ale nigdy nie rozumiał, nie do końca), rzadko korzystał z niej w pełni.

Zresztą staruszka już odeszła. Ze złością pomyślał o czasie zmarnowanym na rozmyślanie o tej kobiecie, skoro miał jeszcze tak wiele do zrobienia. Gabi z westchnieniem rozejrzał się po polanie nad rzeką, miejscu, które zawłaszczył do swej pracy i w którym spędzał teraz całe dni. Bose stopy zagłębiały się w trocinach. Uśmiechnął się do siebie, bo zorientował się, że jego twarz pokrywa drzewny pył pozlepiany potem. Obliznął wargi i poczuł smak cedru.

Deski, które ciął tak starannie, tworzyły równy stos, narzędzia natomiast leżały porozrzucane, a sądząc po ciemniejących chmurach, zanosilo się na deszcz. W dali usłyszał grzmot. Czas schować wszystko do szopy. Ale nawet zbierając narzędzia, krążąc tam i z powrotem, by ukryć je w prymitywnym, rozklekotanym szałasie między

dwoma drzewami, wciąż powracał myślami do starej kobiety.

W niewielkiej Wiosce nie było zbyt wielu tajemnic. Gdy przybywali nowi mieszkańcy, zawsze odbywała się ceremonia powitalna. Opowiadali swoje historie. Jej historii nie pamiętał, ale wówczas był pewnie dzieckiem – od lat widywał tę dziwną staruszkę, czuł na sobie jej wzrok, odkąd był małym chłopcem. I rzadko uczestniczył w powitaniach. Niektóre historie były nawet ciekawe, zwłaszcza jeśli pojawiało się w nich niebezpieczeństwo i ucieczka w ostatniej chwili. Lecz ludzie zwykle gadali i gadali, czasami też zaczęli płakać, a to go krępowało.

Przestanę być nieśmiały, pomyślał. Kiedy następnym razem zauważę, że gapi się na mnie tak jak teraz, po prostu się przedstawię. Wówczas będzie musiała powiedzieć mi, kim jest.

Nagle zaczęło padać. Gabi zamknął krzywe, naprędce sklecone drzwi szopy, którą zbudował ze starych desek. Na moment zerknął poprzez coraz mocniejszy deszcz na kępę drzew, w której od czasu do czasu pojawiała się kobieta. Potem zapiął haczyk na drzwiach szopy i wrócił biegiem do skąpanej w deszczu Wioski.



– Jak idzie praca nad łodzią? – To był Simon, jeden z przyjaciół Gabiego; stał na werandzie chaty chłopców, gdy Gabi wspiął się po schodach i potrząsnął głową, próbując pozbyć się choć części wody z kręconych włosów.

– Chyba dobrze. Powoli.

Wszedł do środka, żeby przebrać się w coś suchego. *Wkrótce pora kolacji, pomyślał.* W Wiosce nie mieli zegarów, ale dzwon na wieży odzywał się w równych odstępach, a ten oznaczający popołudnie zabrzmiał jakiś czas temu. Na półce w swoim kącie Gabi znalazł złożoną czystą koszulę i wciągnął ją przez głowę. Mokrą wrzucił do kubła w sieni.

Mieszkał w chacie chłopców z dwunastoma innymi nastoletnimi sierotami. Większość kolegów straciła rodziców z powodu choroby bądź wypadku, choć jeden, Tarik, został porzucony w niemowlęctwie przez nieodpowiedzialną parę, której nie interesowało wychowanie dziecka. Każdy z chłopców miał jakąś historię. Gabi także, ale nie lubił jej opowiadać, tkwiło w niej zbyt wiele niewiadomych.

Raz po raz wypytywał Jonasza. To Jonasz przywiózł go tu wiele lat wcześniej, kiedy Gabi był zaledwie maluchem.

– Dlaczego rodzice pozwolili ci mnie zabrać? – spytał.

– Ty nie miałeś rodziców – wyjaśnił Jonasz.

– Każdy ma rodziców!

– Nie w miejscu, w którym mieszkaliśmy. Tam było inaczej.

– A co z tobą? Miałeś rodziców?

– Miałem ludzi, których nazywałem matką i ojcem. Przydzielono mnie im.

– No a co ze mną?

– Ty jeszcze nie dostałeś przydziału. Stanowiłeś pewien problem.

Słyszając to, Gabi się uśmiechnął. Podobała mu się wizja sprawiania kłopotów. Miał wrażenie, że dzięki temu zyskuje przewagę nad innymi.

– Ale przecież musiałem mieć rodziców. Ludzie nie rodzą się ot tak, z niczego.

– Wiesz co, Gabi? Byłem wtedy ledwie chłopcem. Dzieci przybywały z domu opieki nad niemowlętami i trafiały do rodziców. Akceptowałem to. Nigdy nie znałem innego porządku. I nigdy nie pytałem, skąd się biorą.

Gabi zaniósł się gwałtownym śmiechem.

– Ha! Skąd się biorą dzieci? Każdy dzieciak o to pyta!

Wciąż się śmiał, ale Jonasz patrzył na niego z poważną, zatroskaną miną.

– Masz rację – rzekł powoli. – I pamiętam, że co roku wybierano kilka młodych dziewczyn, by zostały, jak to nazywano, „rodzicielkami”. To pewnie one musiały...

– Co się stało z rodzicielkami? Co się stało z moją rodzicielką?

– Nie wiem, Gabi.

– Nie chciała mnie?

Jonasz westchnął.

– Nie wiem, Gabi. To był zupełnie inny system...

– Dowiem się.

– Jak?

Gabi był wówczas bardzo młody, ledwie skończył dziewięć lat. Ale odpowiadając, dumnie wypiął pierś.

– Wrócę tam. Nie możesz mnie zatrzymać. Znajdę sposób.



Teraz, kiedy chłopcy wyprowadzili się z miejsca dla dzieci, gdzie spędzili pierwsze lata, i trafili do chaty chłopców, ich zainteresowania się zmieniły i rzadko rozmawiali o dawnych czasach. *To dziewczyny tak robią*, pomyślał Gabi. Słyszał, że w chacie dziewcząt mieszkanki rozmawiają do późnego wieczora, raz po raz powtarzając innym swoje historie. U chłopców natomiast rozmowy obracały się wokół szkoły, sportów albo przyszłości, nie dawnych czasów.

Mieszkańcy chaty chłopców tworzyli zgodną grupę – wieczorami razem odrabiali lekcje, wspólnie jadali posiłki, szykowane przez dwóch kucharzy w kuchni. Kierownik chaty, życzliwy mężczyzna zajmujący pokój w budynku, pomagał rozstrzygać rzadkie spory między chłopcami. Można było zwrócić się do niego ze swoimi problemami. Ale Gabi często marzył, że mieszka w domu z rodziną, tak jak jego najlepszy przyjaciel Nathaniel. Nathaniel miał rodziców i dwie siostry; w całym ich domu dźwięczały kłótnie i śmiechy.

Wyglądając przez okno i deszcz, który niemal przestawał już padać, widział dom Nathaniela, stojący nieco dalej, przy krętej ścieżce. W ogródku rosły bujne letnie kwiaty. I gdy tak patrzył, drzwi otworzyły się i ktoś wypuścił szarego kota. Ten, jak to mają w zwyczaju koty, natychmiast rozsiadł się na niewielkim ganku i zaczął lizać łapy. Należał do Deidre. Gabi próbował przypomnieć sobie jego imię; widział roześmianą siostrę Nathaniela, gdy mu je mówiła, ale samo żartobliwe miano umknęło mu z pamięci. Łaskotka? Rzekotka? Nie. Ale coś podobnego. Deidre uwielbiała zabawy słowne.

No i była ładna. Gabi zarumienił się lekko, zawstydzony własnymi myślami. Przyglądał się kotce w nadziei, że w drzwiach pojawi się dziewczyna. Może usiądzie i zacznie głaskać szare futro. Terkotka! Tak się nazywała. Wyobraził sobie Deidre, jak

głaszczkę Terkotkę, patrzy w dal i myśli – o nim? Może? Czy to w ogóle możliwe? Nagle pojął, że oczywiście mógłby w nią zboczyć i przekonać się. Ale może tak naprawdę wolał nie wiedzieć. A poza tym nie miał czasu. Zaraz odezwie się dzwon kolacyjny, pozostali chłopcy, roześmiani i hałaśliwi, zjawią się w sieni.

Poza tym, upomniał się w duchu Gabi, odpychając myśli o ładnej, ciemnowłosej siostrze Nathaniela, to nie byłoby uczciwe wobec niej, nawet gdyby dowiedział się, że faktycznie jej na nim zależy. Bo nie powinno. Wkrótce zakończy pracę nad łodzią. A wtedy odejdzie.



Wiesz, że buduje łódź?

Kira przytaknęła. Właśnie położyła dzieci spać. Były tak żywe, tak ciekawe wszystkiego. Teraz, gdy Annabella umiała chodzić, dreptała wszędzie za swym dwuletnim bratem Matthew, towarzysząc mu w psotach. Wieczorami Kira padała ze zmęczenia. Zabrała kubek z herbatą, odstawiła laskę i usiadła obok Jonasza, którego wyraźnie coś dręczyło.

– Wiem. Byłam tam, kiedy przyszedł po książki, pamiętasz?

Jonasz zerknął na ściany pokoju: pokrywały je sięgające od podłogi do sufitu regały z książkami. I nie tylko w tym pomieszczeniu, ale we wszystkich innych w domu, który dzielił z rodziną. To jedna z rzeczy, których próbowali teraz nauczyć dzieci: nie ściągać książek z półek. Jaskrawe kolory okładek stanowiły dla maluchów ogromną pokusę. Pamiętał, jak szczeniak robił to samo i raz po raz znajdowali stojące nisko tomy z nadgryzionymi rogami. Teraz Brykaś osiągnął wiek średni, utył, rozleniwił się i nie musiał już nieustannie żuć. Większość dnia przesypiał, pochrapując na swym złożonym kocu, a ściągnięciem i gryzieniem zajmowały się maluchy.

– Zawsze wiedziałem, że nadejdzie ten czas – powiedział. – Kiedy był znacznie młodszy, oznajmił, że wyruszy na poszukiwanie własnej przeszłości.

Kira znów przytaknęła.

– Oczywiście, że go ciekawi. Dopiero następne pokolenie, nasze dzieci, urodzone tutaj, przestaną czuć zew przeszłości.

Oboje, jak niemal wszyscy w niewielkiej Wiosce, pochodzili skądinąd, skądś uciekli, umknęli przed jakimiś problemami. Jonasz wstał, wyjrzał przez okno w noc. Kira rozpoznała to spojrzenie – jej mąż zawsze czuł potrzebę kierowania wzroku na zewnątrz. W ten sposób próbował odnaleźć odpowiedzi. To właśnie zauważyła w nim jako pierwsze: przenikliwe błękitne oczy. Wciąż zdawał się spoglądać poza to, co oczywiste. Na początku ich wspólnego życia, gdy Jonasz był Przywódcą, często przywoływał owe wizje, szukając rozwiązań problemów. Problemy jednak zniknęły, Wioska prosperowała i Jonasz przekazał przywództwo innym, by móc spokojnie żyć z rodziną.

Pozostał natomiast opiekunem książek i wiedzy. Był uczonym i bibliotekarzem i to do Jonasza niedawno zwrócił się Gabi, szukając książek z rycinami i instrukcjami, by móc nauczyć się budowy łodzi.

Teraz westchnął, odwracając wzrok od ciemności spowijającej Wioskę.

– Martwię się o niego.

Kira odłożyła robótkę, podeszła do męża, objęła go w pasie i spojrzała w owe

poważne oczy, równie błękitne jak jej własne.

– Oczywiście, że się martwisz. Ty go tu sprowadziłeś.

Wiele lat wcześniej Jonasz, wówczas sam ledwie chłopiec, przyniósł Gabriela – niemowlę bez przeszłości, dziecko zasługujące na przyszłość – do tej wsi, która przyjęła ich bez żadnych pytań.

– Był taki mały. I nie miał nikogo.

– Miał ciebie.

– Byłem tylko chłopcem. Nie mogłem zostać jego rodzicem, nie wiedziałem, co to oznacza. Ludzie, którzy mnie wychowali, starali się jak mogli, ale dla nich to była tylko praca. – Jonasz westchnął, wspominając parę, którą nazywał matką i ojcem. – Pamiętam, że kiedyś spytałem ich, czy mnie kochają – dodał.

– I?

Pokręcił głową.

– Nie wiedzieli, co to znaczy. Powiedzieli, że to słowo pozbawione znaczenia.

– Ale się starali – rzekła po chwili Kira, a on przytaknął.

– Gabi jest teraz starszy niż ja, kiedy go tu przywiozłem – dodał Jonasz. – Silniejszy. Odważniejszy.

– Ale nie tak przystojny. – Z uśmiechem uniosła rękę i przyglądała kosmyk jego włosów. Zwykle także odpowiedziałby uśmiechem, ale dziś twarz miał zmartwioną, a myślami przebywał gdzieś indziej.

– I jestem niemal pewien, że ma jakiś dar.

Kira westchnęła. Wiedziała, co to znaczy. Oboje z Jonaszem też posiadali dary. Czasami bywało to cudowne, ale też wiele od nich wymagało, a wiedza, kiedy należy ich użyć i jak, stanowiła poważne obciążenie.

– Martwię się, co znajdzie, jeśli wyruszy na poszukiwania – podjął Jonasz. – Pragnie rodziny, a tam jej nie ma. Był... – Marszcząc brwi, zaczął szukać odpowiednich słów. – Był tylko produktem fabrycznym – rzekł w końcu – jak my wszyscy.

Kira usiadła w milczeniu; opis ten zmroził jej krew w żyłach. W końcu odezwała się z namysłem.

– Wszyscy pochodzimy z trudnych miejsc – przypomniała.

– Ale ty miałaś matkę, która cię kochała.

– Owszem. Póki nie umarła. Wtedy zostałam zupełnie sama.

– Ale przynajmniej miałaś ją przez... ile lat?

– Prawie piętnaście.

– To niemal tyle, ile lat ma Gabi. Odczuwa tak wielką tęsknotę za czymś i martwię się, że nigdy tego nie znajdzie. Bo to nigdy nie istniało, ale...

Jonasz wstał i podszedł do okna. Kira patrzyła, jak wygląda w ciemność; za nim widziała sylwetki drzew kołyszących się lekko w powiewach nocnego wietrzyku na tle czarnego, bezgwiezdneho nieba.

– Ale co? – spytała, gdy milczał długą chwilę.

– Sam nie wiem. Wyczuwam tam coś. Coś związanego z Gabim.

– Coś niebezpiecznego? – spytała z obawą. – Jeśli kryje się tam coś groźnego, musimy go ostrzec.

– Nie. – Jonasz pokręcił głową; wciąż skupiał wzrok na czymś poza pokojem. – Nie. Nic mu nie grozi. Przynajmniej nie teraz. Ale wyczuwam obecność. Wydaje się

życzliwa, chyba... – Urwał. – Chyba coś... ktoś... go szuka. A może czeka? Czeką na niego? Obserwuje go?

Nie powiedział Kirze, co jeszcze czuł, bo sam tego nie pojmował i ponieważ nie chciał jej niepokoić. Ale gdzieś tam było też coś jeszcze, coś niewyraźnego na samym skraju świadomości, coś niepowiązanego z Gabim. I to coś wydawało się jakby znajome i bardzo niebezpieczne.



Z początku pomagali mu przyjaciele. Ale ten czas już minął. Teraz łowili ryby, grali w piłkę, szukali tradycyjnych letnich rozrywek podczas krótkich wakacji szkolnych. Podniecenie projektem Gabiego nie potraowało długo i stracili zainteresowanie, gdy pojęli, że nie zbija jedynie prymitywnej tratwy, na której mogliby wiosłować wzdłuż brzegu.

Gabi, nucąc pod nosem, odmierzał deski. W głowie miał niewyraźny obraz tego, jak powinny się łączyć. Ale choć w książkach, które pożyczył od Jonasza, znalazł najróżniejsze łodzie, od wielkich z wydętymi żaglami po długie, wąskie okręty napędzane przez rzędy siedzących przy wiosłach ludzi, brakowało w nich instrukcji co do budowy. Wiedział, że jego łódź będzie mała, zdolna zaledwie pomieścić jego samego i zapasy. Będzie miała wiosło – zaczął już je rzeźbić, zgarbiony w szalasię, kiedy padał deszcz.

– Jest jakaś szansa, że skoczymy dziś na ryby?

Na dźwięk głosu Gabi uniósł wzrok. Nathaniel, wysoki i opalony, stał na ścieżce z wędkami w dłoniach. Często łowili razem, zwykle z wielkiego przybrzeżnego głazu. W rzece łatwo było złapać ryby; w tym miejscu płynęła powoli i była dość płytka, srebrzyste, zwinne pstrągi łapczywie chwytają przynętę, a później dobrze smakowały.

Propozycja zabrzmiała kusząco, lecz Gabi pokręcił głową.

– Nie mogę. Mam opóźnienie. Idzie mi wolniej, niżbym chciał.

– Co to? – Nathaniel wskazał ręką leżący na skraju polany stos smukłych, porośniętych liśćmi tyczek.

Gabi obejrzał się.

– Bambus.

– Nie możesz z niego budować. Na łódź potrzeba prawdziwych desek.

Gabi roześmiał się.

– Wiem, używam cedrowych. Ale bambusa potrzebuję do... Zaczekaj chwilę, pokażę ci.

Wytarł spocone dłonie o rąbek koszuli i przyniósł z szopy dużą książkę.

– Jonasz pozwolił ci tu ją zabrać? – zdumiał się Nathaniel.

Gabi przytaknął.

– Musiałem obiecać, że będę ją trzymał w suchym, czystym miejscu. – Położył książkę na płaskim kamieniu, przykucnął i zaczął przewracać stronicę. – Spójrz – rzekł, wskazując jedną z nich.

Nathaniel ujrzał obrazek przedstawiający duży statek o wielu rozwiniętych żaglach. Skomplikowana konstrukcja złożona z niezliczonych lin i bloczków podtrzymywała

wydeptę żagle, a na pokładzie widać było wieloosobową załogę.

– Chyba oszalałeś! – rzucił. – Nie dasz rady tego zbudować.

Jego przyjaciel zachichotał.

– Nie, nie. Chciałem ci tylko pokazać. Zresztą i tak takimi łodziami nie pływa się po rzekach. Kiedyś żeglowano nimi po oceanach. Chyba uczyliśmy się o tym na historii.

Nathaniel przytaknął.

– Piraci – przypomniał sobie. – Tego akurat słuchałem uważnie.

Gabi powoli przewrócił strony.

Uśmiechnął się.

– Tu jest moja – rzekł, otwierając książkę pod koniec, w miejscu wyraźnie często odwiedzanym. – Tylko się nie śmieję.

Ale kiedy Nathaniel pochylił się, by spojrzeć na obrazek, faktycznie wybuchnął śmiechem. Gabi, obserwując go, także zachichotał. Obrazek przedstawiał małą łódkę z samotnym mężczyzną w środku, otaczające go wielkie fale i płetwę rekina widoczną wśród piany. Wokół ciągnęło się bezkresne morze i niebo. Mężczyzna wydawał się przerażony i zgubiony.

– Czyli planujesz własną śmierć? Gdzie w ogóle jest ten gość?

– Na oceanie. Ale to daleko stąd. Nie muszę myśleć o oceanie, jedynie o rzece. I nie skończę jak on, po prostu kopiuję jego łódź, no, mniej więcej. Moja jest mniejsza i nie ma tej części z kabiną. Będzie mała i solidna. Tylko tego mi trzeba. Łatwo ją zbuduję. – Gabi rozejrzał się po stertach desek, trocinach, zaśmieconej polanie. – A przynajmniej tak mi się zdawało.

– Jak zamierzasz sterować? – Nathaniel wciąż wpatrywał się w obrazek samotnego mężczyzny skulonego w łodzi na widok nadciągających fal.

– Wiosłem. Poza tym rzeka mnie poniesie. Nie będę musiał zbyt wiele sterować. Tylko tyle, by zejść na brzeg, kiedy zechcę.

– To do czego ci bambus?

– Przytrzyma wszystko w kupie. Sam to wymyśliłem. Kiedy ułożę cedrowe deski we właściwy kształt, użyję bambusa; najpierw go zmoczę, żeby zacisnął się po wyschnięciu. Posłuży mi zamiast liny.

Nathaniel powiódł wokół wzrokiem. Cedrowe deski leżały rozrzucone dookoła, kilka z nich zbitych razem. Widział, że Gabi przygotowywał bambus, obierał go i kroił na wąskie pasma. Ale mimo wszystko! To ogromne zadanie dla samotnego chłopaka.

– Czy ktoś w ogóle ci w tym pomaga?

Gabriel zawahał się.

– Nieszczęśliwie. Czasami tylko jakaś staruszka przychodzi i na mnie patrzy. – Wskazał gestem sosnowy zagajnik. – Stoi o tam.

– Staruszka?

– Tak. Widziałeś ją. Taka zgarbiona, widać, że z trudem się porusza. Tak jakby za mną chodzi. Nie wiem dlaczego. Kiedyś chyba krzyknę, żeby przestała.

Nathaniel wyraźnie się zaniepokoił i zaśmiał nerwowo.

– Nie możesz krzyczeć na starą kobietę.

– Wiem, żartowałem. Może po prostu warknę i ją przepłoszę. – Gabi skrzywił się i zawarczał głośno, naśladując jakąś bestię.

Obaj ryknęli śmiechem.

– Na pewno nie chcesz iść na ryby? – spytał Nathaniel.

Gabi pokręcił głową i podniósł książkę, by zanieść ją do szopy.

– Nie mogę.

Przyjaciół zebrał swoje rzeczy i odwrócił się.

– Deidre mówi, że za tobą tęskni – rzucił z przebiegłym uśmiechem. – Ostatnio w ogóle nas nie odwiedzasz.

Gabi westchnął i zerknął w głąb ścieżki, jakby miał na niej zobaczyć ładną siostrę Nathaniela.

– Czy przyjdzie jutro wieczorem na ucztę?

Nathaniel przytaknął i zarzucił wędkę na ramię.

– Wszyscy przyjdą. Matka jest teraz w miejscu zgromadzeń i pomaga wszystko przygotować.

– To powiedz Deidre, że się tam zobaczymy.

Gabi pomachał przyjacielowi na pożegnanie i gdy tamten odszedł, powrócił do przerwanej pracy.



Uczty w Wiosce odbywały się często. Czasami miały jakiś pretekst: żniwa, letnie święto albo ślub, zwykle jednak wieśniacy nie potrzebowali powodu. Po prostu pragnęli chwili zabawy, śmiechu, strojenia się, jedzenia – czy raczej przejadania – toteż planowali ucztę.

Kira ubrała dzieci w kolorowe haftowane stroje, które sama zaprojektowała i uszyła. Mistrzowsko radziła sobie z igłą – wielu ludzi prosiło ją o uszycie ślubnych strojów, w Wiosce wciąż też mówiono z podziwem o ręcznie tkanej materii ozdobionej misternym wzorem w najróżniejsze ptaki, którą owinęła ciało ojca przed pogrzebem. Ojciec Kiry był ślepy, jego życie skupiało się wokół dźwięków. Znał – i umiał naśladować – wołanie i śpiew każdego ptaka. Sfruwały do niego z drzew bez lęku, jedząc z uniesionych rąk. Gdy składano go do grobu, cała Wioska zebrała się, by zaśpiewać pożegnalną pieśń, ale tego dnia tylko ludzie śpiewali: ptaki umilkły, jakby pogrążone w żałobie.

Ona sama przywdziała na ucztę ciemnoniebieską sukienkę, w paski sandałów i w długie włosy wplotła błękitne wstążki. Jonasz uśmiechnął się z podziwem i czułością, lecz jego własny strój, nawet ten odświętny, był bardzo prosty: zgrzebna koszula i szorstkie spodnie. Wywracając oczami, pozwolił żonie przyczepić do kołnierza błękitny kwiat z ogrodu. Jonasz nie przepadał za ozdóbkami. Miał prosty gust.

Annabella i Matthew rozchichotani uganiali się po pokoju, a tymczasem Kira pakowała upieczone wcześniej ciasto i wkładała je do kosza, który ozdobiła paprocią i stokrotkami. Brykaś ziewnął i podniósł się z koca, na którym drzemał. Pies wyczuwał podniecenie, chciał także w nim uczestniczyć. Zauważywszy to, Kira wybuchnęła śmiechem i schyliła się, by opleść mu wokół szyi kwiatek o długiej łodydze.

– Proszę – powiedziała. – Teraz też masz odświętny strój!

Brykaś, merdając ogonem, podążył za rodziną, która ruszyła już w drogę. Jonasz niósł kosz z ciastem i dźwigał na barana Matthew. Annabella ścisnęła mocno wolną dłoń matki, tę, która nie wspierała się na rzeźbionej lasce, niezbędnej Kirze do chodzenia. Z przodu, zza zakrętu ścieżki, z miejsca zgromadzeń dobiegała muzyka – flety i skrzypki.



Wioska była maleńka i od początku, od wielu lat stanowiła skupisko wyrzutków. Uciekając przed bitwami bądź chaosem, często ranni lub wypędzeni przez własne klany czy wsie, pierwsi osadnicy kolejno trafiali w to miejsce. Czerpiąc siłę z siebie nawzajem, utworzyli społeczność. Chętnie witali innych.

W miarę upływu czasu ludzie niekiedy mamrotali, że nie powinni przyjmować więcej obcych: w Wiosce robiło się tłoczno, a zdarzało się, że przybysze z trudem opanowywali zwyczaje i miejscowe zasady. Dochodziło do sporów, petycji i dyskusji.

„Co, jeśli moja córka zechce poślubić jednego z nich?”

„Mówią z dziwnym akcentem”.

„Co, jeśli dla wszystkich nie starczy pracy?”

„Czemu mamy ich utrzymywać, nim nauczą się naszych tradycji?”

To Jonasz w okresie swojego przywództwa łagodnie, lecz stanowczo przypominał wieśniakom, że kiedyś wszyscy byli obcymi. Wszyscy przybyli tu, szukając nowego życia. W końcu zagłosowali i postanowili pozostać tym, czym byli zawsze: sanktuarium, miejscem schronienia.

Jako dziecko Gabi ziewał i kręcił się z nudów, gdy jego klasę, jak każdą w szkole, zabierano do wiejskiego muzeum, by poznała ich historię. *Historia to nudziarstwo*, myślał. Wstydził się, kiedy kurator muzeum, wskazując najróżniejsze eksponaty z wystawy pojazdów przybyszów, dochodził do poobijanych czerwonych sanek i wyjaśniał, że dzielny chłopiec imieniem Jonasz, walcząc ze śnieżycą, dotarł tu, trzymając w objęciach umierające dziecko.

– A dziś wszyscy wiemy, że Jonasz został Przywódcą naszej Wioski, a dziecko, które ocalił i sprowadził tutaj, jest zdrowym chłopcem – zakończył dramatycznie kurator – imieniem Gabriel!

Koledzy z klasy wyszczerzyli zęby, zaczęli trącać się łokciami i chichotać. Gabi udał, że go to nudzi, odwrócił wzrok i schylił się, by podrapać nogę w miejscu, w które ukąsił go wymaglinowany owad.

Większość najwcześniejszych osadników, tych, których historię upamiętniono w muzeum, zdążyła się już postarzeć i odejść. Ojciec Kiry Christopher leżał na wioskowym cmentarzu obok sosnowego gaju. Uznany za martwego i porzucony przez wrogów z odległej społeczności, potykając się, na oślep dotarł do Wioski i został ocalony – pod nowym imieniem Widzącego przeżył tu długie, pełne szacunku i mądrości życie. Teraz Kira doglądała jego grobu, zabierając ze sobą dzieci, gdy wyrwała chwasty i podlewała miękką gąszcz pachnącego słodko fioletowego tymianku, który tam zasadziła.

Pogrzebano go obok jego przybranego syna Matty’ego. Wieśniacy zapamiętali go jako pogodnego, skorego do zabaw młodzieńca, który stracił życie, walcząc ze złymi nieznanymi siłami zagrażającymi Wiosce w owych okrutnych czasach, przed siedmiu laty.

Gabi, mijając cmentarz w drodze na wieczorne święto, powrócił myślami do tamtego okresu i przypomniał sobie dzień, gdy znaleziono ciało Matty’ego i przyniesiono do domu. Gabi był wtedy mały, miał zaledwie osiem lat – niesforny mieszkaniec domu dzieci, uwielbiający samotne przygody i niezbyt zainteresowany szkołą. Zawsze jednak podziwiał Matty’ego, który opiekował się Widzącym, pomagając mu z ogromnym oddaniem, i pogodnie wypełniał zlecenia mieszkańców. To właśnie Matty nauczył Gabiego wybierać przynętę i zarzucać linkę z głazu. Matty pokazał mu, jak się robi latawce i puszcza z wiatrem. W dniu jego śmierci Gabi kulił się zrozpaczony w cieniu gęstej kępy drzew, patrząc, jak wieśniacy stają wzdłuż ścieżki i pochylają z szacunkiem głowy, witając nosze dźwigające powoli poranione ciało chłopca.

Przerażony własnymi uczuciami słuchał w milczeniu zawodzeń i jęków rozbrzmiewających w społeczności.

Ten dzień odmienił go na zawsze. Zmienił też całą Wioskę. Wstrząśnięci śmiercią chłopca, którego kochali, mieszkańcy bez wyjątku zaczęli szukać sposobów, by stać się godnymi złożonej przez niego ofiary. Byli życzliwsi, ostrożniejsi, bardziej opiekuńczy wobec siebie. Ciężko pracowali, wykorzeniając zwyczaje, które zaczęły niszczyć ich społeczność, zakazując nawet z pozoru niewinnych rozrywek, takich jak automat do gier, prosta maszyna hazardowa obdarzająca wygranych słodyczami.

Przez lata tajemniczy, złowieszczy człowiek zwany Handlomistrzem od czasu do czasu zjawiał się w Wiosce, przynosząc tandetne rozrywki i pokusy, a pozostawiając za sobą chaos i niesnaski. Dopiero Jonasz jako Przywódca przejrzał go, wyczuł w nim głębokie zło i nalegał, by go przepędzić.

Wolni od ponurej chciwości i egoizmu, które niemal zawładnęły nimi w owym czasie, wieśniacy nauczyli się świętować samych siebie, tak jak dziś podczas wieczornej uczty.

Gabi na chwilę zatrzymał się na ścieżce. Zauważył bukiet świeżych kwiatów obok kamienia, na którym wryto imię Matty'ego. Mieszkańcy Wioski czcili jego pamięć podobnymi drobiazgami, bo dzięki niemu stali się lepszymi ludźmi. Gabi też to robił, ale bardziej skrycie. Wspominał wówczas niegdysiejszą rozmowę ze starszym chłopcem, którego tak bardzo podziwiał.

– Musisz bardziej uważać w szkole, Gabi – upomniał go Matty.

Gabiemu kazano tego dnia zostać po lekcjach na dodatkowych zajęciach. Teraz siedzieli razem na wysokim gładzie na brzegu rzeki.

– Nie lubię szkoły – odparł, obmacując palcami linkę.

– Ja też nie lubiłem. Byłem uparty i psotny jak ty. Ale Widzący kazał mi nad tym pracować, bo bardzo mu na mnie zależało.

Gabi wzruszył ramionami.

– Na mnie nikomu nie zależy.

– Przywódcy owszem. Mnie także.

– Chyba tak – przyznał.

– To on cię tu przyniósł. I nie przyszło mu to łatwo.

Gabi wywrócił oczami.

– Słyszałeś to w muzeum w ramach zwiedzania? Tak bym chciał, żeby przestali opowiadać tę durną historię. I daj mi jeszcze robaka, dobrze? Mój zsunął się z haczyka.

Matty cierpliwie pomógł mu założyć przynętę.

– Potrzebujesz wiedzy – oznajmił. – Tak właśnie Jonasz został Przywódcą, dzięki nauce.

– Nie chcę być Przywódcą.

– Ja też nie. Ale chcę wiedzieć różne rzeczy. Ty nie?

Gabi westchnął.

– Niektóre owszem. Ale nie matematykę. Ani gramatykę.

Matty roześmiał się, potem na moment znów spoważniał.

– I, Gabi?

– Co?

– Kiedyś przekonasz się, że masz jakiś dar. Niektórzy z nas je mają, ty także. Widzę

to.

Gabi zajął się robakiem i haczykiem. Z jakiegoś powodu rozmowa zaczęła go krępować.

– Wiem – dodał Matty. – Trudno o tym rozmawiać, bo ciężko to zrozumieć. Ale to kolejny powód, dla którego musisz się uczyć. Musisz się przygotować. Pewnego dnia zostaniesz wezwany, by uczynić coś wyjątkowego. Może coś niebezpiecznego. Musisz się przygotować, Gabi. Potrzebujesz wiedzy.

– Patrz! – rzucił głośno Gabi, zmieniając temat. – Tam, w cieniu głazu, widzisz? Wielki pstrąg. Chowa się. Ale nas widzi. Spójrz na jego oczy.

Matty westchnął czule, skupiając uwagę na wielkiej rybie zawieszanej w ciemnej wodzie pod skałą. Cofnęła się, jakby czując ich nagle zainteresowanie, błyskając lśniącymi oczami. Matty patrzył.

– Myśli, że zdoła uciec, czając się w ciemności. Ale nie nam, Gabi! Jesteśmy dla niego za mądrzy! Zrobmy to. Spróbujmy go złapać.

Teraz, powróciwszy myślami do tej chwili, Gabi przypomniał sobie wszystko: śmiech, zdumiewającą rozmowę, słoneczny blask owego dnia, szum powoli płynącej rzeki i ich ostrożne manewry, gdy polowali na wielką, srebrzystą rybę. W końcu złapali ją i wyrzucili z powrotem do wody. Działo się to wiele lat temu, potem nigdy już nie mieli okazji podobnie porozmawiać.

Matty miał jednak rację co do potrzeby nauki. Gabi usilnie próbował skupić się na lekcjach i teraz mu się to przydało, zwłaszcza znienawidzona matematyka, gdy odmierzał i dopasowywał razem fragmenty łodzi.

Odkrył jednak, że żałuje, iż czuł tak wielkie skrępowanie i nie zwierzył się wówczas Matty'emu. Dopiero co odkrył w sobie moc, moc zbaczania, i wciąż nie potrafił jej zrozumieć.

Działo się to podczas uczty, jednej z tradycyjnych uroczystości, pewnie letniego święta, uznał. Wraz z innymi chłopcami w swoim wieku, ośmio- i dziewięciolatkami, dołączył do tłumu, oglądając zawody. Dwóch mężczyzn z Wioski siłowało się; ciała wysmarowali olejem i ręce ślizgały im się, gdy próbowali chwycić się nawzajem. Tłum pokrzykiwał zachęcająco, mężczyźni ustawiali się tak i owak, przestępując z nogi na nogę, czekając na właściwą chwilę, stosowny ruch, by powalić drugiego i zdobyć laur zwycięzcy. Gabi, obserwując ich uważnie, też przestępował z jednej bosej stopy na drugą i dyszał, naśladując zapaśników. Skupił wzrok na swoim ulubieńcu, niejakim Młynarzu, doglądającym każdej jesieni produkcji mąki. Młynarz był człowiekiem roslym i bardzo sympatycznym. Czasami, w spokojniejsze dni, dzielił chłopców na dwie drużyny i uczył ich złożonych zasad gier na polu zabaw. Nawet w czasie zaciętych zmagania śmiał się, chwytając przeciwnika w ramiona i próbując powalić.

Gabi, poruszając własnym chudym ciałem na wzór zapaśników, odkrył, że zastanawia się, jakie to uczucie być Młynarzem: tak silnym, tak doskonale panującym nad ciałem i mięśniami. I nagle spowiała go niezwykła cisza. Przestał słyszeć sapanie zawodników, krzyki tłumu, ujadanie psów, muzykę ćwiczących nieopodal skrzypków. I w ciszy poczuł, że się porusza. Zboczył – choć wówczas jeszcze nie wymyślił tego słowa – i wszedł w Młynarza. Stał się Młynarzem. Doświadczył Młynarza. Przez ułamek sekundy był Młynarzem. Pojął, jak to jest być silnym, władać swym ciałem, wygrywać, uwielbiać walkę i zbliżające się zwycięstwo.

A potem dźwięki powróciły. Gabi powrócił. Tłum ryknął z zachwytu, Młynarz stał, unosząc ręce, zwycięski, po czym pochylił się i pomógł wstać roześmianemu przeciwnikowi. Gabi osunął się na ziemię, skulony w wiwatującym tłumie, dysząc ciężko, wyczerpany, oszołomiony i podekscytowany.

Powtarzało się to jeszcze kilka razy, aż w końcu nauczył się wyczuwać, że nadchodzi. A potem – później – odkrył, że może kierować zbaczaniem. Kiedyś – przypomniał sobie z nagłym wyrzutem sumienia – usiłował oszukać w szkole. Siedząc w ławce i zmagając się z klasówką z matematyki, z ułamkami, których nie opanował tak jak powinien, zerknął na Mentora, dyrektora szkoły. Mentor stał przy oknie, spoglądając na tablicę, na której zapisał zadania.

Gdybym mógł teraz zboczyć w Mentora, stać się Mentorem – pomyślał Gabi – *uzyskałbym rozwiązania wszystkich zadań*. Skupił się. Zamknął oczy i zaczął myśleć o Mentorze, o jego wiedzy, o tym, jakie to uczucie być Mentorem. I rzeczywiście zapadła cisza, poczuł, jak jego świadomość porusza się i przesuwają ku nauczycielowi. Po sekundzie już tam był, w jego wnętrzu, doświadczając bycia Mentorem.

Zbaczanie zadziało. Ale nie tak, jak Gabi zaplanował. Nie znalazł rozwiązań matematycznych. Zamiast tego ogarnęło go przejmujące uczucie miłości: do wiedzy, nauki wszelkich rodzajów – i dzieci siedzących tego dnia w maleńkich ławkach, tak jak Gabi. Czuł miłość Mentora do jego uczniów i nadzieje, jakie wiązał z nimi i z tym, czego nauczą się od niego.

Zbaczanie zakończyło się nagle, jak zawsze, i Gabi ukrył twarz w dłoniach. Dźwięki klasy powróciły, nauczyciel podszedł do niego.

– Nic ci nie jest, Gabrielu?

Gabi odkrył, że cały dygocze, w oczach miał łzy.

– Nie czuję się dobrze – wyszeptał.

Mentor usprawiedliwił mu nieobecność do końca dnia i Gabi wyszedł powoli ze szkoły, przyrzekając sobie w duchu, że będzie się uczył, że nie zawiedzie znów nauczyciela, jak to często czynił w przeszłości.

Nigdy o tym nikomu nie powiedział. Zbaczanie wydawało mu się czymś osobistym. Czymś, czym mógł samotnie napawać się, a czasem się tego bać.

Teraz jednak zorientował się, iż żałuje, że nie zwierzył się Matty'emu, gdy miał taką okazję. Nie tylko co do zbaczania. Żałował, że nie powiedział mu, jak rozpaczliwie pragnie dowiedzieć się czegoś o matce. Nie mógł wyznać tego kolegom z domu, śmiałoby się. Ale Matty by zrozumiał. A Gabi czuł się samotny, jakże samotny w swojej tęsknocie.

Pochylił się teraz, podniósł niewielki kamyczek i rzucił na grób Matty'ego. Kamyczek odbił się lekko od kamienia i upadł na ziemię obok innych wśród kwiatów. Gabi rzucił tam każdy z nich.

– Cześć – wyszeptał.

Przed nim z pawilonu, w którym odbywały się zgromadzenia, dobiegała muzyka i radosne krzyki dzieci. Pomyślał o przyjaciółkach, o zabawach, które już zaczęli, o czekających ich konkursach i tańcach. Pomyślał o ładniutkiej Deidre i piegach na jej nosie. Widział dym i czuł zapach prosiaków piekących się cały dzień na rożnie. Wiedział, że Kira przyniesie ciasto i że będzie też gęsta śmietana zmieszana z miodem, którą nałoży na każdy kawałek. Zostawiwszy za sobą cmentarz i posępne myśli, puścił

się biegiem w stronę przyjęcia.



Plecy bardzo ją bolały. Doskwierały jej już od dawna, od kilku lat, ale robiło się coraz gorzej i Klara niemal nie mogła się już wyprostować. Chodziła zgarbiona.

Poszła do Zielarza, mężczyzny, który przygotowywał leki dla całej Wioski. Najwyraźniej jednak dysponował tylko tymi samymi środkami, które sama poznała podczas lat spędzonych z Alys. Napar z brzozy i wierzby łagodzi nieco ból, ale go nie likwiduje.

Zielarz zadał jej najoczywistsze pytanie.

– Ile masz lat?

– Nie wiem – odparła.

I rzeczywiście, kiedy morze wyrzuciło ją na brzeg w miejscu, w którym mieszkała kilka lat, była młodą dziewczyną. Tam dorosła i stała się kobietą. Potem odeszła i w ciągu jednej nocy zestarzała się. To nie była kwestia lat.

Zielarza nie zdziwiła jej odpowiedź. Mnóstwo osób, które trafiły do Wioski, nie pamiętało zbyt wiele z własnej przeszłości. Przepisał jej napar z kory na bóle.

– Podobny ból dolega na starość nam wszystkim – dodał.

– Wiem – odparła Klara.

Nie miała ochoty wyjaśniać, co ją spotkało.

Zielarz ostrożnie uniósł jej rękę i pomacał cienką, wiotką skórę, starannie zbadał ciemne plamy na grzbietach dłoni.

– Czy wciąż masz zęby? – spytał.

– Część – odparła, demonstrując.

– A wzrok? Słuch?

Nadal widziała i słyszała.

– Zatem – rzekł ze śmiechem – nie możesz tańczyć ani przeżuwać mięsa. Ale jeśli słyszysz śpiew ptaków i widzisz wiatr wśród liści, wciąż pozostało ci wiele przyjemności w życiu. Twój czas dobiega jednak końca – dodał – więc powinnaś radować się wszystkim, czym możesz. Sam tak robię. Mam pewnie tyle lat, co ty, doskwierają mi te same bóle. – Zapakował jej ususzoną korę, a ona schowała ją do koszyka. – Do zobaczenia na uczcie – dodał, gdy odwróciła się do wyjścia. – Możemy oglądać tańczących i wspominać lata młodości. To kolejna dostępna nam przyjemność.

Klara podziękowała, wsparła się na lasce i ruszyła ścieżką do swego domku. W dali słyszała krzyki chłopców, bawili się w jakąś grę piłką. Może był wśród nich Gabi. Ostatnio jednak rzadko dostrzegała go wśród grających – najczęściej przebywał samotnie na polanie nad rzeką, pracując nad niekształtną konstrukcją, którą nazywał swoją łodzią. Klara często stała ukryta wśród drzew, przyglądając mu się przy pracy. Na

swój sposób podziwiała jego oddanie dziwacznemu projektowi, ale marzenie chłopca o odejściu zasmucało ją i dziwiło.

Kiedy kilka lat wcześniej, jak wielu innych przed nią, dotarła do Wioski, mieszkańcy powitali ją ciepło. Wówczas kruchość towarzysząca starości była dla niej czymś nowym i wciąż zdumiewała się, wstając rano i czując ból i sztywność kości. Wspomnienia biegów, wspinaczki, nawet tańca nadal żyły w niej i pulsowały, ale słabość zmuszała do szurania nogami i kuśtykania.

Po raz pierwszy ujrzała swego syna w tym miejscu, gdy był jeszcze dzieckiem, ośmio- czy dziewięcioletkiem. Pamiętała dobrze ów dzień. Biegł ścieżką obok domku, który jej przydzielono, wołając ze śmiechem przyjaciół, a jego potargana czupryna lśniła jasno w promieniach słońca.

– Gabi! – krzyknął jeden z chłopców, ona jednak i bez tego by go poznała. Miał ten sam uśmiech, który zapamiętała tak dobrze, ten sam srebrzysty śmiech.

W owej chwili rzuciła się naprzód, zamierzając podbiec do niego, powitać i objąć. Może zrobiłaby też niemądrą minkę, tę, za pomocą której przedrzeźniali się kiedyś oboje. Ale gdy ruszyła z zapalem w jego stronę, zapomniała o własnej kruchości; powłócząca stopa zahaczyła o kamień i Klara potknęła się niezgrabnie. Podniosła się szybko, lecz w tym momencie ujrzała, jak patrzy na nią i bez zainteresowania odwraca wzrok. I jakby spoglądając jego oczami, zobaczyła własną zwiędłą skórę, rzadkie siwe włosy, niezgrabny krok. Wówczas odwróciła się w milczeniu, zamyślona.

Czy rzeczywiście musiał się dowiedzieć? Sprawiał wrażenie szczęśliwego dziecka. Gdyby się przed nim ujawniła, opowiedziała swoją niewiarygodną historię, słuchałby oszołomiony i niczego nie rozumiał. Przyjaciele mogliby z niego drwić. Może by ją odepchnął. Albo jeszcze gorzej – może czułby się zobowiązany opiekować się nią przez resztę pozostałego jej czasu. Zakłóciłaby jego beztroskie życie, stanowiłaby brzemię, powód do wstydu.

W końcu uznała, że wystarczy jej to, iż go odnalazła. Da mu teraz spokój. I dopiero wówczas w pełni pojęła ogrom okrucieństwa wymiany, do jakiej zmusił ją Handlomistrz.

Przez te wszystkie lata patrzyła, jak Gabi z psotnego chłopca wyrasta na spokojnego młodzieńca. Teraz najwyraźniej znalazł sobie misję, której nie rozumiała. Dlaczego łódź? Rzeka była niebezpieczna. Dzieci z Wioski umiały pływać i bawiły się w osłoniętej części na powolnej płyciźnie, ale nieco dalej woda zaczynała rwać gwałtownie po ostrych skałach. Klara słyszała, że gdzieś niedaleko tworzy wysoki wodospad, a tu i tam zwalone drzewa z łatwością mogły strzaskać cienkie deski, które tak starannie związywał paskami bambusa.

Przerażała ją płynąca szybko woda. Miała po temu powody: przez ostatnie lata pamięć powracała jej stopniowo i Klara wiedziała, że kiedyś mieszkała nad rzeką, a później nad morzem. Jedno i drugie przyniosło jej rozpacz i stratę.

Nie chciała, by jej syn zginął w wodzie.



Wieprzowina o kruchej, spieczonej skórce, odkrojona od piezzonego na rożnie prosiaka, pachniała rozkosznie, Klara jednak wiedziała, że to nie dla niej – w obolałych

dziąsłach pozostało jej już niewiele zębów. Napełniła talerz miękką fasolą z dużej miski, pieczoną cały dzień w sosie z pomidorów i ziół, dodała do tego kawałek świeżego chleba. Pomyślała jednak, że zostawi sobie miejsce na porcję ciasta z jagodami.

Postawiła talerz na stole i opuściła się na ławkę obok innych. Ciężarna kobieta powitała ją uśmiechem i przesunęła się lekko, robiąc miejsce; Klara rozpoznała w niej Jean, żonę jednego ze skrzypków strojących instrumenty i szykujących się do potańcówki. Była tam też Kira, obserwująca czujnie bawiące się obok stołu dzieci; od czasu do czasu dawała im jeść łyżeczką, jakby miała do czynienia z pisklętami.

Jedząc powoli i obserwując młode kobiety przy stole, Klara pojęła, że mogłaby być jedną z nich. Spojrzała na własną pokrzywioną, sękatą dłoń trzymającą widelec. Dłoń starej kobiety. Ziolarz mówił, że kończy jej się czas, i czuła, że to prawda. Ale wewnątrz? Wciąż była młoda. Gdyby nie dokonała wymiany, która ją tu sprowadziła („Młodość!” We wspomnieniach Klara nadal słyszała, jak Handlomistrz wyszeptał jej do ucha to słowo, opluł jej policzek, i jak ona sama przytaknęła i wyszeptała: „Zgoda”), może byłaby teraz z Einarem, pomagała mu zająć się jagniętami, gotowała gulasz, który zjedliby razem w chacie na wzgórzu, rozmawiając wieczorem przy kominku.

Ale wówczas nie znalazłaby syna. Nigdy już nie zobaczyłaby Gabiego, nie widziała, jak wyrasta na żywego młodzieńca. Wiedziała, że gdyby mogła cofnąć czas, ponownie dokonałaby wymiany.

Wstała, aby odłożyć pusty talerz i wziąć kawałek ciasta, i po drodze spojrzała na stół, przy którym siedzieli hałaśliwi młodzi chłopcy. Był tam. Przechodząc obok, dostrzegła, jak zerka na nią z ukosa; potem znów skupił uwagę na talerzu pełnym stawy i przydługim żarcie, który opowiadali mu kompani. Jako nastolatek Gabi był wysoki i niezgrabny, zauważyła, jak wywraca łokciem kubek z napojem. Pozostali chłopcy zaśmiali się, a on z niemądrą miną zaczął wycierać stół serwetką.

Włosy miał kręcone, tak jak kiedyś jej własne – obecnie mały koczek na karku – a oczy zdumiewająco jasne, błękitne. Oczy Jonasza wyglądały identycznie. Podobnie jego żony Kiry. Klara przypomniała sobie teraz, że już kiedy Gabi był niemowlęciem, zauważyła niezwykłość jego oczu. Tamte czasy powracały bardzo powoli, każdemu wspomnieniu towarzyszył ból.

Dotyk maski związanej na twarzy podczas porodu. Zadrżała, gdy to wspomnienie powróciło.

To, jak później po raz pierwszy go trzymała i zauważyła zdumiewające jasne oczy. Kiedy to sobie przypominała, ogarnęło ją przejmujące poczucie straty.

Potem przypominała sobie sen o ukrytym jasnoocim dziecku, to, jak we śnie chowała je w szufladzie. Myśląc o tym teraz, po tylu latach, o mało nie rozplakała się z głębokiego smutku. A kiedy wróciło następne wspomnienie, załkała: to, jak uśmiechał się, kiwając na nią pulchnymi paluszkami. Zdążył już nauczyć się jej imienia. „Klara”, powiedział piskliwym głosem. A potem: „Pa, pa”.



Nie żałowała wymiany dokonanej po to, by go znaleźć. Ale rozpaczliwie żałowała tego, że ma już niewiele czasu. Zamiast silnej, pełnej życia kobiety, matki, na którą zasłużył Gabi, była starą wiedźmą, czekającą na śmierć. Oto jak potwornie zadrwił z

nich Handlomistrz siedem lat wcześniej.

Niebo pociemniało, zapadała noc. Muzyka zabrzmiała donośnie: wkrótce nadejdzie czas dla młodych, czas tańców i flirtów. Klara zobaczyła, jak Gabi wstaje z miejsca i kieruje się do uroczej piegowatej dziewczyny imieniem Deidre. Stał tam skrępowany, rozmawiając z nią, gdy pomagała sprzątać ze stołu. Klara widziała, że Deidre też się wstydzi, ale mimo to energicznie krząta się dokoła, trzepocząc pasiastą spódnicą.

Kobiety pozbierały naczynia i dzieci, żeby zabrać je do domu. Klara przyglądała się Kirze z maluchami – Annabella drzemała w jej objęciach, ale Matthew śmigał szaleńczo dokoła. W końcu Jonasz chwycił go i roześmiał się, gdy oburzony dwulatek zaczął kopać i krzyczeć. Razem pozbierali rzeczy, pożegnali się i ruszyli ścieżką wiodącą z pawilonu do ich domu. Jonasz posadził sobie Matthew na barana i wkrótce para zamieniła się w ciemne sylwetki na tle nieba. Wszedł księżyc.

Choć Jonasz nie miał pojęcia, kim kiedyś była Klara ani że w tym samym czasie mieszkali w jednej społeczności, ona pamiętała go jako chłopca. Był wówczas zbyt młody, by zostać ojcem, a mimo to właśnie on uratował dziecko skazane na śmierć, bo okazało się zbyt ciekawe, zbyt żywe, zbyt energiczne. Bo źle sypiało. Bo – jak brzmiało to słowo? – zakłócało spokój innym. Nie pasowało. Jonasz naraził własne życie, poświęcił przyszłość, by je tu sprowadzić. Zastanawiała się, czy teraz martwi się o Gabiego, o kruchą łódź, którą próbuje zbudować, i niebezpieczeństwa, jakim przyjdzie mu stawić czoło, jeśli zdoła spuścić ją na wody rzeki.

Kiedy wstała z miejsca, by podreptać do własnego domku, biodro jej zeszywniało i przez chwilę masowała je dłonią, nim zdołała poruszyć nogą. W końcu pokuśtykała w dół łagodnego wzgórza, ostrożnie wymacując drogę w blasku księżyca. Jakże szybko już jej nie będzie, pomyślała Klara i westchnęła. Jak niewiele mały Gabi dowie się o swej przeszłości.

Nagle przystanęła i zamarła. *Oczywiście*, pomyślała. Już wiedziała, co musi zrobić.

Postanowiła, że opowie Jonaszowi swą historię, własną historię, którą do tej pory utrzymywała w sekrecie. Pewnego dnia, gdy jej już nie będzie, kiedy nastanie właściwa chwila, kiedy chłopiec będzie dość dorosły i gotowy, Jonasz powtórzy ją jej synowi.



Handlomistrz? – zdumiał się Jonasz.

Słuchał jej już bardzo długo. Siedzieli z Klarą na ławce w osłoniętym zakątku za biblioteką. Zastanawiała się, ile mu powiedzieć, jak mu powiedzieć, i w końcu dziesięć dni po uczcie zwróciła się do niego i spytała, czy mogliby porozmawiać sam na sam. Przyprowadził ją tutaj późnym pochmurnym rankiem, starannie starł wilgoć z ławki i pomógł usiąść wygodnie.

Sama nie wiedziała, od czego właściwie zacząć.

– Znałam cię, kiedy byłeś chłopcem – rzekła w końcu.

Jonasz uśmiechnął się.

– Nie miałem pojęcia, że tu wtedy byłaś. Sądziłem, że stosunkowo niedawno przybyłaś do Wioski, jakieś pięć, może sześć lat temu. Ale łatwo stracić rachubę czasu, prawda?

– Nie – zaprzeczyła Klara. – Masz rację, zjawiłam się tu niecałe siedem lat temu, ale znałam cię na długo przedtem, w społeczności, w której dorastałeś.

Wówczas przyjrzał jej się bliżej.

– Wybacz, że cię nie rozpoznałem – odparł. – Oczywiście byłem wtedy dzieckiem, odszedłem, gdy skończyłem dwanaście lat. Ale jeszcze w szkole przepracowałem wiele nadobowiązkowych godzin w domu starców. Byłaś tam wtedy? Pamiętam kobietę imieniem... jak to było, Larysa? Właśnie. Znałaś ją?

Klara pokręciła głową.

– Nie – wymamrotała.

Ciężko to szło. Jak miała mu opisać coś, w co praktycznie nie da się uwierzyć?

Westchnęła i wykręciła dłonie; zabolalo. Był późny ranek, rano często bolały ją stawy. Odchrząknęła. Wiedziała, że jej głos to teraz głos staruszki, czasami zbyt cichy, zbyt niepewny. Ale odetchnęła głęboko i spróbowała przemówić stanowczo, sprawić, by ją wysłuchał, by zrozumiał niepojęte.

– Moja ceremonia odbyła się trzy lata przed twoją.

– Twoja ceremonia?

– Ceremonia dwunastolatków.

– Ale...

Uniosła rękę.

– Ciii. Po prostu posłuchaj.

Jonasz, wyraźnie zdezorientowany, umilkł.

– Kiedy skończyłam dwanaście lat, otrzymałam przydział. Przydzielili mnie do rodziców. – Zawiesiła głos. – Oczywiście czułam zawód, ale nie byłam zbyt dobrą

uczennicą.

Widziała, że towarzysz wciąż próbuje zrozumieć jej słowa. Nie pozostało jej nic, tylko brnąć dalej.

– Po jakimś czasie, gdy uznano, że jestem gotowa, przeniesiono mnie do oddziału rodziców.

Wokół nich życie w Wiosce toczyło się jak co dzień, kilka kobiet plotkowało, plewiąc wspólny ogród, w pobliżu małe dzieci bawiły się ze szczeniakami. Z chaty chłopców wyłoniła się cała grupa, ze śmiechem obsypując się wyzwiskami. Gabiego tam nie było, znacznie wcześniej odszedł na swoją polanę nad rzeką i samotnie dopasowywał ostatnie elementy łódki.

Lecz dla siedzących razem Jonasza i Klary wszystko to odpłynęło gdzieś daleko. Ona mówiła. On słuchał z uwagą. Od czasu do czasu przerywał jej cicho, żeby zadać pytanie. Pigułki. Kiedy przestała brać pigułki?

– Ja też to zrobiłem. Po prostu je wyrzucałem – dodał. – Poczujesz w sobie zmianę?

– Czułam się inna od reszty. Ale i tak już byłam inna pod tak wieloma względami.

Pokiwał głową. Wiedziała, że powoli akceptuje opowiadaną przez nią historię. Ale przyglądał jej się uważnie, jej rzadkim, siwym włosom, zgarbionym ramionom i sękatym dłoniom, i wyraźnie nie potrafił pojąć, jak stała się tym, kim była teraz.

Opowiedziała mu o pracy w wylęgarni ryb po zwolnieniu z oddziału rodziców. O poszukiwaniach Gabiego i składanych mu wizytach.

Opisała, jak chłopczyk zaczął powtarzać jej imię. Jak śmiał się z zabawnej miny, którą go witała, i próbował ją naśladować. Klara wepchnęła język w policzek i wykrzywiła się do Jonasza.

Patrzył na nią zdumiony.

– Pamiętam to! – rzucił. – Kiedy byliśmy razem, on i ja... Wiesz, że noce spędzał w moim domostwie?

– Wiem.

– Czasami robił przy mnie tę zabawną minę. Ale oczywiście nie miałem pojęcia... – Urwał, wciąż usiłując to ogarnąć.

Klara podjęła przerwana opowieść.

Zadzwieczył dzwon oznaczający południe, mieszkańcy zaczęli zbierać się na obiad. Jonasz i Klara nawet nie drgnęli.

– Czy Kira nie będzie się martwić, gdzie jesteś?

Pokręcił głową.

– Nie. Zabrała dzieci na piknik z przyjaciółmi. Proszę, mów dalej, chyba że jesteś głodna. Chciałabyś zrobić przerwę na obiad?

Klara zaprzeczyła.

– W ogóle nie mam już apetytu.

– Jesteś za chuda.

– Bardzo mało jem. Zielarz twierdzi, że to częste u osób w moim wieku. To część naturalnego procesu.

– W twoim wieku? – powtórzył Jonasz. – Ale jesteś zaledwie trzy lata starsza ode mnie, co się stało?

– Dojdziemy do tego. Wtedy zrozumiesz.

Powróciła do przerwanej historii. Wiedziała, że potrwa to bardzo długo. Uznała, że

aby zrozumieć, Jonasz musi poznać każdy szczegół.



Dzień rozpogodził się, słońce osuszyło rosę. Późnym popołudniem cienie się wydłużyły, a oni siedzieli w głębokim mroku. W powietrzu czuło się ziąb. Jonasz zarzucił kurtkę na ramiona Klary. Była już bardzo zmęczona, ale czuła się dziwnie żywa, przekazując w końcu komuś swoją historię. Od lat stanowiła tajemnicę, jej osobiste brzemie. Klara mówiła powoli, a on jej nie poganiał; od czasu do czasu przerywała, by odpocząć. Jonasz przyniósł jej wodę i herbatnika. Cały dzień należał do nich i do jej historii.

Opisała dokładnie morderczą wspinaczkę na urwisko, czując potrzebę odtworzenia jej cał za całem, jak wcześniej Einar, wspominając każdy uchwyt, każdy występ skalny i wąską półkę. Mówiąc powoli, czuła, jak mięśnie rąk i nóg reagują na te wspomnienia. Jonasz też to zauważył: to, jak jej ciało poruszało się, gdy jej umysł na nowo przeżywał wspinaczkę. Skrzywił się, gdy wspomniała o ataku ptaka. Pokazała mu bliznę na szyi.

W końcu, wyczerpana niemal tak bardzo, jak wtedy gdy dotarła na szczyt dawno temu, opisała dokonaną tam straszliwą wymianę.



Jonasz pochylił się naprzód, łokciami wsparty na kolanach, i ukrył twarz w dłoniach.

– Handlomistrz – szepnął. – Sądziłem, że odszedł. Dawno temu wypędziliśmy go z Wioski. Byłem wówczas Przywódcą.

– Kim on jest? – spytała Klara.

Nie odpowiedział. Milczał, wpatrując się w dal, w miejsce, którego nie widziała.

– Powinienem był się zorientować – rzekł po chwili. – Czułem tam coś, coś związanego z Gabim, ale nie wiedziałem co. Chyba wyczuwałem twoją obecność – zastanawiał się na głos – tajemniczą, ale życzliwą. Ale jest tam coś jeszcze. Coś złowieszczonego. To musi być on.

– Kim on jest? – powtórzyła Klara.

– To zło. Nie wiem, jak inaczej go opisać. Jest złem i jak każde zło dysponuje ogromną mocą. Kusi. Drwi. I bierze.

– Gabi ma twoje oczy – zauważyła nagle Klara. – Ty i Gabi macie takie same jasne oczy.

– Moje oczy? – odparł, spoglądając poza miejsca widoczne dla większości ludzi. – Podobno to mój dar. Są też inni, z innymi darami. I owszem, Gabi ma takie same oczy. Czasami zastanawiam się...

Z czubka sosny nad rzeką wystartował nagle duży ptak i śmignął obok nich w ostatnich złocistych promieniach słońca.

– Czy z początku bałeś się ptaków? – spytała nagle Klara.

– Co?

– Kiedy uciekłeś z osiedla. Gdy pierwszy raz zobaczyłeś ptaki. Bałeś się ich?

Jonasz przytaknął.

– Tylko przez pierwsze dni. I innych rzeczy także. Pamiętam, jak pierwszy raz zobaczyłem lisa. Gabi był taki malutki, niczego się nie bał, dla niego wszystko było

nowe i ekscytujące.

Klara uświadomiła sobie nagle, że teraz Jonasz rozmawia z nią inaczej. Znał ją, od kiedy przybyła do tej społeczności, i zawsze zwracał się do niej życzliwie. Był cierpliwy i pomocny, jak młody mężczyzna wobec starej kobiety. Ale zawsze pozostawali tylko znajomymi. Teraz wspominali razem, niczym starzy przyjaciele, którzy znów się spotkali.

– Myślałam, czyby go nie zabrać – wyznała. – Ale nie wiedziałam, jak go ukryć ani dokąd pójść. A potem twój ojciec pokazał mi, że Gabi ma na kostce specjalną bransoletkę, i zrozumiałam, że gdybym spróbowała, złapaliby mnie.

– Tak. Elektroniczną bransoletkę.

Klara zmarszczyła czoło.

– Nie pamiętam już, co to znaczy. Co to było.

– Tak wiele elementów społeczności nie jest już częścią naszego życia. Ale z tego przecież właśnie składają się nasze wspomnienia: z drobiazgów – rzekł Jonasz.

– Mój rower. Od tamtego czasu nie widziałam roweru. Oprócz tego w muzeum. To był...

– Rower mojego ojca. Ukradłem go. Miał siedzenie dla Gabiego.

Klara pokiwała głową.

– Tak. We wspomnieniach widzę, jak na nim jechał, trzymał zabawkę.

Jonasz roześmiał się.

– Hipopotama.

– Nazywał go Po, prawda? To wszystko powraca.

– Tak. Po.

Teraz niemal słyszała to i widziała: pulchne rączki ściskające pluszową zabawkę, piskliwy, radosny głosik.

– Czy kiedy uciekłeś, zabrałeś też hipopotama?

Jonasz pokręcił głową.

– Nie mogłem. Wszystko działo się tak szybko. Odkryłem, że zamierzają zwolnić... Nie, nie zwolnić. Zamierzali zabić Gabiego. Zabrałem go i uciekłem. I musiałem wziąć jedzenie. Nie było miejsca na nic innego.

– Gdybym wiedziała, poszłabym z wami. Teraz wszystko wyglądałoby inaczej. – Poruszyła się na ławce i pomasowała obolałe biodro. – Żałuję, że... – I umilkła.

Jonasz też milczał. Nie odpowiedział.

– Bardzo bałam się ptaków – powiedziała nagle. – Ich piór i dziobów. A potem Einar przyniósł mi jednego w klatce, tylko dla mnie. Nazwałam go Żółtoskrzydły.

– Einar? To on...

– Tak, to on przygotował mnie do wspinaczki. – Spuściła wzrok ku własnym stopom, pogrubiałym, pokrytym odciskami, w prymitywnych sandałach. Wsunęła je pod ławkę, by je ukryć. Jonasz wiedział, że przypomina sobie, jaka była wówczas zręczna, jak zgrabnie i pewnie się poruszała.

– Kochałam Einara – wyznała.

– Żałujesz, że nie zostałeś? – spytał po chwili Jonasz.

– Nie – odparła stanowczo. – Ale żałuję, że to zło mnie tu sprowadziło.



Jonasz pomógł jej wstać z ławki, podtrzymując pod ramię. Siedzieli tak razem bardzo długo i Klara zeszywniała. Przeciągnęła się powoli i odetchnęła głęboko.

– Dobrze się czujesz? – Zerknął na nią z troską.

Skinęła głową.

– Za chwilę nic mi nie będzie. Czasami trzepocze mi serce i potrzebuję chwili, żeby się rozruszać.

Jonasz wciąż na nią patrzył.

– Pamiętam cię – rzekł po chwili.

– Nigdy nie rozmawialiśmy – przypomniała Klara.

Powoli ruszyli naprzód. Odprowadzał ją do domu.

– Nie. Ale widziałem cię. Ojciec o tobie wspomniał: o dziewczynie, która od czasu do czasu przychodzi do ośrodka i bawi się z Gabim. Kiedyś mi cię pokazał. Przejeżdżałaś chyba obok na rowerze, a on powiedział: „To właśnie ta”.

– Jakie to dziwne zrozumieć, kim jesteś. Kiedyś mi cię pokazał. „To mój syn”, rzekł, podał też twoje imię. Nagle znów przypominam sobie tamte czasy w społeczności.

– Ja już o nich nie myślę. Stworzyłem tu nowe, inne życie.

– Gabi też.

Jonasz przytaknął.

– On nie pamięta społeczności.

– I dobrze.

– Sam nie wiem. Cięży mu to, że nie ma przeszłości ani rodziny.

– Czyli rozmyślał o tym?

– Więcej niż rozmyślał. Ma palącą potrzebę poznania własnej przeszłości. Próbuje mu opisać to, co chce wiedzieć, ale nigdy nie wystarczy. Dlatego właśnie buduje łódź. Wspomniałem, że mieszkaliśmy nad rzeką, może tą samą rzeką. Postanowił odnaleźć drogę powrotną.

Oboje umilkli.

– W takim razie musimy...

– Może razem zdołamy...

Oboje odezwali się jednocześnie i mówili to samo: musimy spróbować opowiedzieć o tym wszystkim Gabiemu. Razem zdołamy sprawić, że zrozumie. Ale nie mieli czasu na dyskusje, przerwały im krzyki chłopców, podnieconych, może zaniepokojonych. Hałas dobiegał znad rzeki, z miejsca, w którym Gabi od tygodni pracował nad swoją łódką.



Gabi nie miał wcale ochoty wodować łodzi przy świadkach. Nie wiedział, czy jest całkiem gotowa, i nie chciał przeżyć upokorzenia, jeśli coś pójdzie nie tak. Planował wykraść się samotnie. Wczoraj przesunął łódź blisko wody, popychając ją po chaszczach. Teraz leżała na niskim błotnistym brzegu, wewnątrz wsparte o burzę spoczywało wiosło.

Obrazek w książce, którą pożyczył od Jonasza, ukazywał samotnego mężczyznę na oceanie, zagubionego w swojej łódce. Ręce miał silne i muskularne, ale bezużyteczne: wyraźnie było widać, że wielkie fale wkrótce go pochłoną. *Nie ma wiosła*, pomyślał Gabi, przyglądając się uważnie obrazkowi. Może je zgubił. A może zapomniał zabrać? Teraz w żaden sposób nie zdołałby się uratować na przytłaczającym morzu. Potrzebował wiosła.

Przez jedną niemądrą chwilę Gabi skoncentrował się i spróbował zboczyć w obrazek mężczyzny, dowiedzieć się, jakie to uczucie płynąć samotnie po morzu i czekać na śmierć – i sprawdzić to samemu, będąc bezpiecznym, mogąc zakończyć zbaczanie w dowolnej chwili. Na moment poczuć ów strach i ruch wzburzonych fal.

Ale nie zadziało. Mężczyzna nie był prawdziwy. To tylko wymysł malarza, zwykłe plamy farby, nic więcej. Namalowany człowiek, który potrzebował wiosła.

Gabi był dumny z tego, które sam zrobił. Był dumny z całej łodzi, ale wiedział, że to prosta, prymitywna konstrukcja. Wiosło natomiast różniło się od niej diametralnie. Poszczyło mu się, gdy znalazł smukły młody cedr rozszerzający się u podstawy, idealny do jego celów. Gabi ostrożnie ściał drzewko, a potem z jego pnia wyrzeźbił wiosło. Miał wrażenie, że trwa to wieki, ale nosił je ze sobą do chaty chłopców i z powrotem, pracując nad nim wieczorami: rzeźbiąc ostrożnie, wygładzając, kształtując. Przyjaciele, nawet ci, którzy wyśmiewali się z łodzi, z podziwem patrzyli na pachnące słodko cedrem wiosło, jego wdzięcznie zakrzywione krawędzie i połysk drewna natartego olejem.

– Mógłbym wyciąć na nim swoje imię? Nieduże, ale tak, żebyś mnie zapamiętał? – poprosił Nathaniel.

Gabi zgodził się i patrzył, jak przyjaciel starannie rzeźbi swoje imię.

Potem poprosili Simon i Tarik, i inni. Nawet ci chłopcy, którzy wcześniej natrzęśli się z jego projektu, teraz z dumą dołączyli swoje podpisy.

Przyglądając im się, Gabi odkrył, że może zboczyć na moment w każdego z nich, gdy pochylali się nad wiosłem, w skupieniu wycinając litery. Czuł ich uczucia.

Wątpię, czy mu się uda, poczuł troskę Nathaniela. *Może zginąć w tej rzece.*

Mam nadzieję, że znajdzie matkę, wyczuł u Tarika. *Tak bardzo tego pragnie.*

Może i głupiec z niego, ale odważny, muszę przyznać. Chciałbym mieć taką odwagę. Gabiego zdumiało to uczucie Simona, który z pogardą podchodził do całego projektu.

W końcu poprosił nieśmiało Jonasza, by i on złożył swój podpis. Wyczuł, że mężczyzna boi się o niego, ale Jonasz nie dał tego po sobie poznać. Twarz miał spokojną i uśmiechnął się, gdy wręczył mu wiosło ze swoim imieniem.

Gabi zostawił na końcu zaokrągloną gałkę, mającą służyć za uchwyt. Druga strona rozszerzała się, tworząc szeroki trójkąt. Stał na brzegu rzeki i zanurzył wiosło, ciągnąc je pod prąd. Wymagało to siły. Ale Gabi był silny. Przez ostatnie miesiące zaczął nabierać masy: mięśnie miał twarde i wprost kipiał energią.

Po obiedzie zatrzymało go kilka domowych obowiązków. Niechętnie poskładał i schował pranie, uporządkował pokój. Teraz, zmierzając nad rzekę, ocenił pogodę: poranna mgła uniosła się, przez chmury widać było wąską smużkę słonecznego światła. Rzeka będzie gładka, pomyślał Gabi, czasem po burzy stawała się wzburzona i niebezpieczna. Nie obawiał się. Był pewien, że łódź da radę. Ale cieszył się, że pierwsza próba odbędzie się przy sprzyjającej pogodzie: wolał się nie spieszyć. Musiał nauczyć się, jak dokładnie operować wiosłem, jak sterować. Zgiął rękę, podziwiając własny biceps. Zastanawiał się, czy Deidre w ogóle go zauważyła. Potem zarumieniał się zawstydzony, że myśli o podobnych głupstwach.

– Gabi!

– Hej, Gabi!

Rozpoznał głos Tarika. Potem Simona i Nathaniela. Wypatrzyli go na ścieżce. Poirytowany zatrzymał się, czekając. Najwyraźniej odgadli jego plany. Dogoniła go cała grupa z chaty chłopców: z początku tylko Simon i Tarik, potem dołączyli do nich biegiem inni.

– Zamierzasz to zrobić, prawda, Gabi? Zwodować ją? Możemy popatrzeć?

– Jakby co, to cię uratujemy! – podsunął Tarik.

Gabi pragnął zrobić to sam. Za późno. No dobrze, niech patrzą. Kiedy nadejdzie czas, prawdziwy czas, dzień, gdy odpłynie na dobre – wówczas zrobi to sam. Może nocą. Zostawi w domu liścik i osobny dla Jonasza, pomyślał, z podziękowaniem – Jonasz tak wiele dla niego zrobił. Deidre? Nie, to głupota, żadnych listów do Deidre. Niech na zawsze pozostanie w niepewności.

Na razie jednak nie pisał listów, to przecież tylko ćwiczenie. Jak to nazywali w książce o łodziach? Próba morska. Tak, właśnie tak.

– Hej, Gabi?

Simon zauważył zwój liny obok szopy. Gabi obwiązywał nim sterty desek, by móc zaciągnąć je na miejsce. Zamierzał wkrótce oddać linę.

– Co?

– Może przywiążesz jeden koniec do łodzi, a my przytrzymamy drugi, kiedy ją zepchniesz? Wówczas gdybyś miał jakieś problemy, moglibyśmy cię wyciągnąć!

Gabi skrzywił się do niego.

– Jak dziecko w łódeczce na stawie?

– Nie, to znaczy...

– Zapomnij, Simonie, zostaw linę tam, gdzie jest. Pożyczyłem ją od Jonasza. Będzie chciał ją odzyskać. Ktoś chce dołączyć? To pomóżcie mi zepchnąć łódź do wody.

Kilku chłopaków ruszyło z zapalem na brzeg, gdzie łódka tkwiła w gęstym mule.

– Ale Gabi, posłuchaj! – Nathaniel wyraźnie się martwił. – Może powinieneś przynajmniej zabrać linę ze sobą do łodzi. Bo kiedy zechcesz zejść na brzeg, będziesz musiał się czegoś złapać. Może zrobiłbyś pętlę na końcu liny i zarzucił ją na pień drzewa czy krzak.

– Tak, on ma rację, Gabi – dodał ktoś.

Gabi stał obok łodzi wściekły. Wszystko zrujnowali, tłocząc się wokół, krytykując, przewidując katastrofę.

– Popatrz tutaj, te dwie deski nie do końca schodzą się ze sobą – zauważył nagle chłopak imieniem Stefan. – Czy przez szczelinę nie wpłynie do środka woda? – Pokazał palcem.

Gabi zerknął w to miejsce. Miał zamiar wypełnić szczelinę gęstą gliną i poczekać, aż zaschnie i stwardnieje.

– Kiedy deski się zmoczą – wyjaśnił – rozszerzą się i zetkną ze sobą.

Stefan nie wyglądał na przekonanego.

– Ale co, jeśli...

– Posłuchajcie – rzucił niecierpliwie Gabi – jeżeli wszyscy macie się o to zamartwiać, zapcham czymś tę szczelinę. Dajcie mi tę ścierkę. – Wskazał ręką leżący nieopodal szopy kawałek tkaniny, którym natłuszczał wiosło. Stefan rzucił go mu i Gabi podarł materiał na kawałki. Potem wcisnął skręcony pasek między dwie deski. – No, proszę – rzekł. – Zadowoleni? Cieszą się?

Stefan obejrzał się nerwowo na pozostałych na brzegu. Simon wzruszył ramionami. Nathaniel wyraźnie się denerwował. Tarik uśmiechnął się szeroko.

– Jasne – odparł. – Cieszymy się.

– Ucieszymy się, kiedy utoniesz – wymamrotał któryś z chłopaków i kilku innych wybuchnęło śmiechem.

Gabi nie zwracał już na nich uwagi; skupił się na zsunięciu łodzi do wody z błotnistej brzegu. Dłonie ślizgały mu się po wygładzonym drewnie. Pochylił ramiona i pchnął. Kilku innych chłopaków także pchało. Z nagłym szarpnięciem dno łodzi oderwało się od mułu i wsunęło do wody. Gabi wskoczył do środka, klapnął na tyłek i chwycił wiosło.

W tym miejscu na płyciźnie rzeka była bardzo spokojna. Najpierw uniósł się na kolana, potem stanął prosto, dla równowagi opierając się wiosłem o drewniane poszycie. Nie przewidział, że łódź będzie kołysać się i chybotać, tak jak teraz – by nie upaść, rozsunał boscie stopy. Wciąż znajdował się blisko brzegu. Z poczuciem triumfu zapomniał o gniewie i zniecierpliwieniu – w końcu stał pewnie w swej łodzi! Za moment uklęknie i zacznie sterować wiosłem. Ale na razie, uznał, najwłaściwiej będzie unieść wysoko głowę, oderwać jedną rękę od wiosła i pozdrowić obserwujących go z obawą przyjaciół. Odpowiedzieli uśmiechami.

I wtedy ku jego zdumieniu łódź zaczęła się obracać. Nie widział już przed sobą brzegu i kolegów, patrzył w stronę środka rzeki i dalej, na drzewa na przeciwległym brzegu.

No oczywiście, pomyślał, uświadomiwszy sobie, że jeszcze nie steruje. Ukląkł. Balansując niezgrabnie, uniósł wiosło i zanurzył w wodzie. Ćwiczył to, przeciągając szerszym końcem w rzece, i znał to uczucie, więc opór go nie zaskoczył. Pochylony naprzód szarpnął pod prąd; łódź zareagowała lekko, obracając się odrobinę, tak że

zobaczył chłopców, tyle że teraz stali dalej. Nurt ciągnął go z sobą, z dala od brzegu.

Przewidział to w swoich planach. Czas poćwiczyć panowanie nad łodzią, przyspieszanie i sterowanie. Manewrując wiosłem, skierował się nieco bliżej brzegu, który dopiero co opuścił. Ale rzeka znów go odsunęła. *No dobra*, pomyślał. *Muszę wiosłować szybciej*. Kilka długich, mocnych pociągnięć doprowadziło go blisko brzegu, przesuwając się jednak z prądem w dół rzeki i kępa młodych olch zasłoniła obserwujących go kolegów.

Zrozumiał, że trudno mu będzie wrócić. Prąd ciągnął go w przeciwną stronę.

– Wszystko w porządku? – Rozpoznał głos Nathaniela.

– Tak! – odrzyknął. – Po prostu sprawdzam, jak działa wiosło!

Łódź skręciła lekko i przechyliła się. Ciężko mu było odzyskać równowagę. Zaparł się mocniej stopami i kolanami i nagle poczuł, że są mokre – nie od nabrzeżnego błota, lecz od wody wciekającej przez szpary między deskami. Spróbował dobić do brzegu, pracując w rzece wiosłem, ale napełniona wodą łódź poruszała się ociężale.

Słyszał głosy chłopców, podniesione, zbliżające się, i zrozumiał, że przyjaciele biegną wzdłuż rzeki, podążając za nim. Łódź obracała się niezgrabnie i nie mógł jej opanować. Poziom wody wzrósł, zalewając dolną część jego nóg. Wiosło wydawało się coraz mniej użytecznym narzędziem do sterowania. W końcu ze złością wepchnął je do wody i poczuł, jak szoruje o dno. To spowolniło łódź. W krzakach zjawili się chłopcy, nawołując go.

– Hej! – ryknął Tarik. – Przyniosłem linę! Jeśli ją złapiesz, będziemy mogli przyciągnąć cię do brzegu.

Gabi wiedział, co chciałby odrzyknąć. Chciał odpowiedzieć: „Nie kłopotcie się! Mogę dowiosłować do brzegu” – ale zrozumiał, że to nieprawda. Wiosło tkwiło w mulistym dnie rzeki i w tej chwili niepewnie utrzymywało łódź w bezruchu. Lecz poziom wody wewnątrz wciąż się podnosił.

– No dobra, rzucajcie!

Przynajmniej złapał linę za pierwszym razem, bez dalszych upokorzeń. Okręcił nią przegub i zaczekał, aż Tarik mocno wbije stopy w brzeg. Dwaj inni chłopcy też sięgnęli po linę i kiedy Gabi zawołał: „Już!”, szarpnęli, a on wyciągnął blokującą łódkę wiosło. Ta zachybotła się, woda plusnęła, mocząc go wyżej pasa. Stopniowo zaczęła opornie sunąć ku brzegowi.

Kiedy zauważył, że dno szoruje o kamienie na płyciźnie, ujrzał też wyraźnie zatroskanego Jonasza.

– Muszę jeszcze nad nią popracować – wymamrotał, wychodząc na brzeg. Przywiązał koniec liny do łódki, przewlekając go przez szczelinę między deskami u góry. Drugi koniec odebrał Tarikowi i zaczął szukać pnia, do którego mógłby go uwiązać.

– Chłopcy! – Usłyszał głos Jonasza. – Czas szykować się do kolacji. Możecie już iść. Ja zostanę z Gabim. Dziękuję za pomoc.

Gabi obwiązał linę wokół smukłego pnia pobliskiego drzewka i obejrzał się na małą, ciekącą podróbkę łodzi, z której jeszcze niedawno był tak bardzo dumny. Teraz pokrywała ją warstwa błota, a ze szczeliny dyndał oderwany kawałek szmaty.

Jonasz czekał na niego w milczeniu, ze współczującą miną.

– Nie wiem, po co ją przywiązałem. Powinienem ją wypuścić, żeby zatoneła. – Głos

Gabiego drżał od łez próbujących przebić się na powierzchnię. Chłopak otarł mokre, umazane mułem dłonie w przemoczone szorty i wspiał się na brzeg, stając naprzeciw mężczyzny, który był dla niego niemal jak ojciec.

– Przykro mi – powiedział Jonasz.

– To nie jest nawet prawdziwa łódka, lecz kupa związanych razem desek, nic więcej.

– Wytarł twarz brudną ręką i spojrzał gniewnie na Jonasza, rzucając mu wyzwanie. – Ale pływała – dodał.

– Owszem, pływała.

– A moje wiosło naprawdę się sprawdziło.

Cała ta praca, tygodnie planowania, tygodnie budowy i nadziei. I po tym wszystkim mógł tylko stwierdzić, że wiosło się sprawdziło. Gabi czuł, jak wszystko mu się wymyka: marzenie o powrocie, o odnalezieniu matki, o staniu się częścią czegoś, za czym tęsknił przez całe życie. Wyobrażał sobie triumfalny powrót w miejsce, w którym się rozpoczęło. Śnił na jawie, że zostanie rozpoznany i powitany: „Spójrzcie! To Gabriel!”. W wyobraźni widział matkę biegnącą ku niemu z otwartymi ramionami, gotową objąć go, gdy wysiada z uśmiechem ze swej małej, solidnej łódki.

Rzeka wciąż rwała naprzód, płynęła spieniona i mroczna, niosąc ze sobą liście, piasek i gałązki z jednego miejsca w drugie. Jakimże był głupcem, sądząc, że poniesie i jego.

Z wściekłością kopnął łódkę, po czym odwrócił się.

– Chodź ze mną, Gabi. Możesz wrócić do mnie i tam się umyć. Kira da nam kolację i porozmawiamy. Muszę ci powiedzieć coś ważnego.

Gabi raz jeszcze skrzywił się pod adresem zniszczonej łodzi. Potem niechętnie wspiał się na śliski brzeg. Ściskając w dłoni wiosło, podążył za Jonaszem ścieżką wiodącą do Wioski.



Pamiętasz targowisko, Gabi?

– Tak, mniej więcej. Choć nie puszczali na nie dzieci. Trzeba było skończyć dwanaście lat.

– Dzięki za to niebiosom – mruknął Jonasz.

Gabi sięgnął do talerza i chwycił kolejne ciastko. Kira wspaniale gotowała: ciasteczka podane na deser były chrupkie, pełne suszonych owoców i orzechów. Choć nie liczył, miał wrażenie, że zjada już szóste.

Siedzieli z Jonaszem na zasłanej poduszkami kanapie. Gabi wcześniej wykąpał się i włożył przygotowane ubranie. Cieszył się, że nie musi wracać do chaty chłopców – po katastrofie z łodzią koledzy z pewnością by się z niego nabijali. Zapewne czeka go kilka tygodni drwin, ale przynajmniej na razie, pierwszego wieczoru, nie będzie musiał ich słuchać i próbować się uśmiechać.

Kira układała właśnie do snu dzieci. Gabi przyglądał się jej i maluchom wcześniej, gdy podała im kolację i wytarła umorusane, senne buzie, opowiadając cicho o uroczym dniu, o pikniku i zebranych kwiatach. W niewielkim glinianym dzbanku na stole pysznił się bukiet żółtych tojeści, purpurowych jeżówek i pierzastych paproci, rzucając w półmroku cień na ścianę.

Gabiego niezbyt interesowały dzieci; wolał rozmawiać z Brykasiem – starym, zapasionym psem śpiącym na podłodze – niż z Matthew i Annabellą. Drażniły go piskliwe głosy i zachłanne rączki. Ucieszył się, kiedy Kira zabrała ich w końcu do łóżek. Z rozbawieniem patrzył, jak Jonasz całuje spocone szyje i czule woła: „Dobranoc!”, gdy dreptali za matką.

A jednak. Jednak. Kiedy tak patrzył na Kirę z dziećmi, czuł ogromny smutek, którego sam do końca nie rozumiał. Odczuwał stratę, lukę we własnym życiu. Czy ktokolwiek... No dobrze: czy którakolwiek kobieta szeptała kiedyś do niego w ten sposób, czy delikatnie strzepywała okruchy z jego policzka? Czy ktoś mu kiedyś matkował? Jonasz twierdził, że nie. „Produkt fabryczny”, powiedział, opisując ze smutkiem jego pochodzenie.

Jednak Gabiemu wydawało się, że pamięta coś jeszcze. Mętny obraz, to wszystko. Ale rzeczywisty. Ktoś go tulił, ktoś szeptał do niego. Ktoś go kiedyś kochał. Był tego pewien. I był pewien, że zdoła to odnaleźć. Zdoła odnaleźć ją. Gdyby nie ta durna łódź.

– Spróbuj nie zasnąć, Gabi. Wiem, że masz za sobą długi dzień, ale chcę z tobą porozmawiać.

Gabi odpływał. Otrząsnął się, usiłując dojść do siebie, i pociągnął kolejny łyk herbaty z kubka.

– O targowisku? – spytał. – Ledwie je pamiętam. Wiem tylko, że słuchałem ludzi, którzy o nim rozmawiali. Brzmiało to nieco upiornie, ale też podniecająco. Zawsze mieliśmy ochotę zakraść się tam z chłopakami.

– Odbywało się przez kilka lat – odparł Jonasz. – Tak naprawdę nigdy nie zwracałem na nie uwagi, póki nie zostałem Przywódcą. Wtedy zacząłem dostrzegać, że... – Urwał, gdy Kira weszła do izby, niosąc w dłoni kubek herbaty. Usiadła w pobliskim fotelu. – Opowiadam Gabiemu o targowisku.

Skinęła głową.

– Mnie tu wtedy nie było – oznajmiła – ale Jonasz mi je opisał. – Skrzywiła się i zadrżała lekko. – Straszne.

Gabi nie odpowiedział. Zastanawiał się, czemu dyskutują o czymś, co skończyło się wiele lat wcześniej.

– Zawsze sądziłem, że to tylko zwykła rozrywka – podjął Jonasz. – Wszyscy ubierali się odświętnie i szykowali radośnie. Ale stopniowo zacząłem wyczuwać w nich także nerwowość, niepokój. Kiedy więc zostałem Przywódcą, zacząłem chodzić tam i obserwować.

Gabi ziewnął.

– I co dokładnie się tam działo? – spytał uprzejmie.

– Trochę przypominało to rytuał. Od czasu do czasu w Wiosce pojawiał się pewien człowiek; zawsze nosił dziwaczny strój i przemawiał w dziwny, pokręcony sposób. Nazywano go Handlomistrzem. Wchodził na scenę i kolejno wzywał do siebie ludzi. A potem zapraszał ich do wymiany.

– Wymiany? – powtórzył Gabi. – To znaczy?

– No cóż, ludzie mówili mu, czego najbardziej pragną, wypowiadali to głośno, tak że wszyscy słyszeli. A potem dodawali, na co gotowi są to wymienić. Ale tę część szeptali.

Gabi wyraźnie nie rozumiał.

– Daj mi przykład.

– Wyobraź sobie, że nadeszła twoja kolej. Wchodzisz na scenę i mówisz Handlomistrzowi, czego pragniesz najbardziej. O co byś poprosił?

Gabi zawahał się. Nie potrafił ująć w słowa tego, czego naprawdę pragnął. W końcu wzruszył ramionami.

– Chyba o porządną łódź.

– A potem wyszeptalbyś do niego, co bybyś gotów wymienić, by ją dostać.

Gabi skrzywił się.

– Ja nic nie mam.

– Większość ludzi tak uważa. Wówczas też tak myśleli. Ale przekonali się, że jest inaczej. Handlomistrz podsuwał im, że mogą wymienić części siebie.

Gabi wyprostował się, nagle rozbudzony i zaintrygowany.

– Coś jak palec czy coś? Albo ucho? Tu w Wiosce jest kobieta, która ma tylko jedno ucho. Drugie odcięli jej, nim do nas przyszła. Chyba w ramach kary za coś. Są miejsca, gdzie stosują tak okropne kary.

– Wiem. I wiem, o której kobiecie mówisz. Masz rację. Uciekła spod władzy okrutnego rządu. Ale Handlomistrz domagał się czegoś innego. Musiałeś wymienić – niech pomyślę, jak to opisać – część swojego podstawowego charakteru.

– Na przykład?

– Cóż, gdybyś chciał łódź, Handlomistrz mógłby ci ją dostarczyć. Ale pomyślmy o twoim charakterze, Gabi. Jaki jesteś? Powiedziałbym: energiczny.

– I mądry. Całkiem nieźle radzę sobie w szkole.

– Uczciwy. Sympatyczny.

– No cóż, jestem uczciwy, to prawda. Ale nie zawsze sympatyczny. Czasami bywam wredny dla Simona.

Jonasz zaśmiał się.

– No dobrze, jesteś energiczny. Zgoda?

– Tak, jestem energiczny.

– Zatem użyjmy tego. Przypuśćmy, że Handlomistrz mógłby ci dać świetną łódź, Gabi. Ale musiałbyś się wymienić. Masz na wymianę swoją energię, stoisz na scenie, on szepcze do ciebie, na czym polega wymiana, nikt inny nie słyszy, tylko ty. A potem pyta głośno: „Zgoda?”. A ty musisz odpowiedzieć.

– Łatwizna. Świetna łódź? Powiedziałbym: „Zgoda”.

– Zapisałby to.

– A ja dostałbym łódź.

– Owszem. Nigdy nie słyszałem o kimś, kto prosiłby o łódź, więc nie wiem, jak by się zjawiała, ale Handlomistrz dysponował zdumiewającą mocą. Zapewne następnego dnia na rzece czekałaby na ciebie piękna łódź.

– Tak! – Gabi, całkiem rozbudzony, słuchał zafascynowany wizją tego, jak łatwo mógłby zdobyć łódź.

– Nie zapominaj jednak, że dokonałeś wymiany. A on odebrał ci energię. Następnego ranka mógłbyś obudzić się i nie móc wstać z łóżka.

– To odpocząłbym jeden dzień i poczekał, aż ją odzyskam.

– Gabi, Handlomistrz ma ogromną moc. Mógłby na zawsze pozbawić cię energii.

– Czyli przez resztę życia siedziałbym w fotelu na kółkach czy coś?

– Możliwe.

– No dobra. To by się nie sprawdziło. Nie wymieniłbym energii.

– A jaki miałbyś inny wybór?

Gabi zastanowił się.

– Uczciwość. Mądrość. Może mógłbym wymienić którąś z nich.

– Przemyśl to.

– No, mógłbym wymienić uczciwość. Wówczas byłbym nieuczciwy, ale miałbym świetną łódź. – Wzruszył ramionami. – To mogłoby się sprawdzić.

Jonasz roześmiał się.

– Tak czy inaczej – rzekł – na tym właśnie polegało targowisko. Zaczęło niszczyć charaktery ludzi z Wioski, bo oddawali najlepsze części siebie, tak jak ty byłbyś gotów to zrobić, po to by zdobyć niemądre rzeczy, których – jak sądzili – pragnęli bądź potrzebowali.

– Łódź nie jest niemądra – zaprotestował Gabi. Ziewnął.

Jonasz wstał i podszedł do bulgoczącego czajnika. Nalał sobie kolejny kubek herbaty.

– Kiro? Herbaty? – spytał, ale ona pokręciła tylko głową. – Uwierz mi na słowo, Gabi – rzekł, wracając na miejsce. – Handlomistrz przejmował władzę nad Wioską. A sam był czystym złem. Zrozumieliśmy to wyraźnie, kiedy umarł Matty. To był koniec

targowiska.

Gabi dostrzegł, że Kira ukrywa twarz w dłoniach. Była bardzo blisko z Mattym.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Za oknem zaczął padać deszcz, słyszeli, jak bębni o dach.

– Gabi, chcę z tobą pomówić o mocach – rzekł w końcu Jonasz.

– O mocach? – Gabiego nagle ogarnął niepokój. Wkraczali na tereny, do których już kiedyś się zbliżyli.

– Może lepsze określenie to „dar”. Ja sam dysponuję pewną mocą. Albo darem. Zrozumiałem to, gdy byłem młody, miałem jakieś dwanaście lat. Potrafiłem skupić się na czymś i nakazać sobie ujrzeć... – Westchnął, zerkając na Kirę. – Nie wiem, jak mu to opisać.

Kira spróbowała.

– Jonasz umie spoglądać poza, Gabi. Widzi inne miejsce. Ale musi bardzo mocno się starać. To mu odbiera siły.

– A moc słabnie – dodał Jonasz. – Czuję, jak mnie opuszcza. Kira doświadcza tego samego.

– Chcesz powiedzieć, że i ona ma dar?

– Mój jest inny. Mój zawsze działał poprzez ręce – wyjaśniła Kira. – Zrozumiałam to wtedy, kiedy Jonasz, gdy byłem młoda. Moje ręce zaczęły robić rzeczy – tworzyć rzeczy – niedostępne zwyczajnym dłoniom. Ale teraz... – uśmiechnęła się – mnie też opuszcza ten dar. I nie szkodzi. Myślę, że nie potrzebujemy ich już z Jonaszem. Użyliśmy ich, by stworzyć sobie tutaj życie. Pomagaliśmy innym. I nasz czas władania mocą upływa. Ale rozmawialiśmy o tobie, Gabi. Jesteśmy pewni, że i ty masz jakiś dar.

– Czulem to, gdy byłeś jeszcze bardzo mały – dodał Jonasz. – Gdy cię zabrałem i uciekłem z miejsca, w którym mieszkaliśmy. Czekałem, aż dar ci się ukaze. – Zerknął na Gabiego, jakby w tym momencie coś miało się stać. Chłopak poruszył się zakłopotany.

– No cóż – powiedział w końcu. – To chyba nie dar budowy łodzi?

Jonasz zaśmiał się.

– Nie. Ale przejawiasz wielką determinację. To dobrze ci służy. I myślę, że będziesz jej potrzebował, a także swojej energii, w istocie wszystkich swych cech, łącznie z dodatkowym, wyjątkowym darem, którego jeszcze nie odkryłeś...

Ależ odkryłem, pomyślał Gabi. Potrafię zbaczać. Milczał jednak. Po prostu nie był gotów o tym mówić.

– ...ponieważ czeka cię trudne zadanie – dokończył Jonasz.

– To znaczy?

– Zamierzam użyć resztki swej mocy – oświadczył Jonasz. – Zamierzam po raz ostatni spojrzeć poza.

– Dlaczego? – Kira zdumiała się.

– Dlaczego? – powtórzył Gabi.

– Muszę znaleźć Handlomistrza – wyjaśnił Jonasz. – Wciąż gdzieś tam jest. Całkiem blisko. I jest bardzo niebezpieczny.

Deszcz lał coraz mocniej, zerwał się też wiatr. Gałęzie drzew smagały ściany domu. Kira wstała nagle z fotela i zamknęła okno. Jonasz nie zwracał na nią uwagi.

– I, Gabi? – dodał. – Kiedy go znajdę...

Gabi czekał. Zapomniał już o śnie.

– ...wówczas wszystko będzie zależeć od ciebie. Musisz go zniszczyć.

– Ja? Czemu ja? Nic mnie z nim nie łączy!

Jonasz odetchnął głęboko.

– Wszystko cię z nim łączy, Gabi. Ale to bardzo długa historia. Zamierzałem opowiedzieć ci ją dzisiaj, ale widzę, jaki jesteś zmęczony. Poza tym już późno. Prześpijmy się teraz. Rano wszystko ci wyjaśnię.



Z liści ściekała woda, skapując na mokrą trawę, ale deszcz ustał i wzeszło blade słońce. Był już późny ranek. Gabi się ocknął – spał niespokojnie na kanapie, aż w końcu przywołany do rzeczywistości odgłosami codziennej krzątania ziewnął i otworzył oczy. Patrzył, jak Kira zajmuje się dziećmi: przemawiała łagodnie, lecz stanowczo do Matthew, który próbował odebrać siostrze zabawkę. Annabella ścisnęła ją mocno w piąstce, patrząc hardo na brata.

– Nie! – powtarzała.

Kira roześmiała się. Gdy spostrzegła, że Gabi nie śpi, odwróciła się od maluchów.

– Jak się czujesz? – spytała. – Bardzo długo spałeś.

Gabi przytaknął. Rozejrzył się po pokoju.

– Nic mi nie jest. Miałem dziwne sny. Przepraszam, że tak zasnęłam. Trzeba było mnie obudzić. Jest tu Jonasz?

– Nie. Musiał wyjść.

– Ale obiecał mi wyjaśnić...

– Wiem. I zrobi to. Lecz dziś wczesnym rankiem dostał pilne wezwanie. Ktoś w Wiosce poważnie zachorował.

– Po co go wołali? Nie jest przecież uzdrowicielem. Zwykle potrzebują Zielarza.

Kira wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. Najwyraźniej ta kobieta poprosiła o niego. Głodny? Dzieci dostały właśnie chleb z dżemem. Chciałbyś też?

Podszedł do stołu. Nalała mu mleka do grubego kubka. Wypił trochę i posmarował malinowym dżemem pajdę świeżo upieczonego chleba o chrupkiej skórce. Patrzył, jak gospodyni znów skupia uwagę na dzieciach.

– Myślisz, że kiedy będą starsi, przypomną sobie tę chwilę?

– Klótnię o zabawkę? Jedzenie chleba z dżemem? Raczej nie. Są za mali na podobne szczegółowe wspomnienia. Ale myślę, że będą pamiętać ogólne wrażenie, że ktoś się nimi opiekował, ktoś upominał ich od czasu do czasu, może też podnosił i tulił. – Ponownie napełniła pusty kubek. – A czemu?

– Nie wiem. Po prostu się zastanawiałem.

– Chyba pamiętam czasy, gdy byłam bardzo mała i spałam obok matki. Teraz, kiedy o tym myślę, jej ciepło powraca. I chyba mi śpiewała. Mogłam być w wieku Annabelli. – Kira uśmiechnęła się. – Tyle że ja jeszcze wtedy nie chodziłam. Bardzo długo nie nauczyłam się chodzić z powodu mojej nogi.

Jedną nogę miała wykręconą – to dlatego chodząc, wspierała się na kij. Zerknął na nią, na jej łaskę. Ale myślami był gdzieś indziej.

– Ja nie mam nawet jednego takiego wspomnienia.

– A co pamiętasz, Gabi? – spytała Kira.

– Jechałem w siedzisku z tyłu roweru. Znasz rower z muzeum?

– Oczywiście.

– Trochę go pamiętam. Ale to Jonasz przywiózł mnie tu na nim, nie był moim rodzicem. Nie pamiętam matki tak jak ty, tak jak będą pamiętać Matthew i Annabella. Oprócz... – Zawiesił głos.

– Oprócz czego?

Gabi poruszył się w fotelu, zawstydzony.

– Była tam kobieta. Wiem, że była. I kochała mnie.

Kira uśmiechnęła się.

– Oczywiście.

– Kiro, ja naprawdę to wiem. Zeszłej nocy, kiedy opowiadaliście z Jonaszem o waszych darach...

Spojrzała na niego.

– Tak?

– Nie chciałem wam mówić. Nie wiem dlaczego. Może po prostu potrzebowałem go wypróbować jeszcze raz.

– Ale co? – Kira zerknęła na bawiące się cicho dzieci, podeszła do stołu i usiadła obok Gabiego.

– Mój dar. Mam go. Nazywam go zbaczaniem.

– Mów dalej.

– Z początku po prostu się to działo. Zawsze mnie zaskakiwało. Ale potem odkryłem, że mogę sam wybrać chwilę. Mogę tym kierować. Mogę przywoływać. Czy tak właśnie wyglądało to u ciebie?

Kira przytaknęła.

– Owszem, dokładnie tak.

– A dziś rano, zaledwie parę minut temu, byłaś tam z dziećmi. – Gabi wskazał ruchem głowy kąt pokoju, w którym dwoje maluchów z zapalem budowało wieżę z klocków. – Leżałem półprzytomny na kanapie, patrzyłem i postanowiłem zboczyć w Matthew.

– W Matthew? – Kira wyraźnie nie rozumiała.

– Tak, bo to chłopiec. Pewnie niezbyt się różni od dziewczynki, ale musiałem wiedzieć, jak to jest być małym chłopcem patrzącym na matkę.

Oboje obejrzel się na Matthew. Wysunął z ust język i ze zmarszczonym czołem w skupieniu ułożył błękitny drewniany trójkąt na stercie kwadratowych czerwonych klocków.

– Wtedy skoncentrowałem się bardzo mocno. Najpierw pojawia się cisza. Rozmawiałaś z dziećmi, pokazywałaś im, jak połączyć ze sobą klocki, i gdy powiedziałaś: „Widzicie kształty?”... Trzymałaś w dłoni żółty i...

– Tak. Annabella mi go zabrała – wtrąciła Kira.

– Możliwe. Tego nie pamiętam, bo pojawiła się cisza. Nigdy nie dostrzegam, co się dzieje, kiedy nastanie cisza. A potem ja... No cóż, zboczyłem w Matthew. Wszedłem w Matthew.

– Nawet nie wstałeś z kanapy.

– Nie, moje ciało się nie rusza. Ale świadomość się przemieszcza.

Kira pokiwała głową.

– A potem – podjął Gabi – stałem się częścią uczuć Matthew w tym momencie.

Czułem je. Rozumiałem.

– Zatem twój dar to zrozumienie, co czują inni?

– Więcej niż zrozumienie. Ja to czuję. I dziś rano, gdy to robiłem, poczułem, jak ja sam, moje dziecięce ja doświadczało tego, co w tym momencie przeżywał Matthew.

Dostawał tak wiele miłości od swojej matki.

Kira, zaczynając pojmować, pokiwała głową.

– Dla Matthew miłość promieniowała ze mnie. Ale ty, Gabi, wspominałeś...

– Tak. Nie znam jej imienia, nie mam pojęcia, gdzie jest. Ale wiem na pewno, kim jest.

Oboje siedzieli w milczeniu, obserwując bawiące się dzieci.



Później pomógł jej uprzątnąć brudne talerze.

– Zabiorę dzieci na spacer – oznajmiła Kira. – Chcesz pójść z nami? – Zdjęła z haczyka na ścianie dwie małe kurtki.

– Kiedy wróci Jonasz?

– Nie wiem. Dziwię się, że nie ma go tak długo.

– Jeśli wolno, zaczekam tu na niego.

– Oczywiście. Macie wiele do omówienia.

Gabi wyjrzał przez okno na krętą ścieżkę przecinającą Wioskę. Ludzie maszerowali nią pospiesznie, zaprzętnięci codziennymi sprawami. Za sadem widział bibliotekę; wyglądała na zamkniętą. Nieopodal, na błoni, dzieci ganiały za piłką, którą podawały sobie nawzajem; słyszał ich krzyki. Był to zupełnie zwyczajny dzień w porządnym, spokojnym miejscu. A jednak gdzieś w Wiosce ktoś bardzo ciężko chorował i Jonasz był przy nim.

– Chyba pójdę go poszukać – oznajmił nagle. – Wiesz może, dokąd poszedł? Kto dokładnie zachorował?

Kira uniosła wąski rękaw i wsunęła w niego pulchną rączkę Annabelli.

– Teraz z drugiej strony – rzekła do dziewczynki, podsuwając drugi rękaw. – Dasz sobie radę? – spytała Matthew, którego kurtka leżała na podłodze przed nim. Chłopiec uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową. – To kobieta imieniem Klara – dodała pod adresem Gabiego, odpowiadając na jego pytanie. – Na pewno spotkałeś ją w Wiosce. Jest bardzo, bardzo stara.

– A, ona! Tak, często ją widuję.

– No cóż, obawiam się, że już niedługo. Wygląda na to, że jej czas się kończy. – Zapiąwszy kurtki obojga dzieci, Kira skierowała się do drzwi z Annabellą w ramionach i Matthew u boku. – Możesz mi je otworzyć?

– Czy nie będzie ci przeszkadzać, że zostawię tu wiosło? – Zerknął w kąt, gdzie stało oparte o ścianę, połyskując złościście w promieniach słońca.

– Oczywiście, że nie. I nie pozwolę dzieciom się nim bawić.

Gabi pomógł jej zejść z frontowych stopni.

– Wiesz, gdzie ona mieszka? A może leży w szpitaliku?

– Jonasz poszedł do niej do domu. Stoi gdzieś tam. – Kira wskazała głową miejsce za biblioteką. – Za szkołą.

Gabi dostrzegł pogrążone w głębokim cieniu małe domki wśród drzew.

Podziękował jej szybko za posiłek i miejsce do spania po tak ciężkim dniu. Potem, gdy Kira poprowadziła dzieci na pobliski plac zabaw, on zaczął biec w miejsce, w którym mieszkała Klara i teraz przebywał Jonasz. Chciał porozmawiać dłużej o wczorajszej propozycji. Od chwili przebudzenia tylko o tym myślał. Miał zabić kogoś imieniem Handlomistrz? To przecież bez sensu! Jonasz to człowiek spokojny i pełen współczucia. No dobrze, może ów Handlomistrz jest naprawdę zły. Może nawet to wcielenie czystego zła. Ale nie zaczepiał nikogo, kogo znali. Będą na niego uważać, a jeśli spróbuje wrócić do Wioski i komuś zaszkodzić, po prostu go przepędzą.

Ha, pomyślał z cierpkim uśmiechem Gabi. Może powinni po prostu wsadzić go do mojej durnej łodzi i mocno zepchnąć na rzekę.



Domek stał w gęstej kępie drzew, ale Gabi bez trudu znalazł miejsce zamieszkania Klary. Na zewnątrz zastał kilka starych kobiet z ponurymi minami, mamroczących do siebie.

– Tak nagle! – Usłyszał jedną z nich. – Dopadło ją niespodziewanie. Jeszcze wczoraj wieczorem czuła się dobrze.

– Tak to już bywa – odparła znacząco wysoka, siwowłosa kobieta; kilka innych przytaknęło.

Gabi przeprosił je uprzejmie, przechodząc do drzwi.

– Czy jest tam Jonasz? – spytał.

Któraś potwierdziła.

– Przede wszystkim poprosiła, by go wezwać. Dziwne – mruknęła.

– Mógłbym tam wejść?

Wyraźnie nikt nad niczym nie panował, bo wszystkie spojrzały na niego oszołomione. Uznał to za zezwolenie. Drzwi były uchylone, zastukał zatem szybko w drewno i nie doczekawszy się odpowiedzi, przekroczył próg. We wnętrzu panował mrok. Na dworze po nocnym deszczu świeciło jasne słońce, lecz przez małe okna i grube zasłony światło nie przenikało do środka. Poczul zapach stęchłego jedzenia, starości, suszonych ziół i kurzu.

Zielarz, zazwyczaj opiekujący się chorymi, siedział w milczeniu w fotelu na biegunach.

Gabi rozejrzał się.

– Jonasz?

– Tutaj.

Podążając za głosem, znalazł Jonasza siedzącego w cieniu przy łóżku. I znów w jego głowie zadźwięczało pytanie. Czemu? Czemu staruszka wezwała go do siebie?

Jak szybko Jonasz będzie mógł przeprosić i odejść? Gabi musiał z nim pogadać. Wczorajsza wieczorna rozmowa sprawiała wrażenie naglącej, więcej niż naglącej. Przeraziło go, że Jonasz, najspokojniejszy i najłagodniejszy z ludzi, najwyraźniej

nakazywał mu popełnić morderstwo i niczego nie wyjaśnił. Oznajmił tylko, że omówią to dokładniej rano.

Teraz ranek już minął i Gabi chciał się dowiedzieć więcej. Stara kobieta umierała, jak to staruszkowie – ot, naturalna kolej rzeczy. W pobliżu czekały przyjaciółki, w kącie siedział Zielarz. Nie potrzebowała Jonasza. Nie tak bardzo jak on, Gabi.

– Nie mógłbyś wyjść? – wyszeptał, podchodząc bliżej. – Musimy porozmawiać. Obiecałeś wyjaśni...

– Ciii. – Jonasz uniósł dłoń.

Teraz w słabym świetle Gabi widział go wyraźnie, tak samo kobietę w łóżku. Oczy miała otwarte i bez wątpienia go dostrzegła, szczupłe palce poruszały się, skubiąc rąbek koca. Jonasz przyglądał jej się z uwagą. Nagle pochylił się naprzód, jakby nasłuchiwał. Jej wąskie, zaschnięte wargi poruszyły się. Gabi z początku nie słyszał, co mówi, ale Jonasz owszem. Kiwał głową.

Gabi stał tam niepewnie. Usta kobiety znów się poruszyły i zorientował się, że się nachyla i słucha. Tym razem, z bliska, dosłyszał jej słowa.

– Powiedz mu – mówiła do Jonasza.



Przykro mi. Po prostu w to nie wierzę.

W stanowczym głosie Gabiego dźwięczała sceptyczna nuta.

Jonasz nachylił się ku niemu, wspierając łokcie na kolanach. Na moment ukrył twarz w dłoniach. Siedzieli razem na ławce za biblioteką, tej samej, na której niedawno rozmawiał z Klarą.

Teraz uniósł wzrok i westchnął.

– To samo czułem wczoraj, gdy mi to opowiedziała. Siedziałem tu i myślałem: ta kobieta to wariatka. Czy tak właśnie myślisz o mnie, Gabi?

Gabriel potrząsnął głową, odwracając wzrok. Bardzo chciał być gdzieś indziej. Z kolegami z domu. Budując kolejną łódź. Topiąc kolejną łódź. Nieważne. Gdziekolwiek, byle nie musieć słuchać niewiarygodnej historii opowiedanej mu przez człowieka, którego kochał. A zeszłej nocy ten sam człowiek mówił o potrzebie zniszczenia kogoś. Przerazało go to. I smuciło.

Odwrócił się do Jonasza.

– Wiesz co? – Starał się, by zabrzmiało to kojąco. – Ostatnio bardzo ciężko pracowałeś. Pewnie za dużo czytałeś. Powinieneś pójść na długi spacer nad rzekę, spokojny, odświeżający...

– Gabi. Posłuchaj mnie! Nie mamy wiele czasu. To nie jest szalony wymysł, lecz prawda. Ona cię pamięta. Pamięta mnie. Ona... – Jonasz urwał i odetchnął głęboko. – Wiem, że kiedy opuszczaliśmy społeczność, byłeś bardzo mały i nie przypominasz sobie tych rzeczy. Ale ja owszem, Gabi. Pamiętam, jak ją tam widziałem. Pracowała w wylęgarni ryb, a w wolnych chwilach przychodziła do ośrodka opieki i pomagała. Robiła to, bo ty tam byłeś.

Ona cię urodziła. Tak się to działo w tamtym miejscu. Młode dziewczyny produkowały niemowlęta – tyle że nie nazywano ich niemowlętami, ale nowymi dziećmi. Rodzicielki wypychały je z siebie jak produkty fabryczne. A potem dzieci przenoszono do ośrodka opieki i w końcu przydzielano parom, które o to wystąpiły.

– Tak właśnie dostali cię twoi rodzice? – domyślił się Gabi.

Jonasz przytaknął.

– Czyli jakaś dziewczyna cię urodziła?

– Tak.

– Ale nie wiesz kto?

Jonasz pokręcił głową.

– I jakaś inna dziewczyna – a może ta sama? – kilka lat później urodziła mnie.

– To Klara cię urodziła. Byłeś jej jedynym dzieckiem.

– Ale mówiłeś, że pracowała w tej rybiarni.

Jonasz przytaknął.

– Tak. Uznali, że nie poradzi sobie z kolejnymi porodami. Miała problemy przy twoich narodzinach. Posłali ją zatem do innej pracy. Ale cały czas czuwała nad tobą. Kochała cię, Gabi. Lecz miłość była niedozwolona.

Gabi schylił się, zsunął z nogi sandał i wytrząsnął z niego kamyk ocierający mu palec. Patrzył, jak ptak trzepocze na pobliskim drzewie; zauważył, że w dziobie trzyma gałązkę. Obejrzał zadrapanie na ręce. Potem ziewnął, przeciągnął się, odpiął i ponownie zapiął ostatni guzik koszuli, sprawdził paznokcie.

Jonasz przyglądał mu się.

– Wiesz co? – powiedział w końcu Gabi. – Chyba wierzę w to wszystko. Wcześniej opowiadałeś mi o tym, jak wyglądało wasze osiedle. Zatem jest tam dziewczyna. Rodzi mnie. W to wierzę. Jonaszu? Wiem, że naprawdę mnie kochała, ale...

Jonasz pokiwał głową.

– Wiem. Chodzi o resztę.

– Tak, reszta to wariactwo. Ta staruszka? Mam uwierzyć, że jakiś gość w dziwnym stroju...

Zauważył, że Jonasz nie patrzy już na niego. Spoglądał poprzez trawnik na ścieżkę. Gabriel podążył za jego wzrokiem i ujrzał Mentora, starszego dyrektora szkoły, wędrującego powoli. Nic w tym dziwnego. Szkoła miała wakacje. Mentor stanowił nieodłączną część Wioski i często po niej spacerował.

Ku zdumieniu Gabiego Jonasz wstał z ławki i zawołał Mentora.

– Chodź ze mną – polecił.

Gabi podążył szybkim krokiem za Jonaszem w stronę ścieżki, na której czekał na nich Mentor. Brodaty nauczyciel garbił się, twarz miał pomarszczoną, lecz spoglądające z niej oczy błyszczały życiem i inteligencją. Gabi zawsze lubił Mentora, choć nie przepadał za szkołą.

– Dzień dobry, panowie – powitał ich tamten. – Co mogę dla was zrobić tego pięknego ranka?

– Mentorze – zaczął Jonasz – próbuję wyjaśnić Gabiemu, kim był Handlomistrz. Wytłumaczyć jego moce.

Mentor wzdrygnął się gwałtownie.

– To już przeszłość – rzucił ostro. – Zapomniana.

– Niestety nie – odparł Jonasz. – Mamy dość nagłą sytuację. Opiszę ci ją później. Ale w tej chwili potrzebuję cię, musisz pomóc mi przekonać Gabiego, że moce Handlomistrza istnieją. Trudno mu w to uwierzyć.

– Bo w to faktycznie trudno uwierzyć – zgodził się Mentor i pokiwał głową. – W tak spokojnej wsi trudno sobie wyobrazić prawdziwe zło.

– Nie mamy wiele czasu, Mentorze. Mógłbyś opisać Gabiemu dokonaną przez siebie wymianę?

Mentor westchnął.

– To konieczne? – spytał Jonasza.

– Konieczne i bardzo ważne.

Nauczyciel przytaknął.

– Rozumiem. Dobrze zatem. Działo się to wiele lat temu, Gabi. Byłeś wówczas

małym chłopcem. Pamiętam, jak bardzo psociłeś w szkole. Czasem nie uważałeś.

– Wiem – przyznał zawstydzony Gabi.

– Byłeś zbyt młody, by chodzić na targowisko. Ale na pewno o nim słyszałeś.

Gabi wzruszył ramionami.

– Chyba tak. Brzmiało dość tajemniczo.

– Część z nas, dorosłych, chodziła za każdym razem. Stanowiło to niezłą rozrywkę, kiedy patrzyliśmy, jak inni mieszkańcy robią z siebie durniów. Ale ty zwykle nie przychodziłeś, prawda, Jonaszu?

Jonasz pokręcił przecząco głową.

– Nie interesowało mnie to, póki nie wyrwało się spod kontroli. Wówczas byłem już Przywódcą i musiałem zacząć działać.

– Ja byłem głupcem. Jak wielu z nas. Stary człowiek, wdowiec, samotny. Mieszkałem z córką, ale wiedziałem, że pewnego dnia wyjdzie za mąż i zostanę zupełnie sam. Użalałem się nad sobą. Miałem też to znamię; przez nie uczniowie nazywali mnie Różem, pamiętasz, Gabi?

Gabi spojrział na ciemnoczerwoną plamę na policzku Mentora i przytaknął.

– Nie mieliśmy nic złego na myśli.

– Oczywiście, że nie. – Mentor uśmiechnął się. – Ale byłem wtedy głupi i samolubny. Pociągała mnie też pewna kobieta, wdowa. Rozumiesz to chyba, prawda? Chłopcy w twoim wieku rozumieją.

Instynkt nakazał Gabiemu udawać niewiedzę, pytanie go zawstydziło. Ale widząc, jak Mentor i Jonasz wpatrują się w niego, pojął, że czas na szczerość.

– Tak – odparł. – Rozumiem.

– A zatem... – Mentor westchnął ciężko. – Poszedłem na targowisko i po raz pierwszy poprosiłem o wymianę.

– Co chciałeś dostać?

Mentor zaśmiał się z goryczą.

– Powiedziałem Handlomistrzowi, że chcę być młodszy i przystojny. Pragnąłem, by wdowa po Magazynierze zakochała się we mnie.

Gabi wbił wzrok w ziemię. Wstydział się za Mentora, za to, że musi wyznać mu własną głupotę.

– Nie mógł przecież dokonać podobnej przemiany, prawda? Trzeba było poprosić, no nie wiem, może o nowe ławki do szkoły.

– Zło może dokonać wszystkiego, Gabi – odparł Mentor. – Za stosowną cenę.

Gabi zapatrzył się w niego.

– Jaka była cena? – spytał po chwili.

– Warunki podał mętne. Wystarczająco mętne, by wydawały się nieistotne. Handlomistrz jest bardzo przebiegły: ustala zasady, ale zgadzając się na wymianę, tak naprawdę ich nie rozumiemy. Powiedział mi, że będę musiał oddać swój honor.

– A ty odmówiłeś.

Mentor pokręcił głową.

– Zgodziłem się. I to z zapalem. Mówiłem, że byłem głupi.

– Ależ Mentorze! Jesteś przecież człowiekiem honorowym! Wszyscy to wiedzą. A poza tym nie chciałbym być niemiły, ale trudno nazwać cię młodym czy przystojnym. Czyli wymiana nie zadziałała! Nikt nie ma takiej mocy, nawet ktoś zły!

– O tak, zadziałała. Działała u wielu z nas w Wiosce. Co do mnie, stałem się wyższy, a moja łysina zniknęła. Gęste włosy w miejsce lśniącej czaszki! Znamię? Zaczęło blaknąć i *puf!* Zniknęło! Może nie zauważyłeś, Gabi. Byłeś wtedy dzieckiem i działało się to latem, podczas szkolnych wakacji. Ale na krótko byłem człowiekiem młodszym i przystojniejszym. Zacząłem zalecać się do uroczej wdowy. I wiesz co, Gabi?

– Co?

Gabi słuchał oszołomiony. Czyli Handlomistrz, kimkolwiek był, faktycznie dysponował niewiarygodną mocą. Mógł dokonać wymiany z kobietą – jak miała na imię? Klara? Próbował skupić się na słowach Mentora, ale jego myśli krążyły teraz wokół tego, co to wszystko oznaczało, co oznaczało dla niego, Gabiego, i dla kobiety, Klary, która być może dokonała straszliwej wymiany po to, by znaleźć swego... swego...

– Jestem jej synem – wyszeptał.

Mentor go nie usłyszał. Mówił dalej.

– Wymieniłem najważniejszą część mnie. Stałem się samolubny. Okrutny. Uroczą wdowa nie chciała kogoś takiego! Dokonałem zatem bezsensownej wymiany i stałem się kimś, kogo sam nienawidziłem – ale przystojnym! I młodym!

Gabi zmusił się, by wysłuchać nauczyciela.

– Co zmieniło cię z powrotem? Teraz jesteś człowiekiem honoru, Mentorze.

– Wkroczył Jonasz. Targowisko niszczyło całą Wioskę. Wiele osób oddało najlepsze części siebie. Zwróciliśmy się przeciw sobie. Wybuchła zazdrość, chciwość i... To musiało się skończyć. Nastąpiła seria strasznych wydarzeń, straciliśmy jednego z naszych najlepszych młodych ludzi...

– Matty’ego?

– Tak. Matty zginął, walcząc ze złem. Ale dzięki niemu reszta z nas przeżyła i odzyskała siebie. Moja łysina i znamię powróciły! – Roześmiał się. – I straciłem ów niemądry romans. Dziś nadal jestem kawalerem.

– I wygnaliśmy Handlomistrza – przypomniał mu Jonasz.

– Owszem, na zawsze. – W słowach Mentora dźwięczała ulga i satysfakcja. Odwrócił się, by odejść, potem jednak spytał powoli, z obawą: – Dzieje się coś złego?

Jonasz przytaknął.

– On wrócił.

Mentor zamarł oszołomiony.

– Czyli znów trzeba stoczyć tę bitwę?

Jonasz skinął głową.

– Tym razem musimy mieć pewność, że będzie ostatnia.

– Kogo teraz wyślemy na śmierć? – spytał Mentor ze smutkiem i goryczą. Jak wszyscy kochał Matty’ego.

– Ja pójdę – poinformował go Gabi.

Mentor milczał. Potem bez słowa odwrócił się od nich.

Gabi i Jonasz stali, odprowadzając wzrokiem podstarzałego nauczyciela. Stąpał wolno, przygarbiony.

– Odzyskał siebie – rzekł po chwili Gabi.

Jonasz przytaknął.

– Istotnie.

– To oznacza, że wymianę można cofnąć.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Boję się.

– Ja także – odparł Jonasz. – O ciebie i o nas wszystkich.

To moja matka. To moja matka. Gabi odetchnął głęboko.

– Ile zostało nam czasu? – spytał.



Pospieszyli z powrotem do domku, w którym umierała Klara. Słońce już zachodziło. Ktoś zapalił stojącą na stole lampę olejną. Tym razem w migotliwym złocistym świetle Gabi bez wahania podszedł do łóżka. Sądził, że wie, co chce powiedzieć: że całe życie czekał, aż ona go znajdzie. Że rozumie ofiarę, jakiej to wymagało. Że jej starość nie ma znaczenia. Liczy się to, iż są razem.

Kiedy jednak ukląkł przy niej, przekonał się, że już za późno. Oczy miała półprzymknięte i szkliste, kąciki warg opadły. Gdy ujął leżącą na kocu dłoń, okazała się zimna i bezwładna. Nie ukrywając łez, odwrócił się do stojącego z tyłu Jonasza.

– Chciałem jej powiedzieć, że wiem! Chciałem jej powiedzieć, że ją pamiętam! Ale spóźniłem się – wyszłochał. – Odeszła.

Jonasz łagodnie odsunął na bok Gabiego. Pochylił się i dotknął chudej, żyłastej szyi Klary. Potem przyłożył głowę do piersi staruszki, nasłuchując uważnie.

– Jej serce wciąż bije – poinformował Gabiego. – Jest bardzo bliska śmierci, ale nadal żyje. Mamy jeszcze trochę czasu, a mnie została odrobina niegdysiejszego daru. Teraz jednak ją zużyję. Zamierzam spojrzeć poza i spróbować ustalić, gdzie on jest. Potem już wszystko w twoich rękach. Twój dar jest wciąż młody.

– Czy musisz pójść w jakieś szczególne miejsce? – spytał Gabi, ocierając oczy rękawem koszuli.

– Nie. Tylko zebrać siły. I potrzebuję ciszy, by się skupić. Klaro, słyszysz mnie? – dodał Jonasz, zwracając się do staruszki. Nie odpowiedziała, odetchnęła powoli, głęboko. – Gabi przy tobie posiedzi. Gabi, weź ją za rękę, żeby wiedziała, że tu jesteś.

Gabi ujął sękatą dłoń.

– Teraz zamknę drzwi domku, żeby nikt nie wszedł do środka i żeby było cicho. Będę tu, przy oknie – przemawiał do nich obojga. – Podobno trudno się to ogląda, Gabi. Ale nie bój się. To nie jest bolesne, tylko bardzo wyczerpujące. Nie powinno potrwać długo.

Jonasz wyszedł przed domek, zamienił parę słów ze zgromadzonymi tam ludźmi, a potem zamknął i zabezpieczył drzwi haczykiem. Gabi widział, że w jakiś sposób mężczyzna już się zmienia: stawał się kimś innym niż zwyczajny, miły człowiek, którego znał. Jonasz podszedł do okna i zamarł, wyglądając przez nie w noc, choć oczy miał półprzymknięte. Oddychał głęboko, bardzo wolno, wdech, wydech. Nagle stęknął, jakby poczuł przeszywający ból. Jęknął cicho. Gabi zauważył, że ściska dłoń staruszki. Nadal wpatrywał się w Jonasza.

Na łóżku Klara od czasu do czasu oddychała z wysiłkiem.

Jonasz zaczął migotać. Jego ciało wibrowało, zalało je srebrzyste światło.

– Jest teraz poza – rzekł Gabi do Klary w nadziei, że w jakiś sposób usłyszy go i

zrozumie, jak rozpaczliwie próbują ją ocalić.

Jonasz znów stęknął głośno.

– Chyba widzi Handlomistrza – wyszeptał Gabi i poczuł, jak Klara drży.

A potem umilkł i czekał.



Później musiał pomóc Jonaszowi przejść do pobliskiego fotela na biegunach. Mężczyzna padł ciężko na siedzisko, dygocząc i dysząc.

– Co widziałeś? – spytał Gabi. – Zdołałeś go znaleźć?

Ale Jonasz nie mógł jeszcze mówić. Zamknął oczy i uniósł dłoń, prosząc, by Gabi zaczekał. W końcu, odpocząwszy kilkanaście minut, otworzył oczy.

– Nie wiem, czy zdołam to jeszcze powtórzyć – wyszeptał ochryple. – To był ostatni raz. Jest już zbyt trudno.

Obrócił lekko głowę, patrząc na łóżko.

– Co z nią?

Gabi podszedł do Klary i ujął jej dłoń; nie odpowiedziała nawet najlżejszym uściskiem. Rękę miała bezwładną, ale usłyszał powolny, długi oddech.

– Żyje – poinformował Jonasz, wracając do półleżącego w fotelu towarzysza.

– Zostało mało czasu. – Jonasz uniósł się nieco; wciąż dyszał ciężko. – Ale widziałem go, jest blisko. Teraz wszystko zależy od ciebie, Gabi. Ja zostanę tu, z nią.

– Blisko? Co to znaczy? – Gabi odkrył, że rozgląda się po pokoju, zerkając w stronę okna. Czy ktoś stał tam wśród drzew? W kącie dostrzegł uchylone drzwi szafy o ciemnym wnętrzu. Czy ktoś był w środku? Zaskrzypiała deska i podskoczył nerwowo. Ale to był tylko fotel Jonasza, którego bieguny kołysały się na drewnianej podłodze.

Znalazł wysoką szklankę i przyniósł Jonaszowi wody. Ten wypił i usiadł prosto.

– Zapomniałem ci powiedzieć czegoś jeszcze, co przypomnieliśmy sobie oboje. Kiedy byłeś maleńki, jeszcze jako nowe dziecko, miałeś pluszową zabawkę. – Uśmiechnął się. – Wszędzie ją zabierałeś. Twojego hipopotama.

Gabi ujrzał niewyraźny obraz, miękkki, dodający otuchy przedmiot. Z uszami. Gryzł te uszy.

– Po – powiedział.

– Wielkie wodne zwierzę – dodał Jonasz. – Zawsze przyciągała cię woda, Gabi. A teraz musisz stać się jak Po. Handlomistrz jest po drugiej stronie rzeki.



Było ciemno, gdy Gabi stanął sam na skraju wody. Błagał Jonasza, by z nim poszedł. Ale Jonasz odmówił.

– Lata temu, Gabi, gdy zabrałem cię i uciekłem, był tam pewien człowiek. Kochałem go i zostawiłem. Chciałem, żeby poszedł ze mną, ale powiedział: „Nie”. I miał rację, odmawiając; to była moja podróż, musiałem dokończyć ją bez pomocy. Musiałem odszukać własną siłę, stawić czoło swoim lękom. Tak jak teraz ty.

Gabi pochylił się i ucałował suchy jak papier policzek milczącej kobiety w łóżku. Teraz jej oddechy oddzielone były długimi przerwami, od czasu do czasu z głębi gardła dobiegał gulgot. Jonasz przesunął fotel, by móc usiąść obok. A potem powiedział

Gabiemu, gdzie odnajdzie Handlomistrza – w brzozowym gaju na drugim brzegu rzeki – i ścisnął mu dłoń.

– Idź – polecił. – To twoja podróż, twoja bitwa. Bądź dzielny. Odnajdź swój dar. Użyj go, by ocalić to, co kochasz.



Teraz, stojąc na bosaka na kamienistym piasku, Gabi nie czuł się odważny. Było bardzo ciemno. Chmury zasnuły księżyc. Nie słyszał nic prócz szumu wody, a choć rzeka zawsze wabiła go i fascynowała, nigdy wcześniej nie przychodził tu po zmroku. Nagle w ciemności wydała mu się złowroga i niebezpieczna.

Gabi dobrze pływał, ale z przyjaciółmi kąpali się nieco dalej, w zakolu rzeki, gdzie kamienny krąg oddzielał spokojną wodę od rwącego nurtu. Było tam bezpiecznie, mniej zdradziecko. Jonasz jednak kazał mu przepłynąć się tutaj. Prąd zniesie go w dół i dotrze na brzeg blisko zagajnika: to tam triumfujący Handlomistrz czekał na śmierć Klary.

– Po co przyszedł? – spytał Gabi.

– Chyba odczuwa satysfakcję, wiedząc, jak coś się kończy. Puszczą wszystko w ruch, a potem przygląda się z daleka. Pewnie śledził Klarę przez te wszystkie lata, od kiedy dokonała wymiany.

– I tylko Klarę obserwuje?

– O nie, z pewnością musi śledzić wiele różnych tragedii. Podejrzewam, że w jakiś potworny sposób żywi się nimi.

Gabi ruszył naprzód, czując wodę wokół kostek. Z przedwczorajszej katastrofy łódki wiedział, jak silny potrafi być prąd. Ale on też był silny i wierzył, że zdoła go pokonać i dotrzeć na drugi brzeg. W dłoni trzymał cedrowe wiosło. Ubłocona łódź, przeciekająca i bezużyteczna, wciąż tkwiła uwiązana do drzewa. On sam jednak wrócił biegiem do domu Jonasza i wziął wiosło na nocną wyprawę. Uznał, że mógłby odepchnąć się nim od kamieni, a kiedy dotrze na brzeg, może mu się przydać broń.

Żałował, że nie ma mocy Jonasza, daru widzenia poza. Bardzo chciałby wiedzieć, co teraz robi Handlomistrz. Czy ktoś taki sypia? Je?

Nie miał pojęcia, jak zniszczyć to zło. Gabi wiedział – uczono tego wszystkie dzieci w Wiosce – które jagody i rośliny mogą zabić. Może powinien był utrzymać kilka liści oleandru albo posiekać korzeń wilczej jagody i znaleźć jakiś sposób, by przemycić truciznę do posiłku Handlomistrza. Oczywiście nie starczyło czasu na podobne plany.

Gdyby znalazł go śpiącego, uderzenie ciężkim kamieniem w głowę załatwiłoby sprawę, pomyślał Gabi. Ale przytomny? Mógł użyć wiosła niczym włóczni bądź pałki.

Na tę wizję zrobiło mu się niedobrze.

Stał teraz po kolana w wodzie i zrozumiał, że zamiast kombinować, co pocznie z wrogiem – i walczyć z wywołaną przez te wizje odrazą – najpierw musi się skupić na niebezpiecznej przepławie. Brodził coraz głębiej, czując, jak prąd popycha go w bok. Wkrótce oderwie stopy od dna i zacznie walczyć z rwącym nurtem. Przed sobą oburącz trzymał drewniane wiosło. Potem odbił się i zaczął wymachiwać nogami, przesuując się naprzód.

Szybkość, z jaką pochwycił go prąd, przeraziła Gabiego. Czuł, że zamiast na drugi

brzeg rzeki spływa w dół. Woda przelewała mu się nad głową; zmusił się, by ją unieść i złapać oddech. W ciemności nie widział, jak daleko porwała go rzeka, ale wyczuwał jej nurt; cały czas odpychał się nogami, nawet gdy prąd ciągnął mocniej. Nagle wiosło zaczepiło o dwa duże kamienie i zawisł tam; mógł teraz odetchnąć i odpocząć. Woda rozstępowała się i pieniała wokół niego, a Gabi czekał, zbierając siły. Wiedział, że będzie musiał opuścić ów osłonięty klin i znów wkroczyć w nurt rzeki. Ale na razie odpoczywał. Potem, rozmyślając o czekającej go misji, pojął nagle, że nie zdoła jej wykonać.

Nie potrafię nikogo zabić, pomyślał.

I gdy to zrozumiał, chmura zsunęła się z księżyca i słaby blask padł na rzekę. Teraz Gabi widział, gdzie jest – prawie w połowie drogi – i dokąd musi się kierować. Woda między nim a drugim brzegiem burzyła się mocno, ale w srebrzystych promieniach księżyca widział już brzozowy gaj, cel swojej przeprawy. Tam właśnie przyczał się Handlomistrz. Będzie musiał wyszarpnąć wiosło spomiędzy kamieni i zmusić się, by wkroczyć w wir. Przebije się na drugi brzeg i...

Nie potrafię nikogo zabić. Nieproszona myśl tym razem zabrzmiała tak donośnie, że równie dobrze mógł wypowiedzieć ją na głos, w noc, w ryk rwącej wody.

O dziwo, jakby pod wpływem tej myśli, prąd osłabł lekko i gdy Gabi czekał tak, uczepiony wiosła tkwiącego między kamieniami, jego nogi wyczuły ową zmianę. Na moment rzeka uspokoiła się. Woda przed nim była łagodna. Potem znów ruszyła naprzód, wirując i zasysając.

Co się zmieniło?

Nic. Prócz tego, że wyszeptał coś w nocny wietrzyk pośród szumu rzeki. Zaczął ponownie wymawiać te słowa.

Nie potrafię zabić.

Trzy słowa wystarczyły. Trzy wypowiedziane słowa uciszyły jego, rzekę i świat.

Powtarzając je niczym zaklęcie, poluzował zaklinowane wiosło. Palcami wyczuwał wyrzeźbione w mokrym, gładkim drewnie imiona: Tarik, Simon, Nathaniel, Stefan, Jonasz. Choć nie złożyła podpisu, w myślach dołączył do nich Kirę. Potem małego Matthew i Annabellę. A w końcu wymówił głośno imię matki – Klara – dodając ją do listy osób, którym na nim zależało. Wykrzyknął je w noc: – Klara! – błagając, by żyła. Trzymając mocno wiosło, z łatwością odepchnął się od kamieni i przepłynął w blasku księżyca przez łagodnie przelewającą się wodę. Wymachując nogami, powtarzał te słowa w rytm szybkich kopnięć: – Nie potrafię zabić, nie potrafię zabić... – i mamrotał je, dopóki bez trudu dotarł do przeciwległego brzegu i ociekając wodą, wyczołgał się z rzeki.

Kiedy umilkł, usłyszał, jak nurt znów zaczyna przelewać się i szumieć. Powiał mocny wiatr, księżyc na niebie przygasł i ponownie zniknął za chmurami. Dokoła mrok pociemniał, ogarniając rozkołysane krzaki i drzewa. Na skraju zarośli stał wysoki mężczyzna, spowity w ciemny płaszcz.



Gabi zadrżał. Nagle zrobiło mu się bardzo zimno. Wiatr szeleszczący w krzakach i kołyszący drzewami sprawiał, że mokre ubranie niczym lód ziębiło skórę.

Ale ów dreszcz był wywołany bardziej strachem niż chłodem. Gabi zobaczył mężczyznę stojącego pośród cieni. Chłopiec myślał, że dotrze na drugi brzeg, odetchnie chwilę, pozbiera się – nigdy wcześniej nie przeprowadził się przez rzekę – a potem rozpocznie poszukiwania. Zakładał, że wróg się ukrywa. Planował ukradkiem dotrzeć w miejsce, gdzie się spotkają. Sądził, że będzie miał czas się przygotować, choć sam nie wiedział jak.

Mężczyzna jednak w ogóle się nie chował: spowity w ciemny płaszcz stał na widoku, na skraju zagajnika. Mimo ciemności Gabi widział błysk jego oczu; twarz miał pozbawioną wyrazu, ale oczy – spoglądające wprost na Gabiego – zdradzały podniecenie. A potem mężczyzna przemówił:

– Cóż za ogromna przyjemność – rzekł z drwiącą serdecznością. – Ludzie bardzo rzadko mnie szukają.

Gabi nie odpowiedział. Nie wiedział jak. Nerwowo zacisnął dłoń na smukłej rączce wiosła, jedyne przedmiotu w tym niezwykłym miejscu, który wydawał się bliski i znajomy. Pod kciukiem poczuł krawędź wyciętego J, tam gdzie Jonasz wypisał swoje imię.

– Nie zamierzasz mi się przedstawić?

Gabi odchrząknął.

– Na imię mam Gabriel – oznajmił.

Płaszcz zatrzepotał w mroku. Nagle stojący nieopodal mężczyzna znalazł się tak blisko, że Gabi poczuł jego odór. Dziwne, bo wyglądał bardzo czysto, ubranie miał odprasowane, niemal sztywne, twarz bladą, niemal białą pośród ciemności, ciemne włosy zaczesane i wypomadowane.

I stał zbyt blisko. Gdy pochylił się, mówiąc:

– Ty głupcze! Sądzisz, że nie znałem twojego imienia? – jego cuchnący, gorący oddech omiół twarz Gabiego. – A ty, rzecz jasna, znasz moje. Prawda? – zadrwił. – Prawda?

– Tak – odparł Gabi – znam twoje imię, Handlomistrzu.

Cofnął się o krok, chwytając powietrze. Od cuchnącego oddechu robiło mu się niedobrze.

– I obaj wiemy, dlaczego tu jesteśmy. – Głos nagle stał się niższy, jakby mężczyzna wyznawał sekret.

Gabriel skinął głową.

– Tak – wyszeptał. – Wiem.

– Ty masz nadzieję mnie zniszczyć, a ja planuję zniszczyć ciebie.

W nagłym przeblasku pamięci Gabriel przypomniał sobie Mentora, swego nauczyciela, stojącego przed klasą pełną rozbrykanych dzieci i uczącego ich języka. Czasowników. Mieć nadzieję. Planować. Jakże różnią się znaczeniem. „Mieć nadzieję” zdawało się niepewne, pełne wahania – dokładnie takie, jak teraz się czuł. Odetchnął głęboko, próbując przegnać strach.

– Jaką broń przyniosłeś? Czy może się równać z moją? – Dłoń w rękawiczce sięgnęła pod gruby płaszcz. Gabi mocniej zacisnął palce na wiosło, by nie stracić równowagi. Kolana ugięły się pod nim. – Widzę, że przyniosłeś prymitywny patyk. Żalotne. Czy to twoja jedyna broń?

– To nie jest broń – odparł Gabi. – Nie zabrałem broni. Nie potrafię zabić...

Zaczął powtarzać frazę, która w tajemniczy sposób pomogła mu przeprawić się przez rzekę. Ku jego zdumieniu Handlomistrz się wzdrygnął. Wiatr ucichł nagle. Rozkołysane drzewa przestały się poruszać. Księżyc znów wyłonił się zza chmur i noc nieco pojaśniała.



W domku Jonasz czekał w bujanym fotelu przy łóżku Klary. Wcześniej Kira przyniosła mu kolację – razem zwilżyli wodą suche wargi kobiety i zobaczyli, że jej język porusza się lekko. Lecz oczy pozostały zamknięte, a oddech nieregularny. Czasem łapała nerwowo powietrze, skubiąc palcami koc, ale przez większość czasu leżała cicho, nieruchomo. Wiedział, że umrze tej nocy, chyba że...

Starał się nie myśleć o owym „chyba że”. Kiedy spojrzął poza, zobaczył, że Handlomistrz stoi w brzozowym gaju. Dostrzegł także, ale nie powiedział Gabiemu, że tamten czeka na chłopca.

Gabi zawsze był dzieckiem pełnym determinacji. Nawet jako niemowlak, gdy Jonasz przyniósł go tu po długiej, morderczej wyprawie, malec trzymał się, pozostał silny, wciąż żył, choć on sam o mało się nie poddał. Jonasz widział wyraźnie, że Gabi ma jakiś dar. Może to właśnie ta cecha: upór chłopca, jego wytrwałość. Kto inny pracowałby tak ciężko nad niewykonalnym projektem, takim jak nieszczęsna łódź?

Ale teraz, czekając w nocy i rozmyślając o tym, że Gabi wyruszył z kolejną, najpewniej niewykonalną misją, która może kosztować go życie, Jonasz odkrył w sobie rozpaczliwą nadzieję, że owej upartej energii towarzyszy jakiś głębszy dar, coś, co pomoże mu dotrzeć do samego jądra stwora, naprzeciw którego wkrótce stanie. Myśląc o dzisiejszej nocy, zadrżał. Handlomistrz był tak nieludzki, tak niebezpieczny. Tak bardzo zły. A Gabi tak młody i wrażliwy.

Do tej pory zdążył przepłynąć rzekę, zrozumiał Jonasz, sprawdzając godzinę. Jest już na drugim brzegu.



Zmiana aury uspokoiła Gabriela. Tak samo wyglądało to wcześniej w rzece: pojawił się księżyc i rwący prąd osłabł; świat jakby się wyciszył. Teraz, stojąc w księżycowym blasku, Gabi pogładził wiosło, wyczuwając wyrzeźbione na nim imiona i zastanawiając

się, czy Handlomistrz także dostrzegł ową nagłą zmianę.

Tyle że zamiast się uspokoić, przeciwnik wpadł w gniew. Dłoń w rękawicze wynurzyła się spomiędzy głębokich fałd płaszcza i w promieniach księżyca Gabi ujrzał, że trzyma nóż o długim, bardzo wąskim ostrzu zakończonym szpicem. Przerażony cofnął się o krok.

– Sztylet – wysyczał tamten. – Nie masz może przy sobie takiego? Dobrze by ci posłużył. Jest bardzo ostry. I bardzo niebezpieczny. Proszę! – Nagle rzucił mu sztylet. – Weź mój!

Gabi upuścił wiosło i chwycił niezgrabnie rękojeść broni, odetchnąwszy z ulgą, że klinga nie odcięła mu ręki. Nóż okazał się zaskakująco ciężki. Nie chciał go. Ale najwyraźniej nie miał wyboru. Zacisnął mocniej palce na zimnej stali.

– Teraz już możesz zabić. – Handlomistrz zaśmiał się krótko, bez cienia rozbawienia.

Ponownie sięgnął za pazuchę. Niebo znów pociemniało, zerwał się wiatr, smagając powietrze gałęziami drzew. Gabi spróbował przeniknąć wzrokiem ciemność, by odkryć, jaka broń się pojawi. Kolejny sztylet? Czy tamten skoczy na niego z własną wąską klingą? Przerażony chłopiec uniósł nóż w nadziei odparowania zbliżającego się ataku.

A potem nagle sztylet znalazł się na ziemi, dłonie Gabiego zostały puste i bezbronne. Handlomistrz stał kilka cali od niego. Wytrącił mu nóż z ręki większą bronią, czymś o złowieszczym zakrzywionym ostrzu.

– Guan dao – wyszeptał Gabiemu do ucha.

Wiatr zawył. Mężczyzna jedną dłonią w rękawicze trzymał Gabiego za szyję, drugą uniósł broń i dotknął klingą odsłoniętego ciała. Gabi wstrzymał oddech w obawie, że nawet najlżejszy ruch spowoduje, iż broń przetnie skórę. Czuł idealną ostrość stali.

Obaj trwali tak nieruchomo w uścisku zrodzonym z nienawiści. Gabi miał nadzieję, że śmierć nadejdzie szybko. Teraz mógł liczyć już tylko na to.

I wtedy, ku jego zdumieniu, nie opuszczając broni, Handlomistrz zaczął mówić. Gabi znów poczuł jego cuchnący oddech. Tamten zniżył głos i Gabriel rozpoznał ów ton, wyniosły i arogancki, pełen przechwałek.

– Jesteś takim mizernym, niegodnym przeciwnikiem – szydził. – Niszczyłem już ludzi znacznie ważniejszych od ciebie.

Gabi milczał. Ledwie oddychał. Stał jak skamieniały ze strachu, wciąż świadom dotyku ostrza na skórze.

– Przywódców. Całe rodziny. – W głosie dźwięczało podniecenie. – Rozszarpywałem ich na kawałki, pozostawiałem żalosne ludzkie strzępy.

Gabi poczuł ostre ukłucie bólu; coś pociekło mu z szyi na odsłonięte ramię. Handlomistrz pozwolił, by ostra jak brzytwa klinga skaleczyła go lekko.

– Wojny – ciągnął głos. – Wywoływałem wojny!

Gabi nie ruszał się, sparaliżowany, wyczuł jednak, że tamten oczekuje jakiejś reakcji, może podziwu. Chłopiec nie odezwał się.

– Niszczyłem całe społeczności – wymamrotał triumfalnie Handlomistrz wprost do jego ucha. – Wierzysz mi?

– Tak – szepnął Gabriel.

I rzeczywiście wierzył, że Handlomistrz zdołałby tego dokonać. Nagle zrozumiał, że to nie człowiek – to była moc udająca człowieka. Nie miała w sobie nic ludzkiego, czyste zło odziane w płaszczy. Jonasz mówił mu to, ale Gabi nie rozumiał – aż do tej chwili.

Rozpaczliwie spróbował sobie przypomnieć, co poradził mu Jonasz. Jak ma walczyć w tej bitwie? W końcu powiedział jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

– Skoro władasz taką mocą – wyszeptał, wciąż usiłując nawet nie drgnąć – po co miałbyś zabijać kogoś tak nieważnego jak ja?

Ku jego zdumieniu Handlomistrz się cofnął, odsunął klingę od szyi Gabiego i cisnął na ziemię, gdzie spoczęła obok sztyletu. Potem przyglądał fałdy płaszcza.

– Mam inne bronie – oznajmił. – Kordelas? Halabardę? Maczetę? Tasak? Wybierz coś i stoczmy pojedynek. – Obliznął wargi i zaśmiał się ochryple.

Gabi nie wiedział, co odpowiedzieć. Milczał.

– Nie? Pojedynek ci nie odpowiada? No to zapomnij o broni. Znam zabawniejszy sposób, jak kiedyś na targowisku – oznajmił. – Zamierzam zaproponować ci wymianę.



Za oknem bezksiężycowa noc pojaśniała nagle. Na podłodze pojawiła się jasnożłota smuga światła, sięgając niemal łóżka. Jednocześnie ochrypli, nierówny oddech Klary zmienił się nieco; sprawiała wrażenie spokojniejszej, bardziej rozluźnionej. Jonasz ujął jej dłoń; na przemian trzymał ją, gładził i wypuszczał przez całą noc. Pod cienką, przejrzystą skórą widział sękaty węży żył i pogrubiałe stawy palców.

Teraz, o dziwo, ręka starej kobiety wydawała się inna. Gładsza. Bardziej giętka. W nagłym świetle Jonasz pochylił się, żeby spojrzeć, jednak w tym momencie księżyc zniknął i powróciła ciemność. Przez chwilę miał ochotę ponownie napełnić stojącą w rogu lampę olejną, przysunąć bliżej Klary. Ale po co? *Niech sobie śpi, pomyślał. Niech odpoczywa w spokoju. Pozwól jej umrzeć; pozwól, niech odejdzie nieświadoma, co grozi jej synowi.*

Może tak właśnie działa śmierć, pomyślał, wciąż dotykając jej ręki. Wygładza skórę, łagodzi ból stawów. Tak. To musi być bliskość śmierci.

Wbrew własnej woli zasnął i drzemał niespokojnie. Miał za sobą długi, wyczerpujący dzień. Nie widział, jak księżyc znów się pojawia, znika i rozbłyska. Dłoń Klary wysunęła się z jego palców. Nie widział, jak skóra kobiety się oczyszcza, ciemne plamy blakną, jak przebarwione pogrubiałe paznokcie stają się przejrzyste i zgrabne jak muszelki.



– Łódź. – Słowo zabrzmiało ostro, pełne złości.

– Nie potrzebuję łodzi.

Handlomistrz spojrzał na niego chytrze.

– To nie kwestia potrzeby, mój uparty, durny chłopcze. Wszystko sprowadza się do pragnienia. To zawsze jest pragnienie.

Gabi słuchał w milczeniu. Było mu zimno. Przemókł podczas przeprawy, a teraz znów wiał mocny wiatr. Roztarł energicznie ręce.

– Zimno? – zadrwił Handlomistrz, widząc, jak dygocze. – Mógłbym pożyczyć ci płaszcz. – Zakreślił nim. – Mógłbyś wejść pod niego. Mógłbym cię nim owinąć.

Gabi nie odpowiedział. Myśl, że miałby znaleźć się pod owym ciemnym płaszczem, budziła w nim odrazę.

Oczy Handlomistrza błyszczały.

– No dobrze, stój sobie i trzęś się. Powróćmy do pomysłu z łodzią, zgoda? Nie potrzeby, lecz pragnienia. Czy pragniesz łodzi? Zaczekaj, jeszcze nie odpowiadaj. Niech to będzie, och, piękna żaglówka, i gwarantuję coś jeszcze: wydęte żagle, słoneczny dzień, gładką taflę jeziora, silny wiatr. – Pochylił się i pokiwał chudym palcem w rękawiczce. – Chcesz tego?

Jeszcze niedawno Gabi faktycznie pragnęłaby tego z całych sił. Ale teraz wszystko się zmieniło. Łódź go już nie pociągała. Nie potrzebował łodzi. Jego wyprawa w poszukiwaniu przynależności i miłości zakończyła się, gdy ukląkł przy łóżku konającej matki i ujął jej dłoń.

Przez chwilę jednak stał w milczeniu, próbując wymyślić, jak odpowiedzieć, nie rozwścieczając jeszcze bardziej Handlomistrza.

– Zaczekaj! Dorzucę coś jeszcze! – Tamten pochylił się jeszcze bliżej.

Gabi nie odpowiedział.

– Na gładkim tekowym pokładzie tego wspaniałego jachtu. Siedzi z włosami falującymi na wietrze, uśmiechając się do ciebie i patrząc bardzo czule – niezwykle czule – jak sterujesz swoją łodzią, może nawet nachyla się, by ci coś podać... Pomyślmy... Jabłko. Właśnie obrała śliczne, okrągłe jabłko i cię częstuje. Oczywiście to ktoś, na kim ci bardzo zależy, może ta piegowata dziewczyna, niejaka... Deidre? Chcesz tego? – ochryple wyszeptał Handlomistrz, przysunąwszy usta do ucha Gabiego.

– Nie – odparł Gabi. – Nie chcę.

Tamten zaśmiał się okrutnie.

– Oczywiście, że nie chcesz – wychrypiał. – Czekasz na coś więcej? Ależ bardzo proszę! Nadal łódź. Możesz dostać łódź i jezioro, i słońce. A ona wciąż tam będzie, pochyłona ku tobie, oferująca ci strawę, wsparcie i uczucie. Ale to wcale nie głupia mała Deidre. Wiesz kto to? Może się domyślasz? – wysyczał.

Gabi potrafił zgadnąć, ale nie zamierzał mówić tego głośno. Zacisnął dłonie na gładkim drewnie wiosła. Gdy to uczynił, poczuł rzeźbione zagłębienia, miejsca tu i tam, w których widniały imiona: Tarik, Nathaniel, Simon, Stefan.

– To Klara – wymamrotał Handlomistrz. – Słodka, młoda Klara o długich kręconych włosach. Może tam z tobą być. Wiesz, kim ona jest, prawda? Chcesz tego? Chcesz ją?

Gabi znalazł miejsce, w którym Jonasz wyciął swoje imię. Aksamitne cedrowe drewno wiosła było przesycone nimi wszystkimi: ludźmi, którym na nim zależało, którzy w tej chwili wspomagali go swą siłą. I gdy tak przyciskał dłoń do drewna, wyczuł nagle pod palcami coś obcego. Wcześniej w tym miejscu wiosło było gładkie. Teraz ku jego zdumieniu wymacał jakieś żłobienia. Kanciaste K. Za nim L. A potem trzy dalsze litery.

– Nie waż się wymawiać imienia mojej matki! – rzucił głośno. – Nie chcę twojej wymiany.

Handlomistrz wpatrywał się w niego płonącymi oczami. Gabi przypomniał sobie wszystko, co Jonasz opowiadał mu o Einarze, który odmówił propozycji wymiany i został potwornie okaleczony. Widział, że Handlomistrz zerka teraz na broń leżącą u ich stóp.

Rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie, co radził mu Jonasz. „Użyj swego daru”. Właśnie. Użyj swego daru. Bardzo się bał, ale spojrział wprost na Handlomistrza, skupił się i nakazał sobie zboczyć.



Nastąpiła cisza, spadając na niego niczym zasłona. Szum wody za plecami umilkł. Liście na otaczających ich drzewach wciąż poruszały się na wietrze, ale bezdźwięcznie. Gabi wszedł w Handlomistrza. Poczuł, jak przelatuje w wirze przez tysiąclecia, niszcząc, co napotka na swej drodze, wrzeszcząc z wściekłości i bólu.

Stał się Handlomistrzem. Ogarnęła go mdłość, paląca nienawiść i w bezkresnym wirze, w którym się obracał, nie odnalazł pocieszenia.

Zrozumiał Handlomistrza i zamieszkujące w nim głębokie zło. Nie mylił się wcześniej, Handlomistrz nie był człowiekiem. Jedynie udawał człowieka. Był potęgą zła, wszech zła wszech czasów. Gabriel szybował i wirował w swym zbaczaniu, był częścią zła, czuł jego rozpacz, cierpienie i samotność, świadomość, że znów, raz po raz, przez wieki, zostaje wypędzony. Wyczuwał ponowne zbieranie sił. Narastanie mocy. Broń. Zdradę. Okrucieństwo. Odczucia te wystarczały, by ich mocą zniszczyć zwykłego ludzkiego chłopca, Gabi jednak walczył z nimi, skupiając się na świadomości samego siebie i własnego zadania. Gdzieś w darze zbaczania musiało kryć się coś, co pomoże mu teraz, gdy wyłoni się, by po raz ostatni stawić czoło Handlomistrzowi.



Jonasza wyrwał z niespokojnej drzemki nagły dźwięk.

Klara siadała. W izbie było wciąż dość ciemno, ale widział, że odrzuciła koc. Oczy miała jasne, ramiona, jeszcze niedawno kruche i zgarbione, teraz były mocne i proste.

– Jestem głodna – oznajmiła.



Nagle wewnątrz palącego gniewu i rozdzierającego bólu zbaczania Gabi poczuł głód. Zdumiało go to. Cóż za małe, nieważne uczucie – często sam go doświadczał, zmierzając do domu na obiad.

Ale to – pojął, opuszczając się głębiej, by poczuć do końca – nie było pragnienie miski zupy czy kromki chleba. Handlomistrz konał z głodu.

Gabi przypomniał sobie, co mówił Jonasz o tej odmianie zła – że karmi się swymi ofiarami.

Chce wiedzieć, jak rozegrają się wywołane przez niego tragedie, mówił Jonasz. Lubi być świadkiem ich zakończeń. Napawa się tym. To go odżywia.

Rozwiązanie pojawiło się nagle, zdumiewająco proste. Ci, którzy nie znajdują pożywienia, umierają. Ci, którzy głodują, umierają.

Wiedząc dokładnie, co musi zrobić, Gabi wyrwał się ze zbaczania. Dźwięki powróciły. Handlomistrz stał przed nim, szyderczo wykrzywiony, spowity w płaszcz. Nic się nie zmieniło prócz jego własnego zrozumienia.

Gabi wyprostował ramiona.

– Pamiętasz Mentora? – powiedział głośno.

Handlomistrz skrzywił się i roześmiał.

– Plama na twarzy? Stara, obwisła skóra? Żaloszny dureń. Oczywiście, że go pamiętam.

– Był moim nauczycielem.

– Zniszczyłem go.

– Nie. Zniszczyłeś tylko na trochę, ale znów jest sobą. Odzyskał honor. Jest szczęśliwy.

Słyszając słowa Gabiego, Handlomistrz jęknął cicho. Złapał się za brzuch, jakby poczuł przeszywający ból. A może tępy, ściskający ból? Głód?

– Pamiętasz kogoś imieniem Einar?

Gabi wzdrygnął się ze zgrozą, gdy Jonasz opowiadał mu straszliwą historię Einara. Teraz obserwował twarz Handlomistrza.

– To on ci odmówił, pamiętasz? Odmówił wymiany!

Handlomistrz splunął na ziemię. Zaśmiał się ze wzgardą.

– Zniszczyłem go.

– Nieprawda – odparł spokojnie Gabi. – Stworzył sobie nowe życie.

– Życie kaleki? – zadrwił Handlomistrz, przez moment naśladowując kuśtykający chód Einara.

– Nie. Życie dobrego człowieka. Zna imię każdego jagnięcia. Potrafi powtórzyć głos każdego ptaka. I pokochała go piękna dziewczyna – dodał.

Handlomistrz jęknął. Osunął się na kolano. Płaszcz załopotał wokół niego, nagle za duży, jakby tkwiący wewnątrz mężczyzna skurczył się.

– Wiem, że ją pamiętasz. Na imię miała Klara – ciągnął Gabi. – Szukała swojego synka. I wiesz co? Znalazła mnie, Handlomistrzu. Była gotowa oddać ci wszystko, co miała. A ty jej to zabrałeś. Odebrałeś jej młodość i urodę, energię i zdrowie. – Przez moment, myśląc o matce, Gabriel nie był w stanie dalej mówić. Zamilkł, próbując przełknąć łzy, potem odetchnął głęboko. – Ale to nie miało znaczenia. Znaliśmy się nawzajem. Nie liczyło się nic prócz tego. Nigdy się nie dowiesz, jak to jest kochać. W pewnym sensie mi cię żal. Ale mam nadzieję, że zdechniesz z głodu.

Nagle odkrył, że patrzy z góry na swego wroga, który skomląc i pojękując, kulił się na ziemi.

Jego głos, wcześniej niski, zwodniczy, teraz rozbrzmiał w nagłym przeciągłym wyciu; dźwięczała w nim rozpacz. Oczy miał zamknięte, macał jednak w ciemności, szukając broni odrzuconej na ziemię. Gdy jej dotknął, znów zawył. W tym momencie księżyc raz jeszcze wyłonił się spomiędzy rzednących chmur. Wiatr ucichł. W nowym świetle Gabi widział, że broń się zmieniła. Teraz przypominała połamane kawałki pordzewiałej blachy. Zabawki, które nieostrożne dziecko zostawiło na deszczu.

– Straciłeś swą moc – oznajmił.

Odpowiedział mu tylko jęk. Na oczach Gabiego Handlomistrz skurczył się jeszcze bardziej. Wkrótce została z niego jedynie nierozpoznawalna, bezkształtna kupka

czegoś, co cuchnęło zgnilizną.

Gabi trącił stopą to, co zostało z Handlomistrza. Wiedział, że tamten nigdy nie był człowiekiem. Teraz wystarczyło muśnięcie, aby rozpadł się i zamienił w nicość. Gabi długi czas wpatrywał się w to miejsce, a noc ustępowała i świt powoli wylewał się na niebo. W końcu znalazł ostry kamień i zaczął kopać, aż uzyskał dziurę odpowiedniej wielkości. Zasadził w niej wiosło i uklepał dokoła mokrą ziemię, by stało tam, znacząc miejsce, w którym zniknęło zło.

Później odwrócił się, spojrzął na rzekę i jasne smugi dymu ulatujące z kominów Wioski na drugim brzegu. Wszystko wyglądało znajomo, kusząco i bezpiecznie. Powoli zanurzył się w leniwie płynącej wodzie i z łatwością przepłynął na drugą stronę.



Wschód słońca obudził Jonasza, który zasnął w fotelu, nakarmiwszy Klarę resztką zupy przyniesionej przez Kirę. Podziękowała cichym mruknięciem. Potem otulił ją kocem i czekał przy łóżku, a ona znów zasnęła. Oddychała teraz mocniej i zrozumiał, że ta noc nie będzie jednak nocą jej śmierci.

Czy to możliwe, żeby Gabi...? Jonasz nie pozwolił sobie na dokończenie tej myśli. Przez chwilę po prostu przyglądał się śpiącej Klarze, zdumiony jej odpornością. W końcu wrócił na fotel i usiadł, martwiąc się o chłopca.

Teraz, po przebudzeniu, był zeszywniały i dezorientowany. Ziewnął, przeciągnął się i rozejrzał dokoła, oszołomiony, a potem przypomniał sobie o Klarze i podbiegł do łóżka. Było jednak puste, obok leżał odrzucony koc.

Drzwi domku stały otworem. Ujrzał ją tam, w nocnej koszuli; oddychała głęboko porannym powietrzem. Wysoka i smukła, miała miedziane włosy opadające lokami na ramiona. Słyszac Jonasza, odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

Wydało mu się, że słyszy jej słowa.

– Widzę słońce.

Istotnie, niebo było różowe od porannej zorzy. A potem Jonasz spojrzął poza Klarę i ujrzał Gabiego zbliżającego się ścieżką.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Księga I. Przed

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Księga II. Pomiędzy

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Księga III. Poza

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

„Nazwali ją Wudną Klarą”.

Kiedy morze wyrzuciło ją na brzeg, nikt nie wiedział, że pochodzi ze społeczności, w której nie istnieją kolory i uczucia. Że w wieku lat trzynastu stała się naczyniem. Że jako czternastolatka nosiła produkt. Że ukradziono go z jej ciała. Klara urodziła syna, ale nigdy nie dowiedziała się, co się z nim stało. Jak ma na imię? Czy w ogóle wciąż żyje?

Miała o nim zapomnieć, ale okazało się to niemożliwe. Teraz nie cofnie się przed niczym, by odnaleźć dziecko, nawet jeśli będzie to wymagało niewyobrażalnej ofiary.

Syn raz jeszcze przenosi czytelników do mrozącego krew w żyłach świata wielokrotnie nagradzanej powieści *Dawca*, a także *Skrawków błękitu* i *Posłańca*. W długo wyczekiwanym finale niesamowitej serii książek Lois Lowry ukazuje ostateczne starcie dobra ze złem.

www.galeriaksiazki.pl

